JERZY PILCH

Tysiąc spokojnych miast

JERZY PILCH

Tysiąc spokojnych miast

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK
Projekt okładki i stron tytułowych: MAREK PAWŁOWSKI
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ
Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”

© Copyright by Jerzy Pilch
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002

ISBN 978-83-08-05968-5

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

1

Gdy ojciec i pan Trąba postanowili zabić I sekretarza Władysława Gomułkę, panowały niepodzielne upały, ziemia trzeszczała w szwach, rozpoczynała się udręka mojej młodości.

Morfinistki mieszkały na strychu i nie było sposobu, aby nimi zawładnąć. Skrzypiały schody, wpierw nadciągały awangardy zapachów, potem same zapachy, masło kakaowe i coś jeszcze, czego nie umiałem rozpoznać, a co musiało być zapachem morfiny i niepowściągliwości. Każdego ranka – tak jak wszyscy – szły się opalać. Zabierały ze sobą koszyki z jedzeniem, napoje, nadmuchiwane materace, parasole słoneczne, kostiumy kąpielowe. Nie różniły się od nas – ziemian? Ależ wręcz przeciwnie. Różniły się radykalnie. Wszyscy szli na plażę z prawdziwego zdarzenia, zmierzali w kierunku pełnego blasku, trawiastych brzegów, szemrzącego nurtu. One zaś – w przeciwną stronę, w głąb najgłębszej gęstwiny, ku sercu suszy, wprost ku zapalnikom jeszcze nieruchomej maszynerii pożaru. Mówiąc po ludzku, wszyscy szli na basen albo nad Wisłę, one zaś do lasów na Bawolej Górze.

– Nic dziwnego w gruncie rzeczy – pan Trąba jadowicie zacierał ręce – nic dziwnego w gruncie rzeczy; wiadomo, że Książę Ciemności świetnie się czuje w lipcowe upały w dusznych zagajnikach. Wiadomo, że przepada za godziną smoły: dwunastą w południe. Wiadomo… Wiadomo… Wiadomo…

Pan Trąba nieoczekiwanie cukał się w wyliczaniu niechybnych argumentów.

– Wiemy niezbicie, panie Naczelniku – zwracał się do ojca – wiemy niezbicie, iż one zadają się z Antychrystem, ale nie znamy szczegółów operacyjnych i to nas trapi. Na co im, na przykład, do stu tysięcy furgonów beczek, na co im ta babilońska kołdra?

***

Nikt nie wiedział, do czego służyła morfinistkom prawdziwie babilońska kołdra, którą codziennie prócz kostiumów, koszyków i materaców taszczyły ze sobą. W naszych purytańskich głowach otwierały się najdziksze obszary nieujarzmionych domysłów. Kołdra była wielka i bujna niczym czasza rozdętego spadochronu, karminowa z jednej i złota z drugiej strony. Karminowa i złota niczym wierzch i spód królewskiego płaszcza, niczym tafle dwu świętych rzek przecinających imperium, karminowa jak krew i złota jak opalenizna. W całym domu, a tym bardziej w pokoju na poddaszu, który wynajęły, nie było tak książęcego przykrycia, nikt z nas nigdy nawet nie widział tak wyuzdanej pościeli.

– Żadna armia świata – pan Trąba desperacko podnosił głos – żadna armia świata nie miała przytroczonego do swych kulbak tak monstrualnego łupu. Nawet zwycięska Armia Czerwona. *À propos*, panie Naczelniku, czy pan pamięta, jak pod koniec wojny popasała na moim podwórcu zwycięska Armia Czerwona? Czy pan pamięta, w jakie atłasy, brokaty i złotogłowia byli oni spowici?

– Nie pamiętam – mówił zimno ojciec – nie pamiętam, ponieważ jako żołnierz Wehrmachtu siedziałem pod koniec wojny w ruskiej niewoli w Sierpuchowie pod Moskwą.

– A prawda, zawsze zapominam, panie Naczelniku, że pan w zasadzie jest repatriantem. Otóż ci krasnoarmiejcy, nawiasem mówiąc, wyjątkowo kulturalny oddział, moja świętej pamięci wychowanica Emilia przez ich powściągliwość zeszła z tego świata *intacta*. Inna sprawa, że jedyną szansą biedaczki był zamęt wojenny albo przemarsz obcych wojsk. W warunkach pokojowych jej kłopotliwa powierzchowność nieco zbyt radykalnie rzucała się w oczy. Sam, prawdę powiedziawszy, czyniłem niejakie starania, aby było jej dane na tej ziemi poznać zwierzęce rozkosze dotyku, ale Bóg mi świadkiem, nie byłem w stanie aż do tego stopnia abstrahować od rzeczywistości. Cierpię z tego powodu i do dziś czynię sobie wyrzuty, może trzeba było okazać większą wielkoduszność, bardziej się skoncentrować, skupić na tych nielicznych epizodach jej cielesności, które były do przyjęcia… Niech jej ziemia lekką będzie albo raczej niechże waży tyle, ile miał ważyć ten, którego ciężaru nigdy nie zaznała… Otóż, panie

Naczelniku, ci popasający na moim podwórzu krasnoarmiejcy dźwigali całe naręcza puchów, piernatów i jedwabnych prześcieradeł z Zameczku Prezydenta, ale przecież nawet oni nie mieli takiej kołdry. Co pan powie, panie Naczelniku, na frazę: Takiej kołdry, jaką mają morfinistki, nie miała nawet zwycięska Armia Czerwona? Co pan powie?

– Dobra fraza i nagrody godna – mówił ojciec, który miał zwyczaj nagradzania co kunsztowniejszych zdań pana Trąby miarką dereniówki, i podchodził do kredensu, i wyjmował butelkę, i nalewał miarkę dereniówki. Potem unosił pękaty kieliszek w górę, spoglądał na szamocące się wewnątrz oleistego trunku widma uzależnionych i mówił bez cienia wiary w głosie: – Ale będzie pan smakował, będzie pan smakował, panie Trąba?

– Nie sposób, panie Naczelniku, nie sposób smakować – głos pana Trąby załamywał się, topniał niczym październikowy przymrozek. – Przecież pan wie, panie Naczelniku, że ja nie dla smaku piję, ale dla wzmożenia egzystencji.

Ojciec bez słowa podawał panu Trąbie kieliszek, on zaś jednym błyskawicznym haustem wlewał w szeroko rozdziawione usta jego zawartość. Ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy, nie mrugnęło oko, nie słychać było westchnienia ulgi ani rozkoszy. Pan Trąba, czyniący w swych wnętrznościach miejsce dla dereniówki, zamierał i nieruchomiał, stawał się jak przedmiot, jak naczynie, jak dzban, który choć nie widzi, nie słyszy i nie czuje – pragnie być napełniony.

***

Takiej kołdry, jaką miały morfinistki, nie miała nawet zwycięska Armia Czerwona. I na co im takie pielesze w czterdziestostopniowe upały? Po co one brały tę kołdrę do lasów na Bawolej Górze? Chyba żeby nią wysłać leśną polanę, bo istotnie była tak wielka i żyzna jak leśna polana. Kogo tam okrywały w głębi mateczników? Jakie i czyje łoże z baldachimem stało tam wśród świerków i jodeł? Jak straszliwe plątaniny dziać się musiały pod tą kołdrą albo i na niej?

Ojciec w gruncie rzeczy niczego nie dawał poznać po sobie, ale stopniowo rosnąca popędliwość świadczyła, iż i jego trapią elementarne

zagadki. Pan Trąba zachodził coraz częściej, zdawał się – co było wprost niepojęte – nie dbać o nagrodę, nie przykładał się do wygłaszanych fraz, nie starał się nawet zachować pozorów bezinteresowności, gapił się bez żenady, jego spojrzenie nieustannie biegło w górę ku schodom, po których morfinistki ostrożnie, ale z szalonymi chichotami wnosiły albo wynosiły zasłaniającą cały świat kołdrę. Nawet matka, wiecznie zajęta porządkowaniem korespondencji z Biskupem, podnosiła głowę z zasłanego widokówkami biurka i, trzeba przyznać, bez nagany przyglądała się tym dwu olśniewającym wiedźmom. Ich spojrzenia pałały jak nigdy niegasnące piekła, ich jadowicie wykrzywione usta gotowe były w każdej chwili wyszeptać zaklęcie, ich pachnąca tarnobrzeską siarką skóra gotowa była w każdej chwili eksplodować.

***

Aż się prosiło, by jedna była jasna, druga ciemna, jedna niska, druga wysoka, jedna rachityczna, druga masywna, aż się prosiło o tego typu elementarny kontrast, ale nie, one były do siebie podobne niczym źle obsadzone aktorki o bliźniaczym typie urody, obie wysokie, szczupłe, kościste, szarookie, obie miały identycznie krótko obcięte i na rudo ufarbowane włosy, obie miały w identycznym stopniu przetłuszczoną cerę, lekki ten defekt był wszakże w swym podwojeniu na tyle zauważalny, iż rodzić musiał w ich duszach rodzaj desperackiej agresji.

Uganiałem się tego lata za anielicą mojej pierwszej miłości i w gruncie rzeczy nie dbałem o nic. Nie dbałem o nic, ale przecież i mnie frapowała tajemnica ich nieczystej jak Sodoma i Gomora kołdry. Któregoś dnia ruszyłem ich śladem. Przedzierałem się przez duszne jak Sahara chaszcze, wdychałem zapach wyschniętej jak księżyc ziemi, karminowo-złoty buńczuk raz po raz znikał mi z oczu, rozchylałem gałęzie, pełzłem przez gorące jak rosół z makaronem igliwie, gdy zaś po zostawionych śladach i wyżłobionych koleinach domyśliłem się, iż szli już tędy, zwodniczym tropem morfinistek, wszyscy – zawróciłem. Jeśli nawet nie wszyscy szli tamtędy, bez wątpienia szła tamtędy zdecydowana większość, wśród tej większości zaś (choć zarazem zdecydowanie poza nią) szedł też niechybnie pan Trąba.

– Rozwiązałem ich sekret, panie Naczelniku, ale tylko w widzialnym, czyli wysoce poślednim aspekcie – mówił do ojca z połowicznym triumfem.

***

Pan Trąba był człowiekiem drobnym, czarniawym i przeraźliwie chudym. Zarówno miękką intonacją głosu jak i uprzejmymi gestami do złudzenia przypominał Brunona Schulza.

– Zawsze, wszędzie i wszyscy, panie Naczelniku, wszyscy brali mnie za Żyda, nigdy nad tym nie bolałem, przeciwnie, byłem kontent, choć skądinąd obaj wiemy, iż bycie lutrem w Polsce oznacza byt jeszcze subtelniejszy niż bycie żydem w Polsce. Żydzi kiedyś w Polsce byli, obecnie zaś ich nie ma, natomiast nas, lutrów, kiedyś w Polsce nie było, a obecnie nie ma nas także.

Białe jak śnieg prześwity nicości w drobnej sylwetce pana Trąby przydawały mu śmiertelnej charyzmy. Tego lata coraz bardziej trzęsły mu się ręce, rysy stawały coraz ostrzejsze, zapach nikczemnych spirytualiów spowijał go nieustannie. Pan Trąba coraz częściej i z coraz większą desperacją rozprawiał o końcu swojego świata.

– Wstyd wstydem, panie Naczelniku, ale myślę sobie, zanim nastanie rychły koniec twojego świata, zrobisz dwie rzeczy: uczynisz coś dla ludzkości oraz dowiesz się, jak w sensie operacyjnym te latawice żyją z Antychrystem. I powiedziałem do Pana: Panie, daj mi siłę jednego z owych puzonów, które zmiotły Jerycho, abym i ja zmiótł to i owo, i ruszyłem w ślad za nimi.

Niestety, opowieść pana Trąby o wędrówce tropem morfinistek była opowieścią bez perypetii i bez pointy. Szedł za nimi na tyle blisko, by ani na chwilę nie tracić ich z oczu. Słyszał ich głosy, nawet oddechy, one zresztą bardzo szybko zauważyły jego obecność, zupełnie wszakże nań nie zważały, raz czy dwa razy obejrzały się w jego kierunku, i tyle. Najwyraźniej były oswojone z nieustannie depczącymi im po piętach mniej lub bardziej zakamuflowanymi tropicielami. W końcu, jak należało oczekiwać, dotarli do niewielkiej polany w głębi lasu. Morfinistki rozłożyły koc, rozebrały się do strojów plażowych, z karminowo-złotej kołdry uczyniły coś w rodzaju oszańcowania okalającego ich siedzibę, legły tam

i wszędzie wokół nastała absolutna cisza. Minęła godzina, może dwie, pan Trąba nie był w stanie ściśle opisać upływającego czasu, bez wątpienia zdrzemnął się dobrą chwilę, nie wybrał się przecież na taką wyprawę z pustymi rękami, nawet teraz, po przeszło trzydziestu latach, gdy mozolnie krok po kroku próbuję odtworzyć wszystkie mordercze sceny tamtych pór roku, tę właśnie scenę, choć ani jej nie widziałem, ani nikt mi o tym szczególe nie wspominał, tę właśnie scenę widzę z nieomylną wyrazistością. Pan Trąba w swym czarnym alpakowym garniturze śpiesznym krokiem idzie przez las na Bawolej Górze, morfinistki taszczą ogromną kołdrę, oglądają się, szepcą coś do siebie, chichoczą, pan Trąba przyśpiesza kroku, raz po raz przystaje wszakże, wydobywa zza pazuchy żołnierską manierkę, którą ofiarował mu swego czasu, a jakże, wyjątkowo kulturalny oddział zwycięskiej Armii Czerwonej, i raz po raz posila się, i raz po raz za pomocą kolejnych łyków spirytusu zmieszanego pół na pół z kompotem borówkowym wzmaga w sobie wolę pogoni i dociekliwości. Jeśli tak było, a tak było niezawodnie, nie da się wykluczyć, iż dalsza część opowieści pana Trąby jest sprawozdaniem z narkotycznego snu, który mógł go ogarnąć w przyjaznych paprociach na skraju polany. A zatem co najmniej przez dwie godziny panuje tam zupełna cisza, absolutny spokój, nic się nie dzieje. Wszakże gdy czas upłynął i wybiła godzina, wszczął się tajemny ruch wśród listowia i igliwia i z leśnych ostępów jęły wypełzać makabryczne cienie, widma leśnych ludzi, cały tłum. Wedle pana Trąby byli to włóczędzy, outsiderzy społeczni, zbiegowie i uciekinierzy o wysmaganych wiatrem obliczach. Czerń i dzicz, upadli inteligenci i nieuleczalni alkoholicy, był tam ponoć nawet pewien pisarz, który dla niepoznaki zmieszał się z tym małym ciemnym ludem i zamieszkał w chacie bez wygód, był tam, jak gorączkowo zapewniał pan Trąba, niesłychany psychopata o nienawistnym spojrzeniu, był tam – pan Trąba zaklinał się na wszystkie świętości – wyprany z ludzkich uczuć oprawca stalinowski i Bóg wie kto jeszcze. I cały ten dziki i trawiony nieposkromionymi żądzami tłum mężczyzn gromadził się w niedalekiej odległości od obwarowanych babilońską kołdrą morfinistek i trwał w zasadzie nieporuszony i dalej nic się nie działo. Leśni kloszardzi, owszem, od czasu do czasu słali łakome spojrzenia, nowi przybysze, którzy wyłaniali się z lasu i dołączali do stacjonujących na polanie kolegów, szli zagapieni w legowisko morfinistek, kłaniali się im nawet niezdarnie, ale

nic poza tym, żadnych grubiaństw ani niewybrednych propozycji, cisza i spokój, choć, jak podkreślał pan Trąba, i cisza, i spokój pełne osobliwego napięcia. I tak aż do zmierzchu, kiedy to morfinistki jednakowo melodyjnym ruchem podniosły się nad okalającymi je płomieniami, ubrały, pozbierały wszystko co trzeba i ruszyły w drogę powrotną. Leśny lud jął wówczas także topnieć, pojedynczo, dwójkami, trójkami przepadali w chaszczach. I pan Trąba także podniósł się ze swego obserwacyjnego legowiska (ocknął się z przyjaznych snów?), jako tako odświeżył garderobę i również ruszył ku domowi.

***

– Ale nie śpieszyłem się już zupełnie, nawet nie starałem się, by mieć je na oku, w końcu kolejny raz Pan dowiódł mi, że widzieć to, co widzialne, to znaczy nic nie widzieć. Jeśli zaś oprócz tego, co widziałem, nigdy nic więcej się tam nie działo, to ja, pan Trąba, jestem pełen uznania dla skromności i umiaru tych cnotliwych dziewcząt. Oddają się one bowiem rozpuście tak nieokiełzanie wyrafinowanej, iż rozpusta ich graniczy z brakiem rozpusty. Plugawią się na krawędzi ascezy, a to zawsze zasługuje na szacunek.

Pozostaje druga rzecz, panie Naczelniku, pozostaje, zanim się z nią na dobre rozstanę, coś dla niej, dla ludzkości, uczynić.

– Nie podoba mi się to, co pan mówi, panie Trąba – ojciec z irytacją odłożył „Trybunę Ludu". – Nie podoba mi się to, co pan mówi, ponieważ w nadmiernym szafowaniu pewnością własnej śmierci kryje się pycha. Wszyscy umrzemy, panie Trąba, i z jakich to powodów pan pragnie wyróżnić się swoim zgonem i wyposażyć go w licho wie jakie posłannictwa?

– Bo ja wiem, że to już niedługo, panie Naczelniku, niezbicie wiem, że to niedługo.

– Panie Trąba, od kiedy pana znam, a znam pana od dwudziestu pięciu lat, codziennie żłopiesz pan spirytus, na okrągło chodzisz pan w gumowym obuwiu bez skarpet, zimą nie nosisz pan odpowiedniej bielizny, ostatnio paliłeś pan w piecu, by uczcić śmierć Józefa Stalina, pan masz końskie zdrowie i przeżyjesz nas wszystkich.

– Nie daj Bóg, panie Naczelniku, nie daj Bóg, aby tak miało być. Niezależnie od wszystkiego, życie samo w sobie mi nadojadło. Rzecz w tym, panie Naczelniku, że ja mam dowód, mam niepodważalny i nie do zbicia dowód, iż ona nadchodzi i jest już blisko.

– Sam pan, panie Trąba, swoim dalszym życiem obali wszelkie znamiona i dowody nadchodzącej śmierci. I po co to panu, panie Trąba? Nie zdaje pan sobie sprawy, w jak niezręczną sytuację pan się pakuje? Wobec mnie, pal sześć, ale pan się i wobec nieletniego błaźni – ojciec wskazał głową w moim kierunku.

Siedziałem za stołem na drewnianej ławie, wpatrywałem się z nadmierną uwagą w otwarty zeszyt do matematyki, od pewnego czasu byłem w stanie w okamgnieniu rozwiązać każde zadanie, toteż z nudów coraz częściej zamiast algebraicznych równań zapisywałem zasłyszane zdania. Wpierw pisałem z szybkością dźwięku, czyli zgodnie z szybkością przez nich wypowiadanych, przeze mnie zaś słyszanych słów, potem trochę przyśpieszałem i pisałem szybciej, niż oni mówili, i zawsze starałem się odgadnąć ostatnie, a niekiedy i przedostatnie słowo w zdaniu. Zwłaszcza w przypadku pana Trąby było to ciekawe, pan Trąba był pod względem stylistycznym o wiele bardziej nieprzewidywalny niż ojciec. Na przykład teraz byłem pewien, że ostatnim słowem w jego frazie będzie słowo „testament", ale myliłem się. Pan Trąba był rozeźlony do granic furii, a wtedy jego nieprzewidywalność rosła.

– Oto dowód, panie Naczelniku – krzyczał spazmatycznie. – Oto dowód! – I wydobywał zza pazuchy szesnastokartkowy bezdrzewny zeszyt w kratkę, jeden z tysiąca identycznych zeszytów, które zapisałem tysiącami łamigłówek matematycznych, i w których od niedawna jąłem zapisywać zasłyszane zdania.

– Oto dowód, panie Naczelniku – pan Trąba rozprostowywał kartki i miarkował oddech. – Postanowiłem na koniec uporządkować moje doznania i spisać poglądy, przynajmniej te co radykalniejsze. Chciałem też dać swój życiorys i wspomnienie moich czcigodnych przodków, ale od tej idei odstąpiłem. W końcu, jak pan słusznie zauważył, całe życie byłem w szponach nałogu i wszystko, co w życiu osiągnąłem, zawdzięczam nałogowi. Pisać wszakże o tym kłopot, a i wstyd, nie tyle przed przyszłymi

czytelnikami tego nikczemnego kajeciku, ile wstyd przed samym sobą. Podobnie jak nie jestem pewien, czy mój śp. tatuś życzyłby sobie, by eksponować na piśmie okoliczność, iż i on całe życie tkwił w szponach nałogu, a nie eksponować tego nie sposób, ponieważ śp. tatuś niczym innym się nie zajmował. I śp. moja mamusia tkwiła, i obaj dziadziusiowie tkwili, chociaż podobno dziadziuś ze strony mamusi utkwił późno. W każdym razie z powodu pewnej rysującej się tu, że tak powiem, monotonii estetycznej odstąpiłem, jak powiadam, od idei wspominania moich czcigodnych przodków, ominąłem też własny biogram i postanowiłem poprzestać na spisaniu moich najradykalniejszych poglądów. Wszakże i to mi się nie powiodło. Napisałem na początek stosowną inwokację, pochyliłem się nad nią, ponieważ coś mnie w tych kilku wierszach niewymownie drażniło, niepokoiło, przeanalizowałem słowo po słowie, i przeraziłem się… I dałem sobie spokój, bo pojąłem, że zostało mi tak mało czasu, iż żadną miarą nie zdołam zapisać nawet szesnastokartkowego zeszytu w kratkę… Pan posłucha, panie Naczelniku – i pan Trąba otwarł zeszyt na pierwszej stronie i rozdygotanym głosem, bez troski o interpunkcję, jął czytać:

> Ku chwale Pana i wszystkich dzieł Jego zaczynam nucić tę złowrogą piosenkę, ku chwale dymówki na parapecie, ku chwale Bawolej Góry na horyzoncie, ku chwale morfinistek, ku chwale włosów i ku chwale szamponów, ku chwale kałamarza i ku chwale bibularza, ku chwale przyświecającej mi świecy, ku chwale ołówka, którym piszę i nawet ku twojej chwale, mój ty nienawistny zeszyciku w kratkę…

Pan Trąba przerwał nieoczekiwanie, spojrzał na ojca i rytualnie zapytał:

– I co pan powie, panie Naczelniku?

– Piękna apostrofa i słusznej nagrody godna, ale za dużo to pan w tym fragmencie nie wyraził, panie Trąba, nieoczekiwanie rychło, powiedziałbym, złamał pan pióro.

– Wystarczająco wiele powiedziałem, a raczej wystarczająco wiele mną zostało tu powiedziane, by włos zjeżył się na głowie – w głosie pana Trąby słychać było bardzo daleki tętent złych mocy. Poczułem lodowaty dreszcz przebiegający po plecach.

– Nie bardzo rozumiem – ojciec trwał przy bagatelnej tonacji.

– Zwrócił pan uwagę na frazę: „Ku chwale dymówki na parapecie”?

– Ku chwale dymówki?… No tak… ku chwale jaskółki… ładna, poetycka i nagrody godna fraza – ojciec spojrzał w kierunku kredensu.

– Panie Naczelniku, dajmy sobie spokój z nagradzaniem mnie za kunszt formalny, zwłaszcza że nie ja własną rękę prowadziłem. Widział pan kiedy dymówkę na parapecie?

Ojciec przyglądał się teraz panu Trąbie z intensywnym namysłem.

– Widział pan kiedy jaskółkę na parapecie? Nie widział pan, bo nie mógł widzieć. Nie jest w zwyczaju tych zresztą bardzo kiepsko poruszających się poza przestrzenią powietrzną ptaków przysiadanie na parapetach… Z wyjątkiem mojego parapetu. Rozumie pan? Codziennie o czwartej albo piątej nad ranem widzę na moim parapecie dymówki, całe mnóstwo dymówek, tupoczą, dziobią, trzepocą skrzydłami. Raz po raz zdają się podrywać do lotu, ale nie, nie odlatują, zostają, zdaje się, że ich ciągle przybywa, wciąż muszą lądować nowe, choć nie widzę ich w powietrzu, widzę je tylko na parapecie, dymówki na parapecie, setki skłębionych dymówek na parapecie, lada chwila szyba pierzchnie i zaczną wspinać się na mnie… Rozumie pan? A wie pan, co się dzieje na balkonie? Kto widzi jaskółki na swoim parapecie, niech zburzy balkon, taką ułomną mądrość króla Salomona ja panu powiem, panie Naczelniku.

Rozdygotana dłoń pana Trąby poruszała się ruchem konika szachowego, a może biegła tropem innych nieuchwytnych zwierząt.

– Ku chwale salamandry? Ku chwale ropuchy? Ku chwale pasikonika? Ku chwale jastrzębia i iguany? Ku chwale szczura i jaskółki?

Ojciec przełknął ślinę.

– I co pan wtedy robi? Ucieka pan?

Pan Trąba wzruszył ramionami.

– Stosuję najprostszy sposób, po którym znikają bez śladu. Na chwilę przynajmniej.

Jeszcze raz spojrzał na zapisaną chybotliwym pismem inwokację i na poetyczny wstęp do litanii radykalnych poglądów, które nigdy nie zostaną uwiecznione, i z dezaprobatą pokręcił głową.

– Z tymi morfinistkami to też niedobre: „ku chwale morfinistek", nadto pośpieszny haracz spłacany doraźności, choć z drugiej strony jest przecież tego typu silna tradycja literacka. Zna pan, panie Naczelniku, wiersz Charlesa Baudelaire'a *Do przechodzącej*?

– Nie znam – odparł głucho ojciec.

– Nawet jeśli pan nie zna, to mam nadzieję, iż wierzy mi pan, teraz mi pan wierzy, iż mój wydziobany przez deliryczne ptactwo mózg szykuje się do poznania tamtego świata?

Ojciec milczał, głos pana Trąby zaś brzmiał nieoczekiwanie pogodnie.

– Długo myślałem, panie Naczelniku, długo myślałem i mniej więcej wiem, co powinienem moim ostatnim uczynkiem uczynić dla ludzkości, tyle że moja wiedza jest ogólna, a uczynek winien być konkretny.

– Panie Trąba, gdybym ja był na pana miejscu… – w głosie ojca słychać było pełną napuszonej dydaktyki powagę, której nie znosiłem. – Gdybym ja był na pana miejscu i gdybym istotnie, dajmy na to, wiedział, że pojutrze umrę, to jutro przeżyłbym tak samo, jak przeżyłem wczoraj. Zjadłbym śniadanie, podociekałbym prawdy pomiędzy wierszami „Trybuny Ludu", popracował w ogrodzie…

– Doceniam piękno i szlachetność idei, by dzień jutrzejszy przeżyć tak jak dzień dzisiejszy czy wczorajszy, ale mnie ten rodzaj piękna i ten rodzaj szlachetności nie dotyczy. Moje życie, panie Naczelniku, od zarania upływa pod presją nieodzownej zmiany. Od kiedy pamiętam, obiecuję sobie, że jutro będzie inne od wczoraj, przyszły tydzień odmienny od minionego, od kiedy pamiętam, moje dzisiaj ma być zawsze cezurą pomiędzy starym a nowym życiem, od kiedy pamiętam, codziennie usiłuję coś zmienić i teraz, kiedy nadchodzi zmiana niechybna, teraz, kiedy moja obecność rychło zamieni się w moją nieobecność, jeszcze podczas mojej obecności mam zamiar uczynić coś dla świata, co, nie będę ukrywał, formalnie i treściowo urozmaici finał mojej bytności na tym padole.

– Cóż to takiego ma być, panie Trąba?

– A co można uczynić, kiedy nie ma co czynić, kiedy wiadomo, że nie zbuduję już domu, nie założę rodziny, nie wychowam dziecka, nie uporządkuję i nie spiszę swoich poglądów, nie oddam należytej czci przodkom, a nawet nie porzucę moich nałogów? Co można zrobić, kiedy

nagle daje znać o sobie straszliwy brak, pustka, droga tonąca w azjatyckiej trawie, brzeg urwisty, nicość i mdłości? Co pozostało, kiedy nic nie pozostało?... Zabić kogoś pozostało.

Ojciec niecierpliwie machnął ręką.

– Kiepski żart, panie Trąba, a jeśli nie jest to żart, to pan faktycznie musisz mieć znaczne ubytki w bocznych płatach potylicznych.

Pan Trąba był wszakże całkowicie pogrążony w nieubłaganej logice własnego wywodu.

– Zabić kogoś pozostało, zabić kogoś, kogo zabicie będzie dobre dla ludzkości. Kogo? Rzecz jasna jednego z wielkich tyranów ludzkości. Na dziś sytuacja z wielkimi tyranami ludzkości przedstawia się następująco: Adolf Hitler – *passé*, Józef Stalin – *passé*. Kto pozostaje? Niezbicie pozostaje przewodniczący Mao Tse-tung.

Ojciec wybuchnął sztucznym, wymuszonym, przesadnie ekstatycznym śmiechem.

– Mam nadzieję, panie Naczelniku, że pański śmiech nie jest śmiechem szyderczym, ale że jest to śmiech człowieka zachwyconego, więcej powiem, śmiech zachwyconego swym dziełem demiurga, śmiech Boga. Przecież kto jak kto, ale pan, panie Naczelniku, musi docenić mroczne piękno idei zabicia przewodniczącego Mao Tse-tunga. Został pan upodlony przez Moskwę? Tak czy nie? Został pan upodlony! – odparł sam sobie pan Trąba. – Został pan bezpowrotnie upodlony pod względem moralnym. A skoro sprawy moralne bezpowrotnie przepadły, zachwyćmy się przynajmniej czystym pięknem naszego upadku. „Moralności stało się już zadość, teraz przychodzi kolej na Smak, a także na sztuki piękne", jak powiedział pewien występny Brytyjczyk w rozprawie *O morderstwie jako jednej ze sztuk pięknych*. Tak, panie Naczelniku, zabójstwo przewodniczącego Mao może być sztuką piękną i to jest rozumowanie nie do obalenia. Już sama wyprawa do Państwa Środka będzie źródłem niebywałych doznań estetycznych. Rozważmy jedynie hipotetyczną trasę tej zabójczej podróży.

Pan Trąba jął pewnymi i po wielekroć ćwiczonymi ruchami kreślić w powietrzu mapę kontynentu.

– Najprościej by było, rzecz jasna, koleją transsyberyjską dojechać do Władywostoku. Tam, pod Władywostokiem, przekroczyć chińską granicę, cofnąć się trochę do Harbina, zyskać wsparcie tamtejszej Polonii, głównie mam na myśli suchy prowiant, ale wsparcie moralne również, i następnie z Harbina jak biczem strzelił cały czas polami ryżowymi, omijając Czangczun, Mukden i Anszan dotrzeć do stolicy Chińskiej Republiki Ludowej. Niewątpliwie byłby to, choćby w sensie czasowej wydajności, najskuteczniejszy wariant. Posiadam wszakże ścisłe informacje, iż w związku z notorycznym naruszaniem przez stronę chińską terytorium radzieckiego granica w pobliżu Władywostoku jest tak pilnie strzeżona, iż chińska mucha nie przeleci, radziecka mysz się nie prześliźnie. Trzeba by więc raczej wpierw do Moskwy, potem z Moskwy koleją i autobusami przez Kazań, Czelabińsk, Pietropawłowsk, Nowokuznieck aż do Irkucka, i dalej już piechotą w kierunku mongolskiej granicy. Najlepiej, jak się dowiadywałem, granicę rusko-mongolską przekroczyć pod Kiachtą, stamtąd zaś zaprzęgiem konnym do Ułan Bator i potem już cały czas stepami, stepami, do samego Pekinu.

– Stepami do Pekinu, powiada pan – powtórzył z jadowicie symulowanym namysłem ojciec. – Stepami do Pekinu… A w Pekinie? A w Pekinie co?

– Jak to co w Pekinie? – rozeźlił się nagle pan Trąba. – Daruje pan, panie Naczelniku, ale z panem to niekiedy jak z małym dzieckiem. Jak to co w Pekinie? W Pekinie trzeba się rozejrzeć.

– Jak rozumiem, trzeba się rozejrzeć za przewodniczącym Mao, kiedy go zaś zoczymy, kiedy Przewodniczący się napatoczy, kiedy sam nam wlezie w łapy w jakimś pekińskim zaułku to… – ojciec klasycznym gestem przesunął dłonią po gardle.

– Trzeba się rozejrzeć – teraz pan Trąba jadowicie symulował stoicki spokój – trzeba się rozejrzeć za drogą wiodącą do Pałacu Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych. To jest gdzieś w samym sercu Pekinu, pomiędzy Miastem Wewnętrznym a Miastem Cesarskim, w pobliżu Miasta Zakazanego wręcz.

– Tak, i co dalej? Docieramy do Pałacu Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych, i co dalej? – ojciec ostentacyjnie mówił tonem cynicznego psychiatry rozmawiającego z pobudzonym pacjentem.

– Dalej dowiadujemy się, czy Przewodniczący jest w środku i jeśli jest w pobliskiej herbaciarni, czekamy na zapadnięcie nocy. Mao, tak jak większość despotów, prowadzi nocny tryb życia, w związku z czym trudniej zaskoczyć go we śnie, bo śpi w dzień. A poza tym wie pan, panie Naczelniku: śpiącego zabijać nie honor.

***

– Ach, chyba tysiąc, a może i dwa tysiące razy widziałem tę scenę, panie Naczelniku, widziałem ją w moich delirycznych snach i widziałem ją na mojej skacowanej jawie, widziałem ją w malignie i w niepodważalnej przytomności umysłu; nadlatywały jaskółki dymówki i niosły w dziobach ogromny jak obłok ekran, na którym widziałem samego siebie, jak mylę straże, jak najgłębszą pekińską nocą znajduję się nagle wewnątrz Pałacu Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych, idę długim korytarzem, wysłanym niesłychanymi dywanami, zaglądam do kolejnych sekretariatów urządzonych z dalekowschodnim przepychem, nigdzie nie ma żywego ducha, choć słychać stukot maszyny do pisania. Za którymiś drzwiami widzę zdumioną twarz chińskiej sekretarki albo strażniczki, może nawet jest to nałożnica Mao, ma na sobie ciemną spódnicę, białą bluzkę, na szyi niedbale zawiązaną czerwoną chustę, to nonszalanckie niedbalstwo dobitnie świadczy o zażyłości, jaka musi ją łączyć z Przewodniczącym, który – czuję to niezawodnym węchem łowcy despotów – który jest już blisko. Jest za tymi masywnymi, pokrytymi pancerną łuską spękanego lakieru drzwiami. Naciskam mosiężną klamkę, wstępuję do jaskini wypełnionej szmerem jego smoczego oddechu. Identyczna sekretarka, strażniczka, nałożnica, w identycznej bluzce i spódnicy, z identyczną chustą niedbale spowijającą szyję, podaje mu kryształowy kielich wypełniony, bo ja wiem czym, chyba mlekiem po prostu. Mao odziany w biały płaszcz kąpielowy siedzi na niziutkim, wyścielanym specjalnym atłasem taborecie. W obu dłoniach trzyma zwój starochińskiego papirusu, unosi głowę w kierunku pochylającej się nad nim służebnicy i dostrzega mnie, czarnoskrzydłego anioła egzekucji, i natychmiast w lot pojmuje całą sytuację, wie, że ja, pan Trąba, jestem delegatem, który przybył tutaj, do Zakazanego Miasta, aby w imieniu ludzkości wykonać to, co trzeba wykonać. I ten masywny, tłusty,

siedemdziesięcioletni Chińczyk z potwornym piskiem rzuca się do panicznej ucieczki. Ścigam go, lecę za nim, frunę z lekkością, jaka się zdarza w bardzo rzadkich snach. Białe poły jego kąpielowego płaszcza furkoczą, jego nieludzki i nawet po chińsku nieartykułowany pisk mnie prowadzi, przelatujemy jeden, drugi, trzeci korytarz, za sobą słyszę tupot czółenek na płaskim obcasie, sekretarki, strażniczki, nałożnice śpieszą mu na pomoc, zbliżam się do niego coraz bardziej, on ogląda się za mną, w jego skośnych, zawsze pełnych sutej bolszewickiej pychy oczach widzę czarną rozpacz i po ludzku, całkiem po ludzku robi mi się go żal.

„Towarzyszu Mao!" – wołam najłagodniej, jak mogę. –„Towarzyszu Przewodniczący Mao, poddajcie się, proszę was, towarzyszu, wasz dalszy opór jest bezcelowy, zatrzymajcie się, towarzyszu, i spokojnie oddajcie się w moje ręce, nie macie wyjścia, towarzyszu Mao, ja nie zrezygnuję, nie poddam się i nie odstąpię od wykonania powierzonego mi przez ludzkość zadania. A poza tym zważcie, towarzyszu, nakład sił i środków włożonych docelowo w waszą egzekucję. Przecież ja sam, prosty pan Trąba, na własnych nogach przemierzyłem całą Azję, nielegalnie przekraczałem granice, umykałem patrolom, przepłynąłem wpław Wołgę, Irtysz, Jenisej, Lenę, Amur i Huang-ho, z narażeniem, towarzyszu Mao, z wielkim narażeniem dążyłem do was..."

I umykający Mao, jakby słysząc i pojmując moją apelację, zwalnia i zatrzymuje się, ja również zwalniam, podchodzę doń normalnym krokiem, choć wściekle zdyszany, chcę jeszcze, zanim go unicestwię, powiedzieć coś pojednawczego.

„Idea powszechnej szczęśliwości w komunizmie może jest i piękna literacko, ale wcielona w życie prowadzi do zbrodni i mordu" – to stereotypowe i w końcu fałszywe zdanie mam zamiar wypowiedzieć, o jakimż pięknie idei tu można mówić, idea również była mordem i zbrodnią. Wiedziony wszakże rytualną galanterią, jaką kat winien żywić w stosunku do ofiary, godzę się na fałsz. Dobry i fałsz, jeśli jakoś osłodzi mu ostatnie chwile, tym argumentem pokonuję własny opór moralny, jaki żywię dla fałszu, i otwieram usta, i kładę mu pojednawczo dłoń na ramieniu, gdy on nagle z obelżywą prędkością obraca swoją twarz ku mnie, wykoślawia rysy w ohydnym grymasie, raptownie wysuwa z ust język długi i szpiczasty jak włócznia wojownika z dynastii Ming, i językiem tym,

obłożonym płatami zielonej pleśni, zaczyna gmerać w powietrzu, język Przewodniczącego Mao wije się i pełznie, jakby wiódł osobne jaszczurcze życie, wije się i pełznie, i najwyraźniej daje mi sprośne i plugawe znaki. „Precz z komuną!" – ryczę chrapliwie, on wydaje kolejny, ale tym razem osobliwie triumfalny pisk i rzuca się do kolejnego etapu ucieczki, oddala się na niebezpieczną odległość, znów ruszam, ruszam tropem jego pisku, przelatujemy przez następne wiodące coraz niżej korytarze, kątem oka widzę wiszące na ścianach, namalowane przez dawnych cesarzy obrazy, przedstawiające ogrody powszechnej szczęśliwości, poły białego kąpielowego płaszcza furkoczą i najwyraźniej przeszkadzają Przewodniczącemu, bo w biegu stara się zrzucić z siebie to krępujące ruchy odzienie, jeden rękaw, drugi, Mao zsuwa z ramion śnieżnobiałą szatę i ciska nią w moim kierunku, żadnej wszakże szkody nie czyni mi ten wybuchający u mych stóp pocisk skłębionego jedwabiu. Pędzę dalej przez coraz bardziej zawiłe labirynty Pałacu Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych, przede mną zaś umyka goły jak święty turecki Przewodniczący Mao Tse-tung. Niechybnie zmierzamy w kierunku znajdującej się w podziemiach biblioteki, na ścianach pojawiają się etażerki wypełnione żółtawymi zwojami papirusów, nagi i bezwłosy Mao z właściwym rewolucjonistom brakiem poszanowania dla tradycji czyni oręż z tych, istotnie przypominających ogromne laski dynamitu, rulonów, raz po raz przelatują obok mnie starochińskie poematy, powieści, traktaty i dzieje dynastii, ciskane przez Mao Tse-tunga rozwijają się w locie i suną w moim kierunku niczym pergaminowe smoki, zwoje ostrych i twardych jak blacha papirusów wypełniają korytarz, poziom klasycznych manuskryptów stopniowo się podnosi, wpierw sięgają mi do kolan, potem do pasa, moje ruchy są coraz wolniejsze i wzrok coraz bardziej ospały, ale też jest to już koniec, koniec przygód, koniec labiryntu i koniec Przewodniczącego Mao. Dopadam go wreszcie w zakolu korytarza, w niewielkim pomieszczeniu, które może jest opuszczoną wartownią, a może nieczynną centralą telefoniczną, dopadam go, widzę piaszczysty, azjatycki pot na jego ramionach, dopadam go, wyciągam ręce i gołymi rękami, gołymi rękami, panie Naczelniku, gołymi rękami… – pan Trąba załkał i ocknął się z narracyjnego transu.

Tym razem zgadłem – od początku wiedziałem, że ostatnim słowem w monologu pana Trąby będzie słowo „ręka”.

2

Tym razem zgadłem, od początku wiedziałem, że ostatnim słowem w monologu pana Trąby będzie słowo „ręka". Byłem tego bosko pewien i nie odczuwałem zwykłej satysfakcji, iż świat układa się po mojej myśli, a rozlegające się na nim języki mówią to, co pragnę, by zostało powiedziane. Nie dbałem wszakże o satysfakcję, siedziałem w naszej ogromnej jak otwarte niebiosa kuchni i czekałem, aż zapadnie wieczór i zapalą się światła w Domu Towarowym Rychtera.

Nie dbałem o wszeteczne sekrety morfinistek, nie dbałem o przedśmiertne dzieła pana Trąby, nie dbałem o matematykę, w głębi serca nie dbałem nawet o zasłyszane zdania, które bezwiednie stenografowałem albo z niepojętą prędkością notowałem w pełnej krasie graficznej.

Uganiałem się tego lata za anielicą mojej pierwszej miłości i poza pierwszymi porywami nie dbałem o nic. Właściwie nie uganiałem się za anielicą mojej pierwszej miłości, za wszystkimi późniejszymi anielicami – tak jest – uganiałem się. Ale za anielicą mojej pierwszej miłości nie tyle się uganiałem, co próbowałem nawiązać z nią jakikolwiek kontakt. Byłem niczym powiatowy obserwator chmur, co chce dotrzeć do pozagwiezdnych sfer.

Ceglana galaktyka Domu Towarowego Rychtera graniczyła wprawdzie z naszym światem, ale anielica mojej pierwszej miłości mieszkała wysoko, jej piętro było tysiąc razy dalsze niż trzeszczące tuż nad głową poddasze morfinistek. Zaszczuty własnymi żądzami gapiłem się w białawą planetę jej okna, trzęsły mi się ręce, nie mogłem utrzymać w garści obsadki ze stalówką redis, czarno-zielone rzeki fal radiowych łagodnie przepływały przez białe i wyludnione śródmieścia – Nicea, Londyn, Rzym, Madryt…

DLACZEGO – pisałem ogromnymi literami na odwrocie arkusza bristolu, na którym parę dni temu nakreśliłem sobie dla wprawy klasyczny układ dwu współśrodkowych pierścieni kołowych, których iloczynem jest

pierścień. DLACZEGO – pisałem ogromnym technicznym pismem – DLACZEGO PANI SIĘ NIE – pisałem w nadziei, iż rozmiar i kontrast są wystarczająco czytelne – DLACZEGO PANI SIĘ NIE UŚMIECHA? – stawiałem monstrualny w swojej głębi psychoanalitycznej znak zapytania. Następnie pluskiewkami przypinałem bristol do stołu, przysuwałem stół do okna, puszczałem radio na pełny regulator, zamknięte wewnątrz czarno-zielone żywioły i powodzie grały na całego, byłem pewien, lada chwila eksplodują i obrócą w pył bakelity i lampy „Pioniera".

Ale czy to wystarczy? Czy ta eksplozja zwróci jej uwagę? Po kilku, a może kilkunastu próbach, po tygodniu, a może po dwu tygodniach wytężonych prac stało się. Radio co prawda nie obróciło się w pył ani nie rozpadło na kawałki, ale i tak stało się najgorsze. Anielica mojej pierwszej miłości pojawiła się w oknie i jęła nieustępliwie wpatrywać się w czysto – jak w głębi serca miałem nadzieję – retoryczne pytanie wypisane wielgachnymi literami na bristolu. Chryste Panie – co robić? Znajdowałem się w niezwykle niewygodnej pozycji. Przywierałem mianowicie plackiem do przyokiennej ściany, twarz moja ściśle przylegała do okiennicy, byłem w zasadzie bezpieczny i niewidoczny, ale przecież znaczna część mojej głowy musiała być widoczna! Musiała być widoczna, bo sterczała na zewnątrz, sterczała na zewnątrz, bo lewym okiem (kątem lewego oka) starałem się kontrolować sytuację i nieustannie sprawdzałem, czy zwabi ją wznosząca się pod niebiosa symfonia oślepłych dźwięków, czy spojrzy w moje okno, czy zobaczy i czy odczyta napis. A tu masz: zwabił ją, spojrzała, dostrzegła i jęła odczytywać. Postanowiłem, że nie drgnę, nie ruszę się nawet o pół milimetra. W końcu z tej odległości, ściśle i bez kosmicznej poetyczności rzecz biorąc, musiało to być w linii prostej i tak sporo, dobrych kilkadziesiąt metrów. Z tej odległości fragment mojej głowy mógł z pewnością uchodzić za spowodowane wilgocią wybrzuszenie na okiennicy. Albo za jakiś sprzęt wiszący na ścianie (Bogiem a prawdą – byłem nim, byłem sprzętem wiszącym na ścianie), za sprzęt wiszący na ścianie, którego część wystaje na zewnątrz. Na przykład owalne lustro w dębowej ramie. Dlaczegóż by w tym miejscu, perswadowałem jej telepatycznie, nie miało wisieć owalne lustro w dębowej ramie, którego fragment wystaje? Ono tu przecież jest, wisi i wystaje! Albo – dajmy na to – sukienna kieszeń na szczotki uszyta przez zapobiegliwą gospodynię…

W domach, zwłaszcza zaś w domach na prowincji, zwłaszcza w ewangelickich domach na prowincji, często przecież widuje się umocowane na ścianach sukienne kieszenie na szczotki uszyte przez zapobiegliwe gospodynie… Wprawdzie matka wiecznie zajęta porządkowaniem korespondencji z Biskupem nie jest przesadnie zapobiegliwą gospodynią, ale w końcu co tobie do tego… I brnąłbym tak bez końca w tę dobrze sprawdzoną i przez to bezkarną groteskę, gdybym nagle nie pojął, że coś tu nie gra, coś to za długo trwa, w końcu jak długo można czytać zdanie pytajne: „Dlaczego pani się nie uśmiecha?" Widocznie jednak układ świateł był niedobry, odległość zbyt wielka, może jeszcze pojawiły się jakieś inne perypetie, w każdym razie anielica mojej pierwszej miłości nie była w stanie poradzić sobie z komunikatem, który wprawdzie do niej dotarł, ale był niepojęty.

I wiecie, co ta bestia wtedy zrobiła? Przerwała deszyfrację komunikatu, uniosła głowę oraz rękę, i jęła swą niesłychaną dłonią machać w moim kierunku. Przez chwilę jeszcze trwałem w moich nowych wcieleniach, przez chwilę jeszcze byłem spowodowanym wilgocią wybrzuszeniem, fragmentem lustra, sukienną kieszenią, ale ponieważ anielica mojej pierwszej miłości po prostu mnie widziała, nie pozostawało nic innego jak powrót do samego siebie. Zamknąłem oczy. Zamknąłem oczy, przesunąłem się wzdłuż ściany, na dobre zniknąłem z pola jej widzenia, ściszyłem radio, dopełzłem do wyłącznika i zgasiłem światło. Powitalny transparent DLACZEGO PANI SIĘ NIE UŚMIECHA? utonął w ciemnościach, na całej planecie zamarło życie.

Ukucnąwszy, siedziałem po ciemku i byłem rad, że jest już po wszystkim. Czas – powtarzałem niedawno usłyszaną naukę – czas wszystko leczy, za jakieś dwa tygodnie nie będę się już niczego wstydził. Doszliśmy do punktu brzegowego, a punktem brzegowym figury nazywamy taki punkt, w którego każdym otoczeniu znajdują się zarówno punkty tej figury, jak i punkty do niej nie należące. Zbiór punktów brzegowych figury nazywamy jej brzegiem – szepnąłem do siebie i odetchnąłem na dobre.

Po niedalekim nasypie wspinała się lokomotywa, przystawała co chwila niczym znużony wędrowiec, maszynista mówił coś do pomocnika, ktoś szedł najkrótszą w świecie drogą pomiędzy nami a Domem Towarowym Rychtera, ktoś tam szedł po krawędzi nocy, pogwizdywał, kopał puszkę po sardynkach, jej uderzenia o asfalt brzmiały niesłychanie płynnie, ktoś prowadził puszkę po sardynkach niczym Roman Lentner piłkę, ktoś podbijał puszkę wielką niczym futbolówka, już miał oddać strzał w kierunku bramki, gdy nagle jak spod ziemi wyrastał przed nim obrońca, walczyli nieustępliwie, łoskot i chrzęst były takie, iż zdawać się mogło – nie klubowe koszulki, ale zbroje z cienkiej blachy mają na sobie. Wpierw pojedyncze, potem coraz częstsze gwizdy zaczynały rozlegać się z trybun, jeden za drugim frunęły stamtąd najdziwniejsze przedmioty i rozbijały się z hukiem o twardą jak asfalt murawę.

Poderwałem się na równe nogi, zapaliłem światło, skoczyłem do okna. Anielica mojej pierwszej miłości miotała się jak szalona, gwizdała na palcach i metodycznie ogałacała swój pokój z wszelkich przedmiotów, ciskając nimi o bruk. No tak – przemknęło mi przez głowę – ona ma przecież jakieś dwadzieścia sześć albo dwadzieścia siedem lat, a w tym wieku rzeczy już nie mają znaczenia. Anielica mojej pierwszej miłości wypłaszała mnie z jamy mojego dziewiczego lęku gradem popielniczek, sztućców, kubków, szklanek, opakowań po nie wiadomo czym, we wszystkich oknach Domu Towarowego Rychtera zapalały się światła, przypadkowi przechodnie zatrzymywali się i błyskawicznie z przypadkowych przechodniów przeistaczali się w przypadkowych świadków zdarzeń, z daleka słychać było sygnał nadjeżdżającej karetki albo straży pożarnej.

Teraz ja machałem do niej, dawałem znać, jestem, godzę się na wszystko, wysyłałem jakieś uspokajające powietrze posłannictwa, łagodziłem jej furię za pomocą jakiegoś niepoczytalnego alfabetu niezbornych gestów. Wreszcie mnie dostrzegła i znieruchomiała. Wskazałem teraz bardzo wolno wskazującym palcem na samego siebie, a potem wyciągnąłem obie dłonie w jej kierunku, co miało znaczyć: zaraz do ciebie przyjdę i pozwolę ci poigrać moim młodym i dziewiczym ciałem, ale ona ku mojemu najwyższemu zdumieniu przecząco pokiwała głową i obróciła swą niesłychaną dłoń w dół, w kierunku zasłoniętej zieloną kratą

witryny działu obuwniczego. Ponowiłem mój gest, nie rozumie, pomyślałem, albo nie wierzy własnemu szczęściu, ale nie, ona stanowczo i definitywnie wskazała w kierunku masywnej kraty strzegącej kilku par nędznych gomułkowskich czółenek. Uniosłem w górę przegub lewej dłoni i wskazałem cyferblat mojego zegarka marki „Poljot" z kalendarzem. Kiedy? Natychmiast – odparła, czyniąc znak figury domkniętej. W górze słychać było spazmatyczny szept morfinistek, ojciec dociekał prawdy pomiędzy wierszami „Trybuny Ludu". Drogi i umiłowany Księże Biskupie, pisała matka, na razie na brudno, nogi uginały się pode mną, noc miała w sobie dziecięcą intensywność atramentu.

Anielica mojej pierwszej miłości stała pod działem obuwniczym, była odziana w czarny rozpinany sweter sięgający do połowy uda, pod pachą zaś ściskała ni to torebkę, ni to raportówkę, ni to dziennik lekcyjny.

– Co tam jest napisane? – zapytała z najwyższym zniecierpliwieniem. W śmiertelnym przerażeniu widziałem, zauważyłem i zapamiętywałem wszystko. W obłąkaniu swym byłem wręcz w stanie przepowiadać nie tylko ostatnie słowa nie wypowiedzianych jeszcze zdań, byłem w ogóle w stanie dostrzegać całą niedaleką przyszłość. Czarny, sięgający do połowy uda sweter oznaczał ni mniej, ni więcej, iż stoi przede mną i przemawia do mnie kobieta w mini. Nie wierzyłem ani nie wiedziałem, że to kiedykolwiek nastąpi. Epoka odsłoniętych nóg miała nastać dopiero za rok. Dopiero za rok zostaną obcięte spódnice i sukienki, dopiero za rok kilkaset milionów damskich nóg ujrzy światło dzienne, dopiero za rok ziemia stanie się lekka jak rzepka kolanowa licealistki. Dopiero za rok i parę miesięcy Małgosia Snajperek prowadząca w centrum odpustową strzelnicę skróci wyszarzałą sukienczynę, zabłyśnie niepojętą bielą ud i kolan i z dnia na dzień z niepozornego i dostępnego wszystkim kaczątka przeistoczy się w nieosiągalną boginię seksu. Dopiero za rok wszystkie Małgosie świata odprują od swoich szatek pasek mniej więcej trzydziestocentymetrowej szerokości, pokażą naszym osłupiałym oczom swoje boskie nogi od stóp do ud i natychmiast umkną na tych obnażonych nogach na odległość nie do pokonania. Dopiero za rok kobiety znów staną się nieosiągalne. Staną się nieosiągalne na mgnienie oka, bo na mgnienie oka obnażenie daje pozór nieosiągalności. Dopiero za rok.

A tymczasem prekursorka długości do połowy uda stała przede mną i mówiła do mnie:

– Co tam jest napisane?

– Dlaczego pani się nie uśmiecha – wyjąkałem.

Przez chwilę milczała, patrzyła na mnie z intensywną dociekliwością samorodnej psychoanalityczki, a potem powiedziała:

– Bo taka jestem. Nie uśmiecham się i już. Rozumiesz?

I uśmiechnęła się tajemniczo, i wzięła mnie pod rękę, i powiedziała:

– Chodź, pójdziemy na spacer.

Było to dziwne i, prawdę powiedziawszy, nigdy wcześniej ani później (zwłaszcza nigdy później) nie spotkałem się z tak osobliwym fenomenem kobiecej cielesności: ona z bliska wyglądała młodziej.

***

I było tak, jak potem zawsze bywało w moim życiu – przeważyła słabość, a także przeważyła odwrotność. Ja powinienem ją prowadzić. Ale było na odwrót, to ona mnie prowadziła, wiodła przez pachnący alkoholem park, przez dziczejące boisko piłkarskie, wzdłuż ciepłej rzeki, tam i z powrotem. Znałem te wszystkie miejsca tak dobrze, że od dawna przestałem je zauważać, od dawna nie było tych miejsc w mojej głowie, ale teraz ona, kuso odziana letniczka, przywracała istnienie temu co trzeba. Wdychałem zapach jej włosów, pachniały szamponem tataro-chmielowym, wdychałem ten zapach i bardzo wyraźnie czułem pod stopami żwir parkowej alejki, czułem dotyk jej dłoni i widziałem ciemną płaszczyznę boiska, zarys butwiejących bramek z czarnymi kłączami koprów wrośniętych w od lat niezdejmowane siatki, słuchałem jej osobliwego, jakby zduszonego, jakby borykającego się z nieustannym chichotem głosu i wdychałem idące od rzeki powietrze. Jeszcze nie wiedziałem, że moją sytuację można opisać za pomocą klasycznych aforyzmów: „Na wylot ci znane krainy dzieciństwa poznasz dopiero u boku kobiety swojego życia" – powiadał pierwszy aforyzm. „Dopóki zakochana kobieta nie spojrzy na twoją dziecięcą fotografię, dopóty nie urośniesz" – głosiła druga mądrość. „Pierwszy dzień pierwszej miłości jest ostatnim dniem twojego dzieciństwa, dotąd nie

istniałeś" – brzmiała kolejna niepodważalna w swojej arbitralności prawda. Do dziś nie wiem, kim byli autorzy tych nieśmiertelnych maksym, nie pamiętam nawet, gdzie je przeczytałem albo gdzie je usłyszałem, ich autorem mógł być zarówno król Salomon, jak i pan Trąba, zapomniany klasyk i przygodny towarzysz podróży, autor szkolnych lektur i młody poeta, którego wierszy nikt nie chciał drukować, to jest przecież i dziś bez znaczenia, a wtedy, ponad trzydzieści lat temu, gdy anielica mojej pierwszej miłości u progu letniej nocy wiodła mnie przez sam środek kraju moich lat dziecinnych, było to całkowicie bez znaczenia, wtedy nie tylko nie wiedziałem, kto jest autorem aforyzmów opisujących moją sytuację, ale w ogóle nie wiedziałem, że istnieją jakieś aforyzmy opisujące moją sytuację. Wtedy niejasne stworzenie, skrzydlaty płaz strachu i żądzy zaczynał się powoli ruszać w głębi moich trzewi i w głębi mej duszy, wtedy byłem szczęśliwy, że nie muszę nic mówić, ponieważ ona, anielica mojej pierwszej miłości, mówiła bez przerwy.

***

– Widziałam cię siedem razy – mówiła swoim stłumionym, jakby nieustannie zwiastującym wybuch serdecznego śmiechu głosem – widziałam cię siedem razy. Tak, Jerzyku mężczyzno, widziałam cię siedem razy. Widzisz, znam nawet twoje imię. Ale ja ci nie powiem, jak ja mam na imię. Dobrze, dobrze, nie obrażaj się, nie odchodź, nie zostawiaj mnie, nie przerywaj tak nagle naszego romansu ledwo zaczętego. Dobrze, powiem ci, jak mam na imię. Ale za chwilę. Pierwszy raz widziałam cię pod kioskiem „Ruchu", prawdę powiedziawszy, stałam tuż za tobą w kolejce i urzekły mnie twoje ramiona haniebnie przyodziane w białą koszulę. Nie gniewaj się, Jerzyku, ale po tej białej koszuli poznałam, że – jakby ci to powiedzieć, żebyś się znowu nie wściekł – więc po tej białej koszuli poznałam, że nie spędzasz tu wakacji, ale że spędzasz tu życie. W porządku. Na ogół ubierasz się bardzo dobrze, ale niekiedy, niekiedy można by to i owo poprawić. W każdym razie ja, biedna śpiąca królewna od siedmiu lat uśpiona erotycznie, od siedmiu lat będąca w letargu miłosnym, ujrzałam przed sobą kilkunastoletniego chłopca o bardzo męskich ramionach i poczułam, że się budzę. Może zresztą bez przesady z tym budzeniem. W każdym razie z bardzo dużym niepokojem

nasłuchiwałam brzmienia twojego głosu, Jerzyku, bałam się, że jak zabrzmisz makabryczną akustyką chłopca, który przechodzi mutację, natychmiast mi przejdzie, bałam się tego, ale moje obawy były przedwczesne. „Poproszę «Trybunę Ludu» i «Tygodnik Powszechny»" – powiedziałeś spokojnym, niskim i równie harmonijnie jak twoje ramiona ukształtowanym głosem.

Drugi raz cię widziałam, jak śledziłeś dwa ciała, które wynajmują u was pokój na poddaszu. Oj, Jerzyku, Jerzyku, mnie się te dwa ciała bardzo nie podobają, nie interesuj się tymi ciałami, Jerzyku, po co je podglądasz, po coś za nimi lazł, jeśli koniecznie chcesz, to po prostu nawet dziś jeszcze wdrap się po schodach na pięterko, zapukaj, a będzie ci otworzone, poproś, a będzie ci dane. Wcale mi nie chodzi o występność ciał, one zresztą wcale nie są aż tak występne, na przykład absurdalne plotki, które wszyscy powtarzają, że te dwa ciała szprycują się morfiną, no gdzież tam, no gdzież tam, przecież te ciała są za leniwe, żeby zdobyć morfinę, przecież te ciała są zbyt rozlazłe, żeby radzić sobie ze strzykawką, przecież te ciała są zbyt mało lotne, by nawet morfina była je w stanie uskrzydlić. Jerzyku, mylisz się… – Anielica mojej pierwszej miłości z całej siły i bardzo boleśnie wbiła palce w moje ramię i przerwała mówienie.

Nie będę ukrywał, że choć w pierwszej chwili z ulgą przyjąłem nieoczekiwaną ciszę, w sumie i na dłuższą metę było mi to nie na rękę. Byłem absolutnie zdominowany jej paniczną i wszechwiedzącą narracją, nawet gdybym miał przy sobie moje zbawcze rekwizyty, zeszyt i ołówek, i tak nie byłbym w stanie niczego zapisać ani tym bardziej przewidzieć ostatniego słowa. Żadne z jej słów nie sprawiało zresztą wrażenia ostatniego, jej myśl poruszała się z zatrważającą prędkością i we wszystkich kierunkach, była szybsza od dźwięku i była co najmniej tak szybka jak światło, bo tak jak światło docierała wszędzie. Słuchałem jej chciwie i zatraciłem się całkowicie w tym słuchaniu i teraz nie miałem zielonego pojęcia, co powiedzieć, jak przerwać milczenie coraz bardziej kłopotliwe w swojej elementarności.

– Przepraszam – powiedziałem na wszelki wypadek.

– Nie musisz mnie przepraszać, ale nie życzę sobie, żebyś sobie Bóg wie co wyobrażał. Nie wyobrażaj sobie, że jestem o ciebie zazdrosna, smarkaczu jeden – powiedziała z nagłą złością, ale zaraz głos jej złagodniał

i zaczęła mówić tak jak przedtem, szybko i z czułą perswazją w głosie. – Jerzyku, nie idzie o to, że to są dwa rozpustne ciała, idzie o to, że to są dwa ciała leniwe. Nie może być tak, Jerzyku, że ty u progu swego życia natkniesz się na leniwe ciało albo wręcz, o zgrozo i perwersjo, na całe dwa leniwe ciała. Spójrz w lustro, mój występny chłopcze.

Anielica mojej pierwszej miłości ujęła mnie pod brodę, przysunęła swoją twarz do mojej twarzy, dotknęła swym czołem mojego czoła i z niesłychaną intensywnością ni to hipnotyzerki, ni to okulistki jęła się wpatrywać w moje oczy.

– W głębi twoich zielonych oczu, Jerzyku próżniaku, widać całkiem wyraźnie krainę lenistwa, wznoszą się tam złote wzgórza, na których będziesz się wylegiwał, stoją tam kanapy twoich wielogodzinnych drzemek, piętrzą się zeszyty, których nigdy nie zapiszesz, jest tam tysiąc spokojnych miast, w których żył będziesz z dnia na dzień, tysiąc spokojnych białych miast o flegmatycznej architekturze i sprzyjającym klimacie, upały panują od samego rana, otwarty na przestrzał tramwaj jedzie przez zielone błonia, o, jak słodko będzie ci się, Jerzyku, mieszkać w sednie tego powoli budzącego się i zawsze przed ostatecznym rozbudzeniem usypiającego życia. Otwarte okna, ciemne mieszkania, bardzo ospałe dramaty mieszkańców, owalny stół nakryty serwetą, resztki uczt, co nigdy się nie kończą, hamaki, fotele, stare budownictwo, tysiąc łagodnych rzek pod tysiącem starych mostów, leniwe dziewczyny spacerują po trawiastych plażach…

Mój drogi, mój drogi, boję się, że już jest za późno. Kiedy istotnie się tak fatalnie zdarzy, że na samym początku młodości natkniesz się na leniwe ciało, będziesz ty stracony dla życia, twoje wrodzone próżniacze skłonności zostaną rozbudzone i utrwalone i przez całe życie będziesz szukał obiecanej krainy lenistwa, będziesz kroczył przez tysiąc spokojnych miast, całe życie będziesz łaknął leniwych ramion. Nie będziesz żył, ale będziesz spał, prześpisz życie, żyć czy spać, oczywiście, oto jest pytanie, ale w końcu jako wierzący ewangelik nie powinieneś za bardzo kombinować, ale trzymać się Pisma, a w Piśmie jest powiedziane, że wszystko ma swój czas, jest czas życia i czas snu. Czy ty nie rozumiesz, te dwa ciała śpią bez przerwy, to są po prostu dwie siostry wiecznie śpiące, które śpią, gdy idą, i śpią, gdy jedzą, i śpią, gdy stoją, i śpią, gdy siedzą? Czy wy wszyscy nie

rozumiecie, że one dlatego też taszczą w głąb zagajników babilońską kołdrę, bo muszą cały czas mieć przy sobie zbawczy, magiczny rekwizyt snu? Zrobisz, jak zechcesz, Jerzyku.

Trzeci raz cię widziałam, jak w towarzystwie mamy, taty i waszego wiecznie pijanego przyjaciela domu szliście w niedzielę na nabożeństwo do waszego kościoła. Gnana nie tylko ciekawością turystki poszłam za wami, siedziałam z tyłu na ławce pod wieżą. Podoba mi się u was, że nie trzeba klękać. Ale kazanie nie podobało mi się w ogóle. Kazanie było całkiem przerażające. Nie chciałabym dotknąć twoich uczuć religijnych, ale miejscowy ksiądz pastor sprawia wrażenie, jakby o wiele mocniej wierzył w diabła niż w Boga. Ściśle mówiąc, w diabła wierzy on niezbicie, natomiast, czy wierzy w Boga, pozostaje sprawą otwartą. Jeśli się nie mylę, Marcin Luter miał ten sam problem. Nie ma się w końcu czemu dziwić, albo się robi schizmę, albo się gra w gumy.

Czwarty raz cię widziałam na basenie, Jerzyku, pływasz kiepsko. Natomiast w piłkę nożną grasz niczym Brazylijczyk. W zeszłym tygodniu stałam na drodze idącej ponad boiskiem i wtedy widziałam cię po raz piąty, nienagannie prowadziłeś piłkę, a ta sytuacja, kiedy ruszyłeś prawie z połowy boiska, sprintem minąłeś dwóch obrońców, okiwałeś trzeciego i potem sam na sam z bramkarzem położyłeś go chytrym zwodem w jednym rogu bramki i delikatnym muśnięciem stopy umieściłeś piłkę w rogu przeciwnym. Ach, Jerzyku, to było tak piękne, że ręce same składały mi się do oklasków.

Szósty raz, mniejsza zresztą o to gdzie, widziałam cię po raz szósty… A siódmy raz i może tysięczny widziałam cię w twoim pokoju, jak podglądasz mnie zawsze w tej samej infantylnej pozie. Tysiąc identycznych póz liczę jako jedną pozę. Widzisz, Jerzyku, wiem o tobie wszystko. Ale nie obawiaj się, nie jestem funkcjonariuszką, co trzyma pod poduszką aparat podsłuchowy. Chociaż trochę się obawiaj. Ale teraz, żeby było sprawiedliwie, ja ci powiem wszystko o sobie. To znaczy o żadnej sprawiedliwości tu w ogóle nie ma mowy, ty w końcu nie powiedziałeś mi niczego, bo ty w ogóle niczego nie mówisz i twoje niemówienie jest, prawdę powiedziawszy, równie urzekające jak twoje ramiona. Mężczyźni, Jerzyku, do czterdziestki nie powinni mówić w ogóle, a i po czterdziestce niewiele. Nieliczne wyjątki potwierdzają regułę. Bardzo dobrze czynisz,

Jerzyku, że niewiele mówisz, że raczej starasz się w zamian zapisywać zasłyszane zdania. Jeśli jeszcze udałoby ci się wyzbyć paskudnej skłonności do leniwych ciał (choć to ci się nie uda, paskudniku jeden), kto wie, kto wie, może wyrósłby z ciebie mężczyzna prawdziwy? Chodź tutaj, odpoczniemy sobie.

I usiedliśmy na ławce nad brzegiem rzeki, za nami w oknach Centrum Sportowego paliły się światła, nasze zwielokrotnione cienie kładły się na wodzie, raz po raz pojedyncza moneta blasku padała na jej ruchliwe kolana. Okazało się, że to, co cały czas ściskała pod pachą, to nie była ani torebka, ani raportówka, ani dziennik lekcyjny. Choć dalej wszystkie moje władze poznawcze były przez nią absolutnie zdominowane, to jednak zdumienie miało do mnie dostęp, toteż z najwyższym zdumieniem przyglądałem się, jak anielica mojej pierwszej miłości kładzie na naszych przylegających do siebie udach niewielki album z fotografiami i odwraca kartę za kartą.

Spoglądałem na fotografie nieznanych mi ludzi z niechęcią i wstrętem, jakie budzić musi znieruchomiały tłum. Było tak, jakby przypadkowi przechodnie nagle stawali w miejscu, przybliżali się i zmuszali do kontemplowania swojej odrażającej przypadkowości, raz po raz wprawdzie pojawiała się w tym tłumie jej twarz, ale zawsze zmieniona, w innych fryzurach i w innych epokach. Znów mówiła do mnie, jej dłoń sunęła od fotografii do fotografii, opowiadała mi historię swojej rodziny, epizody z życia bliższych i dalszych znajomych, słuchałem i patrzyłem z uwagą, ale nic nie układało się tu w żadną całość.

– Tu stoję na balkonie, kiepskie zdjęcie, ale w głębi widać kawałek Żoliborza, w tym domu mieszkała Trusia, moja najlepsza przyjaciółka, jej zdjęcie też tu gdzieś jest, nie żyje, nie ma o czym mówić. Dziadkowie w drodze do Białego, przyjaźnili się z pewnym Niemcem, ale Niemca nie widać, on musiał fotografować. Ojciec, ale nie wiem gdzie, popatrz, stoi jakby pośrodku ogromnego pola z butelką piwa w garści, tyle czasu minęło, a ja ciągle nie mogę dojść gdzie, kto, kiedy zrobił mu takie zdjęcie, patrzy gdzieś przed siebie, jeszcze widzi, biedak, patrzy, jakby się chciał świata napatrzyć, równiny i trawy. Cała rodzina i wszyscy się śmieją, to naprawdę rzadkość, nigdy nikt by nie pomyślał, że to ja, a to ja w samym środku, nawet od ciebie jestem na tym zdjęciu młodsza, tu na praktyce w aptece

pana Mentzla, widzisz, jaka byłam piękna, jak mi do twarzy w białym chitonie. Stryjostwo Fiałkowscy z małym Tomkiem na sankach, do dziś go nie lubię, już jako dziecko oczy miał jak diabeł. Z matką w oknie, wiesz, że u mnie do dzisiaj wisi ta sama firanka, mój brat na urlopie, ze znajomymi na krakowskim Rynku pięć minut przed takim oberwaniem chmury, że w życiu tak nie zmokłam. A to jest, Jerzyku, moja ślubna fotografia, tylko nie bądź zazdrosny, miałam zieloną suknię, to sobie wyobrażasz, co się działo, mój przystojny mąż w szarym garniturze, wiesz, ile on zarabia? Bardzo dużo zarabia. Poza tym jest inteligentny i dobry dla dzieci. Uwielbia grać w szachy. Nie kocham go i chyba nigdy go nie kochałam. Pojutrze, w niedzielę, przyjeżdża. Jak umiesz grać w szachy, przyjdź i zagraj z nim, błagam cię, Jerzyku, on jak nie ma z kim grać, gra sam ze sobą i ja zawsze się boję, że wtedy stanie się coś okropnego, to moje dzieci, to Jaś, a to Małgosia, a to ja, Baba-Jaga. Nie Jaga. Teresa. Dotrzymuję słowa. Zawsze dotrzymuję słowa, bo taka jestem i już. Rozumiesz? Mam na imię Teresa. Teresa i już. Żadnych zdrobnień, przekręceń, przestawień, pieszczotliwości. Nienawidzę tego. Nienawidzę tego, bo taka jestem i już. Rozumiesz? Teresa. Żadna Terenia, Renia, Tereska, Kareska, żadna Tessa, Tereńka, Eśka, żadna Teresiuńka. Teresa. Proszę. Teresa na maturze. Teresa na plaży. Teresa w sukni balowej. Ten w mundurze to szef mojego męża. Oczywiście – pełny kieliszek na pierwszym planie. Rozumiesz, Jerzyku, że z tymi panami raczej nie ma żartów. Oni się przeważnie nie śmieją. Nawet jakby im opowiedzieć pyszny żart o zamachu na pierwszego sekretarza, zaręczam ci, nie będą się śmiali. A to matka i ojciec pół roku przed śmiercią. Pod koniec życia tak się nienawidzili, że jedno nie mogło żyć bez drugiego i tata umarł sześć tygodni po mamie. A pół roku wcześniej oboje zrobili sobie zdjęcie paszportowe. Przeraża mnie to, Jerzyku, w tym się kryje okropny sekret, straszna tajemnica.

Istotnie, było coś osobliwego w zwyczajnych z pozoru legitymacyjnych zdjęciach dwojga starych ludzi, ona uśmiechała się do obiektywu, ale był to uśmiech nie tyle sztuczny, co naznaczony jakąś rozpaczliwą determinacją, w jego szeroko rozdziawionych oczach ślepca czuło się dziecinną nadzieję, iż za moment ujrzy błysk magnezji rozcinającej ciemność wszechogarniającą.

– Oni oboje w ogóle nie wychodzili z domu, ani po gazetę, ani po chleb, ani do sąsiadów, trzecie piętro bez windy na Francesco Nullo. Jerzyku, oni byli na mnie skazani, a to są fotografie zrobione w zakładzie na Wiejskiej – anielica mojej pierwszej miłości mówiła teraz zupełnie inaczej, jej poprzednie mówienie było suwerennym panowaniem nade mną i nad światem, i mnie, i świat wyprzedzała o parę dobrych kroków, wiedziała o nas, o mnie i o świecie, wszystko. Teraz zaś jej mówienie było rozpaczliwą obroną przed całkowitą kapitulacją, teraz nie wiedziała, nie znała sekretu, daremnie próbowała rozwikłać tajemnicę, ja z kolei, wyzwolony z kajdan jej narracyjnej dominacji, stopniowo odzyskiwałem mój profetyczny wigor, powoli zaczynałem się domyślać, jak zabrzmią jej ostatnie, choć wcale a wcale nie pożegnalne słowa.

– …Tak, w zakładzie fotograficznym na Wiejskiej, w pierwszej chwili, kiedy jakiś miesiąc po pogrzebie ojca trafiłam na te zdjęcia, w pierwszej chwili pomyślałam, że może ktoś im to zrobił w domu, że umówili się przez telefon, bo ja wiem z kim, z kimś w każdym razie, kto umie robić zdjęcia paszportowe, no gdzież tam, no gdzież tam, o, zobacz, w tle wisi pluszowa zasłona, sprawdzałam, byłam tam, oni tam doszli, oni tam byli, oni tam zrobili sobie każde po sześć paszportowych fotografii, już nie mówię o tym, że dla nich to musiał być spory wydatek, musieli się ubrać, zobacz, ojciec jest w krawacie, a matka w sukience, którą poprzednio miała na sobie na chrzcinach Małgosi, musieli zejść na dół, ona musiała go prowadzić, choć sama ledwo się ruszała, potem musieli dojść do rogu i w dół, prawie całą Frascati, i jeszcze jaki kawał Wiejskiej. Jak oni to zrobili? I po co? I po co? Po co im były te paszportowe fotografie? Dokąd chcieli pojechać? W jaką podróż przedśmiertną chcieli wyruszyć? Dokąd chcieli uciec, zanim pomarli? Do Ameryki? Do Australii? Do ciepłych krajów?

Anielica mojej pierwszej miłości zamknęła album i bardzo niezgrabnym ruchem podniosła się z ławki i ruszyliśmy przez park i przez zarosłe białą azjatycką trawą boisko z powrotem ku domowi. A gdy po kilku minutach znów stanęliśmy pod witryną działu obuwniczego, zasłoniętą masywną zieloną kratą, nie stało się to, co się stać miało. Anielica mojej pierwszej miłości nie wzięła mnie za rękę, nie objęła i nie powiedziała: chodź, Jerzyku. Chodź, ja też w gruncie rzeczy jestem bardzo, a bardzo leniwa.

Byłem pewien, że tak właśnie się stanie, ale tak się nie stało. Anielica mojej pierwszej miłości jeszcze raz wydobyła spod pachy album i jeszcze raz jęła odwracać kartę po karcie. Pomyślałem w pierwszej chwili, że dalej chce dociekać niedocieczonego sekretu, że nagle przyszedł jej do głowy jakiś pomysł i już wie, na jaką to wyprawę chcieli wyruszyć jej niedołężni i umierający rodzice, ale i ten domysł był mylny. Moja pierwsza miłość o niezdrabnialnym imieniu wydobyła spomiędzy kart albumu niewielki świstek papieru, podała mi go i powiedziała:

– Tu masz mój adres, Jerzyku, Warszawa, ulica Francesco Nullo, numer domu 20, numer mieszkania 23. Nie byłeś jeszcze w Warszawie, ale kiedyś w końcu będziesz i wtedy wpadnij, odwiedź mnie koniecznie. Już teraz ci daję ten adres, bo obawiam się, że pojutrze nie będziesz chciał grać w szachy z moim mężem. A potem my wyjeżdżamy. My wyjeżdżamy, ty zostajesz – ktoś tak mówił do mnie, nie pamiętam kto. Żegnaj, Jerzyku, do zobaczenia na Francesco Nullo. – I odwróciła się, i zniknęła, i ja również odwróciłem się i również zniknąłem. Zniknąłem, bo przecież nikt mnie nie widział. Nikt nie widział, jak chowam do kieszeni kartkę z adresem, jak spoglądam w wypełnione ruchliwym blaskiem świecy okno morfinistek, i nikt nie słyszał biblijnego zdania: zapukaj, a będzie ci otworzone, poproś, a będzie ci dane. Nawet ja sam nie słyszałem, jak mocno ten nieśmiertelny wers brzmi we mnie i nie wiedziałem, na jak dalekie wiedzie mnie manowce.

3

– Czemuż się pani zbytecznie trwoży, pani Naczelnikowo? Wszak Pan przyrzekł, iż nie ześle więcej potopu na ziemię.

Matka nie zwracała najmniejszej uwagi na niestrudzone wywody pana Trąby, narzucała na ramiona ceratową pelerynę i biegła na most, pod którym wzbierały brunatne wody. Trzymałem ją za rękę, masywne deski i kamienne przęsła drżały pod naszymi stopami. Świętojańskie deszcze runęły parę dni temu, spoglądaliśmy w górę, w kierunku pierwszego mostu przy cmentarzu, i w dół, w kierunku trzeciego mostu przy basenie. Świat był ze wszystkich stron jednaki, nie było basenu i nie było cmentarza, nie było góry wód i nie było dołu wód. Wody były wszędzie. Odległy o kilkaset metrów dom spoczywał na głębokościach, na dnie szarego oceanu, wracaliśmy tam, pokonując żywioły. Zdejmowaliśmy w sieni mokre do szczętu okrycia, z matczynej peleryny spływały strugi wody, zza drzwi dochodził głos pana Trąby dopowiadającego kto wie jak długi cytat: „...nie będzie więcej, panie Naczelniku, zatracone wszelkie ciało wodami potopu i nie będzie więcej potop na skażenie ziemi...”

***

Przesiadywanie pana Trąby za ogromnym stołem w naszej kuchni zawsze było niezmierne, gdy wszakże przychodziły ulewy, śnieżyce, powodzie, zyskiwało wymiar nieskończoności, nie ruszał się on stamtąd w ogóle.

– Czas klęsk żywiołowych to jest pański czas, panie Trąba – mawiał ojciec. I istotnie nasz wiekuisty gość zdawał się darzyć osobliwą czcią zamykające go pod naszym dachem i przykuwające do naszego stołu żywioły. Od rana do wieczora siedział na szerokiej drewnianej ławie, gdy przychodziła godzina snu, czynił sobie tam legowisko i okryty kocami albo

kożuchami kładł się, czy raczej osuwał półprzytomnie, i z zagadkowym uśmiechem wsłuchiwał się w niegasnące wichury.

Matka machinalnie przeczesywała palcami mokre włosy, podchodziła do okna i wpatrywała się w ledwo widoczną za ścianą deszczu krawędź Bawolej Góry.

– Inna sprawa, że obietnica Pańska dotyczy całego globu. Pan Bóg przyrzekł praojcu, iż nie ześle definitywnego potopu na całą ziemię, iż więcej nie ujmie przepełnionego nieprawością globu w swą ojcowską dłoń i nie zanurzy go w topieli, nie zanurzy go ani na jeden dzień, ani na czterdzieści dni. Natomiast pomniejsze potopy owszem, bywały i bywają, a my żyjemy, jakkolwiek subiektywnie by na sprawę spojrzeć, w dolinie.

– Oczywiście, oczywiście – mówiła matka i z irytacją spoglądała na ojca. – Na samym spodzie człowiek jest, na samym spodzie.

– O co ci chodzi, Ewuniu – odpowiadał ojciec – przecież nie moi, a twoi pradziadowie ten dom stawiali.

– Jeszcze by tego brakowało – matka nieoczekiwanie wybuchała fundamentalną rozpaczą – jeszcze by tego brakowało, żebym ja się była miała kiedykolwiek do moich, niech im ziemia lekką będzie, teściów sprowadzać.

– Jak tam było, tak tam było – w głosie ojca usłyszałem rzadką u niego złowróżbną nutę – jak tam było, tak tam było, ale wysoko było.

– Wysoko, ale też i nisko – syknęła matka.

– W tym rzecz, kochani – łagodził pan Trąba – wysoko, ale też i nisko, w tym rzecz, nie zapominajmy o relatywistycznym rysie rzeczywistości, przecież relatywnie w naszym nizinnym kraju jesteśmy wysoko, ale zarazem w stosunku do tychże tutejszych wysokości nisko, co daje szansę ocalenia…

– Jaką szansę ocalenia? O czym pan mówi? – zapytał nieznośnie oficjalnym tonem ojciec.

– A taką to szansę ocalenia, panie Naczelniku, że gdy wybije godzina i podniesie się poziom wód, zbierzemy najpotrzebniejsze rzeczy i wdrapiemy się na Kobylą albo na Kozią Górę, o Bawolej nie wspominając.

– Pan, panie Trąba – wybuchnęła matka – pan, panie Trąba, zapewne raczej nie będzie wstępował, ale będzie płynął, pan zapewne popłynie na

Kobylą albo Kozią Górę. Tak, popłynie pan w najlepszym razie, wpierw siedząc okrakiem na pańskiej niezatapialnej ławie, będzie się pan lekko podnosił wraz z poziomem wody, a do celu dotrze pan flaszką wiosłując.

Przez chwilę słychać było jedynie szum deszczu i łoskot przebierającej miarę rzeki.

– Zasiedziałem się – pan Trąba najnaturalniejszym w świecie gestem spojrzał na zegarek – na mnie pora – powiedział i od niepamiętnych czasów podniósł się z miejsca.

Twarz matki nagle rozjaśniła się pełnym czułego politowania blaskiem, ni to z uznaniem, ni to z przyganą pokręciła głową i tonem zabawiającej się ze swoim cierpiącym katusze zalotnikiem i świadomej swojego powabu oblubienicy powiedziała:

– Pan wie, panie Józefie, że jeśli pan teraz stąd wyjdzie, nigdy więcej się do pana nie odezwę? – I powtórzyła dobitnie, zawieszając głos i czyniąc znaczące przerwy: – Jeśli-teraz-pan-stąd-wyjdzie-ja-nigdy więcej nie odezwę się do pana.

Za oknami przemknęła osłaniająca się kolorową damską parasolką zwalista postać, rozległo się pukanie i w drzwiach stanął zmieniony nie do poznania, bo w mundurze zmienionym przez ulewę w mundur nieznanej formacji, komendant Jeremiasz. Miałem nadzieję, że wraz z nim wsunie się do kuchni jego monstrualny bernardyn Bryś-ludojad, miałem nadzieję na słodycz własnego strachu, ale komendant był sam.

– Do stu tysięcy furgonów beczek! – ryknął niby z przyjaznym, a przecież z ekstatycznym triumfem w głosie pan Trąba. – Do stu tysięcy furgonów beczek, oficer na służbie z damską parasolką w garści!

– Deszcz pada, towarzyszu Trąba – powiedział ze stoickim spokojem komendant Jeremiasz, zdjął czapkę i postawił w kącie istotnie osobliwie wyglądającą w jego ogromnych niczym bochny chleba dłoniach parasolkę.

– Opady atmosferyczne to nie jest powód, by oficer na służbie wyposażał się w pedalskie akcesoria! – pan Trąba konsekwentnie trwał w roli surowego dowódcy strofującego niesubordynację podwładnego. Niedawna czułość matki sprawiła w dodatku, iż był wyjątkowo natchniony w tej kreacji, niestety, był też w niej, jak zwykle, osamotniony.

Komendant Jeremiasz najwyraźniej nie miał ochoty podejmować dysputy w przedmiocie regulaminowości damskiej parasolki, przysunął sobie taboret, usiadł na nim ciężko i po dobrej chwili powiedział:

– Witam towarzyszkę i towarzyszy.

– Czołem, czołem – odparli jeden po drugim ojciec i pan Trąba, matka zaś w starannie wystudiowanym geście uniosła ku niebu brwi i oczy, odwróciła się od okna i spojrzała na uczyniony z żółtych kafli piec kuchenny.

– Bardzo prosimy, panie Komendancie. – (Od niedawna zorientowałem się, że w swoich ascetycznych kreacjach matka jest o wiele większą artystką od niestroniącego od kabotyńskich środków wyrazu pana Trąby). – Bardzo prosimy, panie Komendancie, zostanie pan na obiedzie? Zostanie pan, prawda? Właśnie się biorę do placków na blasze.

Tylko moje mistrzowsko przenikliwe i nieuprzedzone spojrzenie dostrzegało, iż matka nie jest kobietą wypełnioną wyłącznie troską o jedzenie, ale zniewoloną jednostką, która – by przetrwać – odgrywa rolę kobiety wypełnionej wyłącznie troską o jedzenie.

– Towarzysze – powiedział bez cienia emocji w głosie komendant Jeremiasz – towarzysze, pozwolicie, że od razu przystąpię do rzeczy. Jak słyszę, towarzysze, szykujecie wystąpienie skierowane przeciwko towarzyszowi pierwszemu sekretarzowi Komitetu Centralnego.

Komendant przerwał na chwilę i uczynił dłonią w powietrzu gest wiecowego mówcy, gest oznaczający zasadniczą aprobatę, podszytą wszakże kilkoma wątpliwościami.

– Bardzo dobrze, towarzysze, bardzo dobrze. Krytyka jest potrzebna naszej partii, krytyka wzmacnia siłę naszej partii, oczyszcza jej szeregi, ale musicie, musimy pamiętać, towarzysze, aby była to krytyka konstruktywna, to znaczy krytyka, rzecz jasna, krytykująca, ale generalnie aprobująca…

Komendant zaczął się wikłać, widać było gołym okiem, iż ani nie jest zbyt biegły w posługiwaniu się dialektycznymi argumentami, ani nie ma w nim wystarczającego zapału agitacyjnego.

Byłem ciekaw, jakiej i jak skonstruowanej frazy polemicznej użyje pan Trąba. „Pełna aprobata” – zapisałem błyskawicznie w zeszycie, bo wedle

moich przewidywań tym właśnie zwrotem powinien kończyć się wywód pana Trąby, ale pan Trąba nie zakończył swej frazy ani wyrażeniem „pełna aprobata", ani żadnym innym wyrażeniem nie zakończył swej frazy, ponieważ w ogóle jej nie rozpoczął. Cały czas milczał melancholijnie.

– Rozumiem, panie Komendancie – nieoczekiwanie natomiast odezwał się ojciec – rozumiem, panie Komendancie, że wieści rozchodzą się lotem błyskawicy, ale, jak pan wie, szybkość nie zawsze idzie w parze z precyzją. Nie jestem mianowicie pewien, czy nasze intencje zostały właściwie pojęte.

– Doskonale – powiedział komendant – doskonale, już tłumaczę.

Wydobył z bocznej kieszeni munduru maleńki orbisowski kalendarzyk i flegmatycznie jął przewracać puste, zawierające jedynie wydrukowane daty, imiona i nazwy dni tygodnia, stroniczki. Dotarł wreszcie do miejsca, w którym widniały jakieś zupełnie nieczytelne (nawet dla mnie, choć zaglądałem mu przez ramię) znaki, hieroglify, tajne szyfry, zrozumiałe jedynie dla funkcjonariuszy służb specjalnych; Jeremiasz medytował przez dobrą chwilę nad ujętym w sekretną formę meldunkiem, potem zaś, niewyraźnie, jakby do siebie samego, jął cedzić:

– Tak jest, wszystko się zgadza, wystąpienie skierowane przeciwko towarzyszowi pierwszemu sekretarzowi, tak jest.

Energicznym ruchem zamknął kalendarzyk i zakrył go swoją wielką dłonią, jakby chciał stłumić tlące się tam lonty, jakby chciał zgasić w zarodku wzbierającą tam rebelię.

– Towarzysze – powiedział dobitnie – otrzymałem meldunek, iż towarzysze szykujecie zamach na życie towarzysza pierwszego sekretarza Władysława Gomułki.

Nie pamiętam już, czy matka znieruchomiała w trakcie szorowania blachy, tarcia ziemniaków, czy może z zapałką w dłoni znieruchomiała nad paleniskiem. Dziś widzę to tak, jakby nieruchomiała kolejno w trakcie każdej z tych czynności. Ojciec i pan Trąba spojrzeli po sobie wszystko zdradzającym spojrzeniem niewydarzonych spiskowców, ja zaś pomyślałem, że warto by raz jeszcze zajrzeć do opuszczonego przez morfinistki pokoju na poddaszu i sprawdzić, czy nie zostawiły tam czegoś jeszcze prócz wstążki, lusterka i pilnika do paznokci.

– Towarzysze darują, ale ponieważ meldunek wydał mi się, jakby to powiedzieć, umiarkowanie prawdopodobny, przystąpiłem do rzeczy w sposób dookólny. Jeśli, towarzysze, faktycznie żywicie skrytobójcze zamiary względem głowy państwa, to proszę mi, w pewnym sensie, wybaczyć, że podałem w wątpliwość ich, wasze, że tak powiem, w tym względzie kwalifikacje, ale…

– Gomułka nie jest żadną głową państwa – przerwał Jeremiaszowi znudzonym tonem pan Trąba.

– Proszę?

– Mówię, że Gomułka nie jest żadną głową państwa. Gomułka jest jedynie szefem partii. Głową państwa jest Zawadzki.

Komendant Jeremiasz z najwyższym osłupieniem spoglądał to na pana Trąbę, to na ojca.

– Czyżby jednak – powiedział nieomal z triumfem – czyżby jednak tak? Nie, nie, nie – mitygował sam siebie – towarzysze, znamy się nie od dziś, wypiliśmy wspólnie morze alkoholu, wygłosiliśmy wspólnie niejedno ryzykowne zdanie, śmiało mogę, zarówno czyniąc sobie zaszczyt, jak i mówiąc prawdę, nazwać towarzyszy moimi wypróbowanymi druhami, a tymczasem co? Tymczasem dowiaduję się, iż moi wypróbowani druhowie porywają się, są gotowi porwać się na zbrodnię majestatu… – Proszę mi powiedzieć – głos komendanta nieznacznie, ale zauważalnie stężał i zlodowaciał – proszę mi powiedzieć, co ja mam na Boga Ojca zrobić z taką wiadomością? Proszę – komendant nagle zmienił tonację na lamentacyjno-błagalną – proszę mi powiedzieć, co ja mam zrobić? Jestem tu po to, aby sprawdzić. Aby sprawdzić, na ile rzecz należy do dziedziny fikcji, na ile zaś do dziedziny rzeczywistości.

– Pragnąłbym, bardzo bym pragnął, aby mój zgon należał do dziedziny fikcji – odezwał się pan Trąba – ale to są, obawiam się, wysoce pobożne pragnienia.

– Przecież nie o pańską śmierć tu idzie, a o ewentualne śmiertelne obrażenia towarzysza Gomułki?

– Niestety, panie Komendancie – odparł pan Trąba – z całą pyszałkowatością muszę wysunąć własną osobę na plan pierwszy i zapewnić, iż przede wszystkim idzie o mnie – i pan Trąba powściągliwie,

w kilku zdaniach, niczego wszakże nie tając, wyłuszczył swoje przedśmiertne ambicje.

Komendant Jeremiasz wysłuchał z uwagą nieubłaganych w swojej wewnętrznej logice argumentów pana Trąby, po czym rzekł:

– Chwileczkę, jeśli dobrze was zrozumiałem, towarzyszu, spodziewacie się rychłego odejścia z tego świata, ale w gruncie rzeczy z jakiego powodu spodziewacie się tego odejścia?

– Z jednego ogólnego oraz siedmiu poszczególnych powodów – rzekł pan Trąba i jął wyliczać na palcach: – po pierwsze, marskość wątroby; po drugie, trzaskająca trzustka; po trzecie, ostra niewydolność nerek; po czwarte, serce słabnące; po piąte, wrzody żołądka; po szóste, *delirium tremens*; po siódme, najprostsze, zachłyśnięcie się własnymi wymiocinami. Oto siedem dobrych i nie podległych falsyfikacji powodów, z których każdy z osobna i wszystkie razem są jednakowo skuteczne, wszystkie też – pan Trąba stanowczo uniósł w górę palec wskazujący – już są gotowe. Siedem bestii jest już w pogotowiu, siedem chimer już czai się do skoku. Tak – ryknął znienacka – już zostało wzniesionych siedem filarów śmierci mojej!

– Według Jana Damasceńskiego, dzielącego gniew na rozdrażnienie, manię i szał, jesteście najwyraźniej w fazie szału, towarzyszu Trąba – powiedział odchylając się do tyłu, jakby celem uniknięcia bezpośredniego zagrożenia, komendant Jeremiasz.

– Nie wiedziałem, że na wieczorowych kursach marksizmu przerabia się typologię gniewu według Jana Damasceńskiego. Pochwalam. Pochwalam i winszuję. Ja wszakże, że pozwolę sobie na polemiczny wtręt *ad vocem*, nie jestem w fazie manii wedle Jana Damasceńskiego, ale w fazie gniewu z głosem wedle Grzegorza z Nissy. Grzegorz z Nissy, jak pan doskonale wie, dzieli gniew na gniew bez głosu, gniew z głosem, gniew wyrażony w głosie. Tak czy inaczej, jestem (bywam) w fazie predeliryjnej, wódczana psychoza już stuka swoim przezroczystym jak kieliszek wódki palcem, już stuka w kruche ściany mojego mózgu.

Matka kładła pierwsze porcje ziemniaczanego ciasta na blasze, huczący niżej ogień i strugi ciemności za szybą przenosiły nas poza klimaty i poza pory roku. Siedzieliśmy w kręgu światła, odgrodzeni od tego, co było dalej, a dalej były lód i ciemność. Mundur komendanta parował z wolna, sechł

i jaśniał Jeremiasz, niczym dezerter marnotrawny powracał w szeregi macierzystej formacji.

– A gdyby tak – powiedział z wolna – a gdyby tak przestać i dać sobie spokój… w końcu jakkolwiek by zredukować rachunek objętościowy, swoje pan już w życiu wypił.

– Przestać pić – ni to spytał, ni to skonstatował bezbarwnym jak woda głosem pan Trąba – przestać pić? Wykluczone. Już w czterdziestym piątym roku powiedziałem sobie: być może umrzesz od wódki, Józefie Trąbo, ale jak się od czasu do czasu nie napijesz, umrzesz na pewno. Teraz zaś, po niespełna dwudziestu latach, paradoksalne to przypuszczenie przybrało postać dokonaną. Wie pan, panie Komendancie – pan Trąba ożywił się i wyraźnie nabrał narracyjnego animuszu – mężczyzna ma tylko jeden dobry powód, żeby przestać pić, kiedy mianowicie spostrzega, iż na skutek picia głupieje. Inaczej powiem: prawdziwy mężczyzna może od wódki umrzeć, zgłupieć – nie śmie.

– Może w takim razie – komendant mówił z wielką ostrożnością – może w takim razie wystawilibyście na szwank swój wysoki rozum, towarzyszu Trąba?

– Pan mi uwłacza, panie Komendancie – rzekł z godnością pan Trąba. – A po cóż człowiekowi żyć w głupstwie?

– A zabieranie z sobą Gomułki, a zabieranie z sobą Gomułki do grobu – rozeźlił się nagle Jeremiasz – a zabieranie z sobą towarzysza pierwszego sekretarza Władysława Gomułki do grobu to nie jest głupstwo? Przecież to głupstwo piramidalne! Głupstwo bezcelowe i historycznie jałowe! Głupstwo do niczego niezmierzające i intelektualnie puste.

– Terror to nie jest dziedzina spekulacji, terror to jest dziedzina wstrząsów – powiedział posępnie pan Trąba.

– Jaki terror? Jaki terror? Jaki terror? – ryknął z najwyższą pogardą komendant.

– Może nasz terror to nie jest wielki terror – zaperzył się pan Trąba – ale zawsze terror. Lepszy taki niż żaden. Lepszy wróbel w garści niż Mao Tse-tung na dachu. Owszem, zamierzałem coś zrobić dla ludzkości, ale przecież jak zrobię coś dla Polski, to i dla ludzkości to będzie uczynione. Oczywiście, że bym wolał wielkie dzieło na globalną skalę, oczywiście, że

bym wolał, jak panu objaśniałem – pan Trąba uniósł w górę ramiona – oczywiście, że bym wolał zacisnąć me tyranobójcze palce na szyi Mao Tse-tunga. Chiny by człowiek przy okazji zobaczył. Ale nie ma środków na tak wielką podróż – westchnął z żalem pan Trąba. – Mała zaś podróż nie wchodzi w grę z powodów ambicjonalnych. Przecież nie będę się upokarzał *quasi*-zagranicznymi wojażami po bloku krajów demokracji ludowej. O nie, co to, to nie. Do Sofii, by się zasadzić na towarzysza Żiwkowa, to ja z całą pewnością nie pojadę. Ani do Niemiec Wschodnich, by Walterowi Ulbrichtowi wymierzyć sprawiedliwość, proszę mnie nawet nie namawiać.

– A Chruszczow? – nieoczekiwanie ni to zapytała, ni to zaproponowała znad sporej już sterty placków ziemniaczanych matka. – A może Chruszczow?

– Chruszczow – pan Trąba zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na absolutne osłupienie, z jakim spojrzeli na matkę ojciec i komendant Jeremiasz – Chruszczow może zostać w każdej chwili odwołany. Szkoda fatygi. Dojadę do Moskwy, też w końcu kawał drogi, i na miejscu się dowiem, że właśnie nastąpiły zmiany na najwyższym szczeblu KC KPZR i wyjdę na głupka.

– A gdyby tak, towarzyszu Trąba – głos komendanta Jeremiasza stał się nagle cieplejszy – a gdyby tak… to oczywiście absolutnie nie są nasze metody – zastrzegł się nagle panicznie – a gdyby tak, gdyby tak, to byśmy mogli nawet może nie tyle pomóc, za duże słowo, ale powiedzmy, moglibyśmy nie wiedzieć o pewnych rzeczach, choćby paszport w każdej chwili, a gdyby tak Krwawy Dyktator Faszystowskiej Hiszpanii?

– Caudillo Bahamonde Franco jest jednym z najwybitniejszych europejskich mężów stanu – powiedział z dobitnym politowaniem pan Trąba – przypominam panu, że ja chcę coś zrobić dla ludzkości, nie zaś przeciwko ludzkości.

Zdawać się mogło, że to nie para wodna występuje ze schnącego munduru komendanta, ale z niego samego występują furie.

– Nigdy, my się nigdy – dyszał ciężko – my się nigdy nie dogadamy, towarzyszu Trąba, proszę bardzo, niech pan zabija, niech pan zabija, kogo chce. Tak jest – komendant nagle jakby dostrzegł głębszy sens w tym, co mówi – tak jest, niech pan zabije, kogo chce, niech pan zabije kogokolwiek,

przecież to też uporządkuje schyłek pańskiego życia, wyjdzie pan na ulicę, zabije kogokolwiek i zobaczy pan, wewnątrz jak nieubłaganie logicznego układu zdarzeń pan się znajdzie, dla ludzkości pan niewiele zrobi, ale zrobi pan coś dla siebie, a przecież jak się zrobi coś dla siebie, to tak jakby się coś i dla ludzkości uczyniło. Czyż nie?

– Co się robi dla siebie, zabijając kogokolwiek? – zapytał dziwnie wysokim głosem ojciec.

– W definitywny sposób porządkuje się swe życie, zwłaszcza nieuporządkowane, a życie towarzysza – komendant niemal w powitalnym geście wyciągnął dłoń ku panu Trąbie – jest życiem nadzwyczaj nieuporządkowanym. Człowiek zabija, staje się mordercą, a bycie mordercą rozwiewa wątpliwości i likwiduje wybory. Bycie mordercą to rękojmia wysoce stabilnej tożsamości. Najpierw, jeśli zdecydowalibyście się, towarzyszu, ukrywać, bylibyście ukrywającym się mordercą, potem, gdybyśmy was ujęli, bylibyście ujętym mordercą, potem sądzonym, potem skazanym, potem – komendant nagle przerwał, jakby zorientowawszy się, iż lada chwila powie coś nietaktownego, machnął ręką i dokończył już spokojniejszym, choć dalej wibrującym wściekłością głosem – szkoda gadać, proszę bardzo, niech towarzysz zabija, niech zabija kogokolwiek.

– Przykro słuchać, przykro słuchać – pan Trąba mówił z rozdzierającym serce smutkiem. – Niechże pan, panie Komendancie, nie czyni ze mnie pogrobowca prekursorów egzystencjalizmu. Ani mi w głowie zabijać kogokolwiek. Nie mam najmniejszego zamiaru dołączać do bezbożnego prądu filozoficznego, mam zamiar dołączyć do mrocznego kręgu wielkich tyranobójców ludzkości: Piotr Pahlen, Gavrilo Principa, François Ravaillac, Jeronimo Caserio, Józef Trąba… Nawet nieźle się komponuje – rozmarzył się na moment, ale natychmiast znów się ożywił.

– A poza tym, co to znaczy „kogokolwiek”? Tu nie ma kogokolwiek, kogo mam zabić? Małgosię Snajperek? Arcymajstra Swaczynę? Panią Rychterową? Może na księdza pastora Potraffke mam świętokradczą dłoń podnieść albo na pana zawiadowcę Ujejskiego? Na kościelnego Messerschmidta? Tu nie ma kogokolwiek, tu nie ma przypadkowych przechodniów, tu się wszyscy znają i to znają tak blisko, jak nie przymierzając ja i pan, panie Komendancie…

– W takim razie niech pan kogoś wylosuje albo jeszcze lepiej – nuta nagłej desperacji i gotowości poniesienia najwyższych ofiar brzmiała w głosie komendanta nieomal prawdziwie – albo jeszcze lepiej, właśnie mnie, mnie, tak, mnie niech pan zabije.

– Pana w żadnym wypadku.

– Dlaczego? Dlaczego mnie w żadnym wypadku? – komendant nie był w stanie poskromić odruchu rozczarowania i prawie urażonej ambicji. – Dlaczego mnie w żadnym wypadku?

– Ponieważ nie jest moim zamiarem pozyskanie na stare lata miana antysemity.

– Panie Trąba… – głos komendanta nagle załamał się. Wszystko już było jasne, jak na dłoni widać było, kto zostanie, kto już jest zwycięzcą w tym pozornie wyrównanym pojedynku, wszystko było tak nieubłagane, iż nie chciało mi się nawet zapisywać ostatniego słowa, które lada chwila zostanie wypowiedziane, odmieniałem je jedynie w myślach.

– Panie Trąba, ja jestem ateistą – komendant był blady jak ściana, krople tłustego i lodowatego potu wystąpiły mu na czoło.

– Doskonale – pan Trąba z morderczą lekkością triumfującego boksera wagi ciężkiej tańczył wokół słaniającego się rywala – doskonale, niech pan wypowie pełną frazę śmiało, niech pan powie: nie jestem Żydem, jestem ateistą, niech pan to powie, a gdy pan sypnie tą stylistyczną perłą, to ja panu, niczym niekiedy pan Naczelnik mnie – pan Trąba skłonił się w stronę ojca – to ja panu odpowiem: piękna fraza i nagrody godna.

Ojciec niczym uruchomiony magicznym zaklęciem golem wstał zza stołu, podszedł do kredensu i uczynił to, co zawsze: wydobył butelkę i kieliszki; matka niosła wazę pełną placków w śmietanie, rozległ się grzmot i czarne deszcze runęły z podwójną siłą, pan Trąba złagodniał i dziękczynnie spojrzał ku niebiosom. Ojciec dalej w malignie galwanicznych ruchów napełniał kieliszki jałowcówką.

– W gruncie rzeczy – ciągnął teraz pojednawczym i niemal przyjacielskim tonem pan Trąba – w gruncie rzeczy nie idzie o to, czy pan się zaparł, panie Komendancie, czy nie, niech pan się nie gniewa, ale, innymi słowy mówiąc, to, czy pan się zaparł, czy nie, to jest pestka, zbyt liczne i innego rodzaju więzi nas łączą, jak pan słusznie mówi, jesteśmy

starymi druhami i nie pomylę się, jeśli powiem, że tu jeden krok, jeden ruch, jeden gest wystarczy, a dołączy pan do nas, spiskowców – pan Trąba uniósł w górę dłoń i bez zbędnych słów uśmierzył niemy i, prawdę powiedziawszy, mało wyrazisty sprzeciw komendanta. – Tak, dołączyłby pan do nas, ale nie o to idzie, nie idzie też ani o pańskie żydostwo, ani o pański komunizm: niech pan się nie gniewa, ale, prawdę powiedziawszy, nie tacy Żydzi nie takimi komunistami jak pan, panie Komendancie, bywali. Idzie o generalia oraz o uniwersalia, o to, co Żydzi *sensu largo* wyprawiają, i to jacy Żydzi!

Pan Trąba nagle jął przeszukiwać kieszenie i po chwili wydobył zza pazuchy starannie złożony wycinek gazety, rozprostował go, przygwoździł wskazującym palcem do pokrytego błękitną ceratą stołu, pochylił się i jął dobitnie odczytywać: „Światowej sławy skrzypek Yehudi Menuhin w czasie swojego *tournée* po Izraelu złożył wizytę premierowi Ben Gurionowi. W trakcie towarzyskiej rozmowy obaj, i artysta, i polityk, stanęli na głowie, ponieważ obaj uprawiają jogę…" Pan Trąba dyszał ciężko, gęste apoplektyczne plamy pokrywały jego twarz i szyję.

– Panie Naczelniku, panie Komendancie, panowie. Nie może chrześcijanin wobec takich rzeczy stać obojętnie. Joga, tak jest, wiedzie do zbawienia, ale u mojżeszowych proroków o jodze ani mru-mru. – Pan Trąba zamilkł na chwilę, a potem ryknął znienacka strasznym głosem: – Nawracać! Ewangelizować! Wskazywać drogę do zbawienia!

– Prozelityzm – mruknął pogardliwie komendant Jeremiasz – ordynarny prozelityzm.

– Jaki prozelityzm, panie Komendancie, jaki prozelityzm! – powiedział nieoczekiwanie spokojnie pan Trąba – klnę się na moich dziewięć przedwojennych semestrów teologii, iż tu o żaden prozelityzm nie idzie, tu idzie o biblijny plan zbawienia. Jeśli Dawid Ben Gurion, który piętnaście lat temu stanął na czele państwa Izrael, obecnie staje na głowie, to znaczy jedno: w biblijnym planie zbawienia pojawiła się skaza i my, chrześcijanie, zwłaszcza zaś my, ewangelicy, winniśmy śpieszyć z pomocą.

Matka postawiła na stole dymiącą wazę, wyjmowała z kredensu talerze, noże i widelce, siedzący obok mnie komendant Jeremiasz, w którego oddechu, niespokojnych gestach i nerwowym posapywaniu wyczuwałem niezłomną wolę natychmiastowego odejścia, nagle skapitulował

i rozpogodził się, ojciec uniósł w górę pusty kieliszek, wyglądało to tak, jakby chciał demonstrować pantomimę pod tytułem „lot kieliszka ku światłu", ale komendant cesarskim ruchem przerwał przedstawienie, schował do kieszeni wciąż leżący przed nim kalendarzyk i wskazał święte miejsce na ceracie, na którym winno stanąć ściągnięte już z wysokości, ale wciąż jeszcze przeniknięte sferycznym blaskiem naczynie. I stało się, iż ojciec postawił przed komendantem Jeremiaszem kieliszek i napełnił go.

– Gdyby zdarzył się cud, gdyby rozstąpiły się niebiosa – perorował pan Trąba – i gdyby Pan Zastępów wejrzał w mój upadek i zapytał: co mogę dla ciebie zrobić, Józefie Trąbo, gdyby tak się stało, moja śmierć niechybna mi świadkiem, iż powiedziałbym: Panie, wskrześ mojego przyjaciela Jakuba Lełlicha, na powrót ulep go z prochu, w który został obrócony, tchnij weń życie i spraw, abyśmy choć raz jeszcze mogli pomówić o wyższości sojuszu żydowsko-luterskiego nad innymi sojuszami.

Pan Trąba gadał niestrudzenie, ale ani matka, ani ojciec, ani komendant Jeremiasz prawie w ogóle go nie słuchali, musieli zapewne, tak jak większość jego opowieści, i tę opowieść słyszeć po wielekroć, do mnie wszakże wielkie idee biblijnego planu zbawienia docierały po raz pierwszy.

– Niezbicie, niezbicie powstanie Izraela było spełnieniem proroctwa Zachariasza i innych proroctw. Pan Zastępów dwa i pół tysiąca lat temu zapowiadał, iż wybawi swój lud i przywiedzie go do Jeruzalem. I to się stało i dalej ma dziać się aż do samego, samiuteńkiego nawrócenia.

Pan Trąba przerwał na chwilę, przełknął znaczny kęs obficie umaczanego w śmietanie placka i z zapałem dowodzącym, iż znajduje się w samym sednie rozumowania, kontynuował:

– To się ma dziać, ale nie wiedzie do tego pogańska ścieżka joginów, jeno ścieżka ortodoksji żydowskiej. Żydzi przyszli do Jeruzalem nie po to, by tam stawać na głowie, ale by utwierdzać się tam w żydostwie swoim, dopiero wszakże utwierdzeni w żydostwie swoim Żydzi mogą dostąpić zbawienia. Jak powiada Pismo: Izraelita, by stał się chrześcijaninem, musi wpierw do syta najeść się izraelityzmu swego.

– Nie ma czegoś takiego w Piśmie – komendant Jeremiasz wierzchem dłoni otarł usta – nigdzie tak nie jest powiedziane.

– Wprost nie jest – zniecierpliwił się pan Trąba – wprost nie jest, ale w podtekście, czy raczej w niezliczonych podtekstach, jest. Niechże pan, panie Komendancie, dobrze przypomni sobie listy apostoła Pawła do Rzymian, do Efezów, o Hebrajczykach nie wspominając. A prorok Izajasz, rozdział jedenasty, wiersz dwunasty, a pański imiennik prorok Jeremiasz wieleż razy ten wątek porusza i w szesnastym, i w dwudziestym czwartym, i w trzydziestym pierwszym rozdziale. Ezechiel! – krzyknął pan Trąba. – Ezechiel! Przede wszystkim prorok Ezechiel i słynne proroctwo o polu kości z wolna nabierających życia!

– Sprawdzę to – powiedział nieoczekiwanie policyjnym tonem komendant Jeremiasz. – Sprawdzę to.

– Zapewniam, iż może pan wierzyć człowiekowi doświadczonemu w wierze i wprawionemu w Piśmie. Tak – rozmarzył się nagle pan Trąba – to by było godne dzieło, to by było dzieło godne moich przedśmiertnych ambicji, dzieło nawrócenia. Ale niestety, czasu mało, a to jest praca co najmniej na dziesięciolecia i nie na miarę jednego uwięzionego w szponach nałogu luteranina. Tak – powtórzył głosem naznaczonym strategicznym namysłem – niechby doszli do pełnego rozkwitu z pierwszymi elementami przekwitania. Niechby zaludniły się ulice i targowiska, niechby słychać było gwar rozmów i furkot chałatów, niechby wzniesione zostały synagogi, niechby świętowano Szabasy, Pesach, Kuczki, Purim…

– *À propos* – komendant Jeremiasz przerwał wizjonerski trans pana Trąby – *à propos* Purim, to czy wyście, towarzyszu, przypadkiem ostatnio nie odwiedzili pani Rychterowej i nie zaofiarowali jej i jej licznym krewniakom swojej pomocy w przygotowaniu święta Purim?

– Owszem, na niewielkim odcinku próbowałem zrobić, co się da, by wspomóc realizację planów Bożych, ale nie skorzystano z mojej oferty.

– Nic dziwnego, w zasadzie stara niemiecka rodzina nie ma silnych powodów, aby świętować Purim. Nawiasem mówiąc, nie chciałbym trywializować – powiedział komendant – nie chciałbym trywializować, ale nie mogę nie pamiętać, iż w trakcie obchodzenia święta Purim nadmierne spożywanie alkoholu jest niemalże obowiązkiem religijnym.

– Nie chce pan trywializować, a przecież trywializuje pan – krzyknął pan Trąba – trywializuje pan!

– To wy, towarzyszu Trąba, trywializujecie, trywializujecie i Pismo, i zamiary Boże.

– O co chodzi, o co chodzi poza zbawieniem? Przecież jako ewentualny zabójca pierwszego sekretarza Władysława Gomułki nie mogę nie zajmować się kwestią zbawienia. Oczywiście, wolałbym go nie zabijać i zamiast turbować się kwestią własnego zbawienia, samemu komuś w zbawieniu pomóc. Na przykład narodowi żydowskiemu. Rozproszeni zostają zgromadzeni. Odzyskują tożsamość, wzmacniają się w swojej tożsamości i wielorako rozwijają w swoim żydostwie. Nawracają się. Przechodzą na katolicyzm, następnie niechybnie zbrzydziwszy sobie Rzym, przechodzą na naszą luterską wiarę. O co chodzi? O co więcej chodzi? I ja podjąłbym się tego dzieła jako mojego przedśmiertnego czynu. Prawdziwie uczyniłbym coś dla ludzkości. Prawdziwie. Ale to jest, powtarzam, kwestia czasu. Ja zaś czasu nie mam. Mnie potrzeba rzeczy prędkiej, rzeczy prędkiej jak błysk ostrza, jak lot strzały.

– Wiecie co, towarzyszu Trąba – powiedział flegmatycznym, sytym głosem komendant Jeremiasz – wiecie co, jakbyście mieli faktycznie nawracać Żydów na luterską wiarę, to z dwojga złego już lepiej kogoś kropnijcie, towarzyszu.

Komendant uniósł w górę kieliszek.

– Wypijmy, towarzysze.

A gdy mężczyźni przechylili, potem zaś wyprostowali głowy, komendant rzekł z powagą:

– Co najmniej od godziny nie jestem już na służbie, ale mimo wszystko chcę, byście, towarzysze, byli uprzedzeni. Zwróciłem się z prośbą do towarzysza zawiadowcy Ujejskiego. Zwróciłem się doń z prośbą, by dał mi znać, gdyby towarzyszom przyszła ochota kupić sobie bilety. Na przykład na nocny pociąg do Warszawy. Chcę, abyście wiedzieli o tym, towarzysze.

4

Pergaminowa mapa nieba z wolna nabierała życia, płynęły przez nią strumienie granatowego powietrza, z planet sypał się żółty piasek, wewnątrz wielkich gwiazdozbiorów słychać było muzykę, budziłem się w środku nocy i po ciemku, i po omacku zapisywałem w zeszycie słowo „okupacja", które za chwilę ktoś wyszepce w głębi uśpionego domu.

W tamtych czasach ani na chwilę nie rozstawałem się z ołówkiem i zeszytem, silniejsza nade wszystko wola zapisywania słów i zdań, które zostały przed chwilą albo które zostaną za chwilę wypowiedziane, kierowała każdym moim krokiem na jawie i we śnie. Zeszyt i ołówek kładłem na stoliku nocnym i kiedy wielki złoto-czarny zegar w przedpokoju wybijał najstraszniejsze godziny, drugą albo trzecią w nocy, kiedy sam Antychryst mokrym skrzydłem dotykał mojej pierzyny, kiedy o każdej porze roku panowała piekielna ciemność, sięgałem po zeszyt i po ołówek i zapisywałem przynoszące ulgę słowo albo zdanie. „Okupacja" – zapisałem, ale nie poczułem ulgi ani ukojenia. Z kuchni dochodziły niezwyczajne jak na tę porę odgłosy, ktoś przesuwał krzesło, ktoś delikatnie stukał, chyba w okno, bo dzwoniły szyby, ktoś coś mówił, ktoś mu odpowiadał. Zapaliłem lampkę i jakby wzmożony jasnością głos pana Trąby stał się wyraźniejszy. Do dziś jestem niezbicie pewien, iż przez całe dzieciństwo budził mnie ze snu albo głos pana Trąby, albo dźwięk wittenberskich dzwonów na wieży.

Parę minut przed szóstą rano kościelny Messerschmidt wspinał się po drewnianych schodach i w jesiennej szarówce, zimowych ciemnościach albo przebijającym się przez okiennice letnim blasku żeliwne czapy rozpoczynały coraz gwałtowniejszy ruch. Rano dźwięk dzwonów był delikatny niczym powoli podnosząca się powieka konfirmantki, w południe miał w sobie pełnię ognia huczącego pod blachami ewangelickich pieców, o zmierzchu był układny i giętki jak mieszane lasy na Bawolej Górze.

***

Kościelny Messerschmidt tak umiał pociągać za sznury, iż świadomie osiągał wszystkie te efekty: efekt powieki, efekt ognia i efekt mieszanego lasu.

– Tu trzeba mieć – pokazywał wnętrze dłoni – tu trzeba mieć iskrę bożą. Błękitną iskrę bożą – dodawał z zagadkowym uśmiechem – bez błękitnej jak gazowy płomyk iskry bożej żaden dzwon się nie odezwie.

Zostawialiśmy tornistry w zakrystii, kościół pachniał niedzielnymi ubraniami zborowników, kościelny Messerschmidt uważnie oglądał nasze ręce.

– Ani jednej iskry bożej, ani śladu zdolności, o talencie nie wspominając – mawiał z dezaprobatą. – Trudno. Upośledzeni też mają prawo chwalić Pana. Przystąpcie do mnie. Tylko pobożni, tylko najpobożniejsi dostąpią dziś łaski wejścia na wieżę. Ty, Chmiel. Ty, Sikora. Ty, Błaszczyk. Dzisiaj wam będzie dane. Nie musicie nawet zatykać uszu, bo i tak... głusi jesteście studziennie.

Szliśmy za nim po drewnianych schodach, potem z całych sił oburącz ściskaliśmy sznury grubsze od naszych ramion. Upalne południe rozpalało się powoli.

– Niech zaśpiewa najmniejszy dzwon – krzyczał wniebogłosy kościelny Messerschmidt i spoglądał z ironią na nasze rozpaczliwe wysiłki. – Nie tylko talentów artystycznych, ale i sił fizycznych panom nie dostaje. Panowie jesteście absolutnie daremnym pokoleniem. Jak będziecie dorośli, nie tylko Kościół luterski, ale i Polskę Ludową do upadku przywiedziecie, co zresztą, kto wie, może i na dobre wyjdzie.

O tak. Tak, artysta, tak urodzony artysta bierze w swoje boskie palce stworzony dla niego instrument. – Messerschmidt z pozoru niedbale ujmował daremnie napinany przez nas sznur. – Tak oto. Całym jestestwem, nie zaś samymi rękami. W świętym miejscu jesteśmy, toteż panowie wielkodusznie wybaczą, iż nie zasugeruję wam, co mianowicie możecie sobie samymi rękami zrobić. W fachu, w powołaniu dzwonnika ręka nie jest górną kończyną, ale przedłużeniem duszy. Niech zaśpiewa najmniejszy dzwon! – krzyczał kościelny Messerschmidt i na jego zawołanie najmniejszy dzwon ruszył z miejsca. – Ludwisarnia Tyma

w Warszawie – Messerschmidt przekrzykiwał pierwsze uderzenia serca – Ludwisarnia Tyma w Warszawie, brąz praktycznie *in statu crudi*, brąz bez domieszek, stąd też dźwięk czysty, choć mało nośny, jak wieść niesie, dzwon ten odlany został na zamówienie światłego protektora reformacji Mikołaja Radziwiłła Czarnego. Zawieszon przez braci kalwinów na wieży kościoła w Kiejdanach, służył im wiernie i swym czystym głosem podtrzymywał w wierze, choć wybranej, to przecież słusznej. W *Trylogii* pióra Henryka Sienkiewicza jest mowa o kiejdańskim kościele, niestety, dźwięku naszego kałakoła nie opisało Sienkiewiczowskie pióro, a szkoda, a szkoda. Panowie, rzecz jasna, jeszcze nie czytali *Trylogii*...

„Ja czytałem, ja już czytałem i *Ogniem i mieczem*, i *Potop*, i *Pana Wołodyjowskiego*. Ja czytałem" – chciałem zawołać, ale powściągnąłem się i ugryzłem w język. Jeszcze nie wydarzony, ale już istniejący psychologiczny instynkt podpowiedział mi, iż nie jest dobrą rzeczą okazywanie w obecności kościelnego Messerschmidta jakichkolwiek umiejętności. Niewątpliwie był on wirtuozem, był wirtuozem dzwonnikiem, być może był też wirtuozem innych kunsztów, ale nade wszystko był tym rodzajem wirtuoza, który jak ryba w wodzie czuje się wśród ignorantów.

– Niestety, niestety, niestety! – znać było, iż wszelkie intonacyjne odcienie opowiadanej historii Messerschmidt opanował do perfekcji. – Mikołaj Radziwiłł umiera rychło, a w kilkadziesiąt lat później bracia katolicy odbierają braciom kalwinom ich, czyli nasz, kościół. Po prawdzie odzyskują go oni, ale z wielkiej perspektywy historycznej, mniejsza o drobne szczegóły historyczne. Choć to, co się teraz dzieje, jest drobnym detalem historycznym tworzącym wielką historię, nie tylko historię w historycznym, ale i historię w epickim sensie. Co się dzieje, panowie?

Kościelny Messerschmidt oderwał na chwilę dłonie od sznura, który porywany w górę rozkołysanym radziwiłłowskim rytmem tańczył, rzekłbyś, przed nami swój straceńczy, gwałtownie urywany taniec.

– Co się dzieje, panowie? Oto ciemną kiejdańską nocą czterej szlachcice, historia nie zna ich nazwisk, wiemy jedynie, iż byli to trzej kalwini i jeden luter, ciemną, mroczną nocą ta kacerska czwórka zdejmuje z wieży kiejdańskiego kościoła dzwon Mikołaja Radziwiłła, ładuje go na sanie, okłada sianem i słomianymi wiechciami, i ruszają. Sześciokonny zaprzęg

rusza w głąb ciemnej i mroźnej Rzeczpospolitej. Kilkudziesięciostopniowy, choć wtedy nie do zmierzenia, mróz sprawia, iż sanie suną chyżo po kiejdańskim gościńcu. Siedemnastowieczna pełnia księżyca, czarne lasy i białe pola. Panowie, dzieje tej wyprawy czekają na swojego epika, przy czym nie ma co ukrywać, musiałby to być człowiek co najmniej tak pod względem językowym utalentowany jak Henryk Sienkiewicz. Pomyślcie, panowie, a nade wszystko spróbujcie puścić wodze waszej kompletnie zbolszewizowanej wyobraźni. Czterech protestantów, czterech jeźdźców nie Apokalipsy, ale czterech jeźdźców Ewangelii wiezie na saniach przez zamarznięte stulecie protestancki dzwon. Nie wiedzą, dokąd jechać. Może do Warszawy? Do Leszna? Do Lublina? A może do Prus, do Królewca? Nie znają drogi, nie mają celu, wiedzą jedynie, że trzeba chronić święty przedmiot. A wokoło ciemności, zbójcy, Kozacy, Tatarzy, Turcy, Szwedzi, czerń i dzicz. Lotem błyskawicy rozchodzi się wzdłuż traktu wieść, iż nasi muszkieterowie wiozą skarby królewskie. Zasadzki. Potyczki. Przygody. W trakcie kolejnej jeden z braci kalwinów zostaje śmiertelnie ranny. Mityczna dramaturgia tej podróży polega na tym, iż jej uczestnicy wykruszają się powoli. Drugi kalwin jest ekstatycznym entuzjastą okowity. Chleje jak nie przymierzając pan Trąba, tyle że bardziej straceńczo. Którejś nocy nadmiernie rozgrzawszy swoje członki, niebacznie usnąwszy – zamarza. Pozostała dwójka uczestniczy w tylekroć już gdzie indziej opisywanej scenie śmiertelnego wtajemniczenia. Płatki porannego śniegu osiadają na powiekach ich bezwładnie leżącego towarzysza. Nie topnieją. Twarz zarasta białą łuską i nikt nigdy już nie będzie wiedział, czy nasz niegdysiejszy towarzysz wiary i towarzysz broni miał oczy piwne, czy oczy niebieskie, czy za pazuchą szeleścił mu list skreślony czyjąś bardzo drobną dłonią, za czym tęsknił i przed czym uciekał.

Kościelny Messerschmidt najwyraźniej wzruszył się własną retoryką, łza błysnęła mu w oku, nie krył się z tym bynajmniej.

– Panowie wybaczą – powiedział szorstkim, powściągającym własne wzruszenie głosem – ale, jak mawiają bolszewicy, ja jestem *ślioznyj czeławiek*. Trzeciego, najmłodszego z kalwinów – ciągnął dalej otarłszy łzę rękawem i wysmarkawszy się na podłogę – trzeciego, najmłodszego z kalwinów gubi to, co i was wygubi niebawem: pochopna wymiana spojrzeń z pewną katoliczką.

Karczma pod Częstochową i starsza od niego o ładnych parę lat wdowa szynkareczka o imponującej cielesności. O świcie, zamiast ruszyć dalej, zamiast dalej eskortować dzwon, on drwa rąbie na podwórcu, wodę nosi i twierdzi, iż odnalazł sens życia. Panowie, sens życia i małżeństwo mieszane to jest jak ogień i woda! Teraz i tak nic nie pojmiecie, teraz i tak lada chwila runiecie w ramiona ponętnych papistek, ale przyjdzie czas i wspomnicie na moje słowa. Wszystko jedno. Na placu boju czy też na szlaku podróży pozostaje ostatni jeździec Ewangelii, ewangelik augsburski – luter. Szlak wiedzie, Bóg prowadzi dalej na południe. Już jest pełnia bujnej, upalnej wiosny, sanie dawno zastąpione zostały podwodą, jest sam na piaszczystym gościńcu, dotyka palcami gładkiej jak skóra protestantki powierzchni dzwonu i tamten mroźny, ciemny kiejdański wieczór, kiedy ściągali dzwon z wieży, kiedy gnani nie tylko bożym wezwaniem ruszali w niepewne, tamten czas, wydaje mu się, pochodzi nie z tego świata i nie z jego życia. Teraz droga wiedzie pod górę, wzgórze za wzgórzem, coraz wyżej i wreszcie – ona jest. U jego stóp rozciąga się obiecana dolina, ewangelicy krzątają się wokół swoich obejść, chóry kościelne śpiewają psalm za psalmem, ptacy w górę podlatują, wszędzie panuje dobre, przyjazne światło. Hosanna.

I w ten sposób – głos kościelnego nagle jakby załamał się, mówił teraz zupełnie bez przekonania – i w ten sposób mój prapradziad dotarł do ziemi cieszyńskiej. Niech zaśpiewa średni dzwon! – krzyknął nagle i nie sposób było nie pomyśleć, iż chce tym krzykiem zagłuszyć coś, co albo jeszcze nie zostało, albo już zbytecznie zostało wypowiedziane. – Innym razem opowiem wam historię średniego dzwonu, innym razem, na dziś wystarczy wam wiedzieć, że odlany i ofiarowany on został na osobiste polecenie króla szwedzkiego Karola XII, który nie tylko cesarza ewangelikożercę Józefa I gromił, ale i wymógł na nim sześć kościołów Łaski, tak jest, sześć kościołów Łaski! Żagań–Sagan! – krzyczał jakby ogarnięty jakimś nagłym rodzajem translatorskiego szału kościelny Messerschmidt. – Sagan–Żagań! Frysztad–Kożuchów! Hirschberg–Jelenia Góra! Landshut–Kamienna Góra! Militsch–Milicz! Teschen–Cieszyn! A teraz, a teraz – kościelny Messerschmidt szykował się do finału – a teraz niech zaśpiewa wielki dzwon!

Rozkołysane pod żeliwnymi kopułami serca z całych sił biły swoim, choć kierowanym przez Messerschmidta rytmem. Jego głos całkowicie tonął w ich muzyce, wydawało nam się, że ciągniemy za sznury, ale to one ciągnęły nas w górę i opuszczały w dół, wzlatywaliśmy i opadaliśmy niczym początkujący aniołowie, kościelny Messerschmidt opowiadał zupełnie niesłyszalną historię wielkiego wittenberskiego dzwonu.

– Tak jest, tak jest, wielki dzwon pochodzi z kościoła zamkowego w Wittenberdze – opowiadały niemo rozdziawione usta kościelnego Messerschmidta – szczodry lud wittenberski ofiarował ów dzwon uciśnionemu ludowi cieszyńskiemu, by ten, słuchając tych samych tonów, których słuchały uszy naszego reformatora doktora Marcina Lutra, nie ustawał w reformacyjnym zapale. Tak jest, tak jest, panowie, wielki dzwon dzwonił na wieży kościoła zamkowego pod wezwaniem Świętego Pawła, dzwonił w ów chłodny październikowy poranek, kiedy to nasz reformator za pomocą szesnastowiecznego młotka przybijał do wrót kościelnych swoje dziewięćdziesiąt pięć tez w sprawie odpustów. Jeśli panowie wsłuchacie się uważnie – kościelny Messerschmidt obrócił twarz swoją ku górze – jeśli panowie wsłuchacie się uważnie, to usłyszycie, iż zapalczywy stukot luterskiego młotka na zawsze uwiązł w tonie wielkiego dzwonu i brzmi w nim i teraz całkiem wyraźnie. To znaczy – w niemej opowieści Messerschmidta zabrzmiał prawie słyszalny jadowity akcent – to znaczy, jak kto pobożny, to usłyszy. Niepobożni, bolszewicy, poganie i inni pogromcy katoliczek nie usłyszą niczego. Bo moc naszego dzwonu w tym się zasadza, iż ton jego nie tylko góruje nad innymi tonami, ale i inne tony absorbuje i w otchłaniach swojej substancji zapamiętuje. Z tego powodu mówi się, że wszystkie nasze dzwony to są dzwony wittenberskie, choć jest tu i szwedzki, i radziwiłłowski. Ale wielki dzwon wittenberski góruje nam nimi, przewodzi im, ich głos w siebie wchłania i swoim głosem tamte obdarza. Słuchajcie, słuchajcie, a usłyszycie, jak w przezroczystym, chłodnym, październikowym powietrzu (w chmurach nad Wittenbergą czają się pierwsze śniegi) słychać pełen popędliwości stukot młota przybijającego pergamin żelaznymi ćwiekami.

***

Natężałem słuch, ubierałem się powoli i coraz wyraźniej słyszałem niepopędliwe wprawdzie, ale regularne i mocne uderzenia. Kuchnię wypełniała atramentowa poświata, do wiszącej nad stołem lampy ktoś wkręcił granatową poniemiecką żarówkę, pan Trąba stał na taborecie i z nieoczekiwaną wprawą przybijał do ramy okiennej wielki szary koc.

– Zaciemnienie jak za okupacji, jak za okupacji, panie Naczelniku, a nawet jeszcze szczelniejsze. *Verdunkelung sensu largo*. Szczelniejsze, bo za Niemców byliśmy młodsi i nieraz, zwłaszcza po kielichu, pochopniejsi. Szczelniejsze – pan Trąba westchnął ciężko – szczelniejsze, bo z fazy debaty teoretycznej przechodzimy do fazy *praxis*.

Z lekkością młodzieńca zeskoczył z taboretu i zajął swoje miejsce za stołem. Wpierw uważnie spojrzał na ojca, potem chyba najzupełniej przypadkowo, bo przecież nie mógł mnie widzieć – schowałem się pomiędzy płaszczami w przedpokoju i przez szparę w drzwiach podglądałem przebieg wydarzeń – więc najzupełniej przypadkowo pan Trąba spojrzał w moim kierunku, milczał jeszcze przez chwilę i jął mówić osobliwie zduszonym i zarazem uroczystym głosem:

– Panie Naczelniku. Będę mówił z głowy, ponieważ, rzecz jasna, nie poczyniłem żadnych notatek. Notatki w naszym wypadku oznaczają pewną zsyłkę. Wydaje mi się, że pamiętam wszystko i powiem wszystko, gdyby wszakże tak się zdarzyło, iż moja nadwerężona nadmiernymi dawkami świata pamięć przywiodła mnie do jakiegoś karygodnego lapsusu, usilnie proszę o zwrócenie mi uwagi. Panowie! – Pan Trąba niczym niewprawny pływak nabrał zbyt obfity haust powietrza, przez co jego teatralnie zmieniony głos zabrzmiał jeszcze osobliwiej. – Panowie, towarzysz Gomułka mieszka w Warszawie przy ulicy Frascati 7, na pierwszym piętrze zbudowanego w latach dwudziestych czteropiętrowego budynku. Na parterze jedno z mieszkań zajmują funkcjonariusze ochrony. Jest ich sześciu, dyżurują trójkami po dwadzieścia cztery godziny. Rzecz jasna, uzbrojeni, choć zdemoralizowani od lat panującym w kraju spokojem i haniebnym, tak jest, haniebnym, zaniechaniem tradycji powstańczych! Praktycznie cały czas, tak, całe dwadzieścia cztery godziny dyżuru mija im na grze w karty. Przeważnie grywają w pokera, choć jedna ze zmian preferuje remika lub też bliżej mi nie znaną grę zwaną ogon. Grają wysoko, bywa że i po dziesięć złotych za punkt. Jest to przesłanka,

która dowodnie pokazuje, iż przekupstwo jako sposób dojścia do celu w naszym wypadku odpada. Chyba żebyśmy wpierw, celem zdobycia odpowiednich środków, ograbili jakiś bank albo wręcz i kilka banków. Wielcy terroryści, i azjatyccy, i europejscy, jak panowie doskonale wiecie, działali w ten sposób, obawiam się wszakże, iż na to, by ściśle włączyć się w tradycję, by wiernie pójść śladami klasyków terroru, obawiam się, iż na to nas nie stać. *Any way*. Wszyscy strażnicy czuwający nad bezpieczeństwem towarzysza Wiesława doskonale znają, mówiąc oględnie, smak alkoholu. Często gęsto popijają także na służbie, co z pozoru sprawiać może wrażenie nierozwagi i braku odpowiedzialności; Gomułka, jak zresztą każdy pozbawiony krztyny poczucia humoru służbista na kierowniczym stanowisku, z całą surowością tępi wszelkie związane z pracą towarzyskie niefrasobliwości. Sam sięga po kieliszek rzadko i zawsze musi mieć po temu jakiś powód, wyjątkowo w dodatku uroczysty powód, co kwalifikuje go do kategorii alkoholowych profanów, mnie zaś osobiście zbrzydza doń do reszty. Jak panowie doskonale wiedzą – w głosie pana Trąby zabrzmiała dobrze mi znana, zwiastująca bezinteresowną epikę nuta – jak panowie dobrze wiedzą, alkoholowi profani pijający wyłącznie z uroczystego powodu lub świątecznej okazji to jest gatunek nikczemny. Prawdziwy artysta spirytualiów pije wyłącznie bez powodu i bez okazji, co więcej, typowych okazji, w których zwyczajni śmiertelnicy nurzają się w błocku nieoczekiwanych dla siebie uniesień, on z całym arystokratyzmem unika. Gomułka upija się wyłącznie w sylwestra. Doprawdy, nie jest mi znany przejaw gorszego smaku. Mało tego. On w tego sylwestra upija się z wyjątkowo odrażającą metodycznością. Około mianowicie dwudziestej pierwszej pojawia się w sali balowej (przeważnie w Pałacu Kultury i Nauki, jeśli jest to „Bal ludu pracującego", albo też w auli Politechniki Warszawskiej, jeśli jest to „Bal mieszkańców stolicy"), zasiada za stołem prezydialnym i do północy nie rusza się z miejsca. Z upodobaniem, w charakterystyczny sposób przekrzywiając głowę, przygląda się absolutnie, rzecz jasna, spontanicznej zabawie, popija umiarkowanie jeden, dwa kieliszki, nie tańczy. Kiedy natomiast wybija północ, budzi się w nim zwierz. Nie od razu wprawdzie, bo wpierw wstaje i wygłasza toast noworoczny: „Towarzysze i Towarzyszki, Obywatele i Obywatelki, Ludu pracujący, mijający rok był rokiem wytężonej pracy oraz dalszego doskonalenia postępu gospodarczego..." Wygłosiwszy

wszakże toast, pierwszy sekretarz natychmiast rusza do boju, zaczyna pić dalej, co prawda z odrażającą metodycznością, ale łakomie, i wielkimi krokami oddaje się sztuce tańca, prawi komplementy, aktywnie uczestniczy w chóralnym odśpiewywaniu pieśni proletariackich i w stanie absolutnej demencji alkoholowej kończy zabawę koło szóstej rano. Gdyby nie drobny szczegół polegający na tym, iż jest to człowiek cały czas oderwany od rzeczywistości, rzec by można, iż towarzysz Wiesław raz do roku odrywa się od rzeczywistości. Zakładałem w pewnej chwili…

– Panie Trąba – w głosie ojca ciekawość walczyła o lepsze z irytacją – skąd, na Boga Ojca, zna pan te wszystkie wiadomości i detale?

– Zaczerpnąłem je stamtąd, skąd i pan, panie Naczelniku, czerpie sporo wiedzy – pan Trąba, uśmiechając się figlarnie, postukał wskazującym palcem w stół, na którym rozciągała się olbrzymia płachta gazety – wyczytałem to wszystko pomiędzy wierszami „Trybuny Ludu".

– Panie Trąba – powiedział z pełnym podziwu uśmiechem ojciec – gdyby nie to, że jesteśmy na służbie, wygłosiłbym rytualną formułę, iż piękna fraza i nagrody godna. Jedna z najcelniejszych pańskich ripost. Moje uznanie.

– Bóg zapłać, panie Naczelniku. Tak jest. Jesteśmy na służbie i nie może być mowy nawet o kropli alkoholu. Z drugiej wszakże strony, muszę powiedzieć, iż odczułbym osobliwą przykrość, gdyby jeden z moich najsubtelniejszych wersów pozostał bez przysługującej mu nagrody, niechby ona miała nawet nieco mniejszy, powiedzmy, połowiczny wymiar. Po drugie, pora jest tak późna, iż możemy przyjąć, że przysłowiowy kielich wystąpi w funkcji filiżanki krzepiącej mokki, po trzecie i najistotniejsze, czas, by najmłodszy uczestnik akcji – pan Trąba wyraźnie wskazał dłonią w moim kierunku – dostąpił wtajemniczenia, a i inicjacji, jak sądzę.

Ojciec milczał i nie ruszał się z miejsca.

– Panie Naczelniku – rzekł oficjalnym i dobrze w swojej oficjalności wyćwiczonym tonem pan Trąba – to, co pan słyszał, nie było czczą paplaniną pańskiego przyjaciela, ale głosem pańskiego przełożonego i zarazem dowódcy akcji. Proszę łaskawie docenić, iż mając w pamięci pańskie zasługi, nie używam słowa „rozkaz", ale proszę też, by w przyszłości nie powtarzały się tego rodzaju niesubordynacje.

Ojciec karnie wstał zza stołu, podszedł do kredensu, wyjął butelkę i kieliszki i postawił na stole.

– Pójdź, Jerzyku – pan Trąba skinął dłonią w moim kierunku, ja zaś na drżących nogach wstąpiłem w atramentową czeluść kuchni.

Byłem pewien, iż zaraz usłyszę zalatujące ohydą słowo: „dziecko". „Proszę dziecka do tego nie mieszać" – zaraz powie ojciec, albo: „Dziecko w żadnym wypadku", albo: „Dziecko powinno już spać", albo: „To jeszcze dziecko". Ale ojciec w milczeniu napełniał kieliszki. Powoli usiadłem na polakierowanym na biało, teraz jakby powleczonym błękitnym pokostem taborecie, pan Trąba zaś prawił dalej:

– Jerzyku, mężczyzno! O tym, że jesteś mężczyzną, wiadomo powszechnie. – Czyżby wiedział, co wyprawiałem z anielicą mojej pierwszej miłości, przemknęła mi przez głowę paniczna myśl, ale panu Trąbie najwyraźniej nie szło o konkrety. – Nie będziemy przeto powtarzać oczywistości i tym samym trywializować początku rytuału. Jako mężczyzna, Jerzyku, wraz z innymi mężczyznami (wbrew pozorom zarówno twój ojciec, jak i ja dalej zasługujemy na to miano), będziesz mianowicie miał szansę uczestniczenia w wielkim czynie patriotycznym. Jako dziecko natomiast – a jednak, pomyślałem, a jednak jestem człowiekiem bożym i wyprzedzam rzeczywistość o jakie pół kroku – bo przecież będąc mężczyzną, dalej jesteś, i co więcej, zawsze będziesz dzieckiem w wielorakim sensie, choćby w sensie bycia dzieckiem rodziców swoich. Otóż jako dziecko, Jerzyku, będziesz mianowicie miał szansę całkowicie niepowtarzalną, szansę, która już na samym początku życia ustawi cię w niesłychanie uprzywilejowanej pozycji, jako dziecko mianowicie, Jerzyku, będziesz miał szansę urwania łba hydrze.

> Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
> Ten młody zdusi Centaury,
> Piekłu ofiarę wydrze,
> Do nieba pójdzie po laury!

– wyrecytował, stawiając belferskie akcenty i pauzy pan Trąba. – Czy w twoim dalszym życiu tę daną ci szansę umiejętnie wykorzystasz, to znaczy, czy dusił będziesz, wydzierał i sięgał gdzie trzeba, to już, Jerzyku,

twoja sprawa. My dajemy ci szansę, jakiej z twoich rówieśników nie ma żaden. A tymczasem unieś kielich, Jerzyku – pan Trąba od początku przemowy dzierżył swój kielich za bezpieczną zagrodą swoich palców – a tymczasem unieś kielich i wypij. Wszyscy wiemy, panowie – pan Trąba wstał z miejsca, a my wraz z nim – czym jest w życiu mężczyzny pierwszy łyk alkoholu. Jerzyku, aby uniknąć wydrwionego przez drugorzędnych autorów wizerunku krztuszącego się debiutanta, postępuj według następującej metody: tuż przed wypiciem nabierz umiarkowaną ilość powietrza, innymi słowy: wdech, następnie wypij jednym haustem, rzecz jasna, nie oddychając, innymi słowy: bezdech, następnie delikatnie, choć stanowczo, wypuść powietrze, innymi słowy, wydech. W tym rzecz: po wypiciu gorzałki należy wypuścić z ciała powietrze, aby uczynić tam dla niej jeszcze więcej miejsca. Panowie, panie Jerzy, panie Stanisławie – pan Trąba trącił się z nami swym kieliszkiem i my z ojcem uczyniliśmy to samo: trąciliśmy się swymi kieliszkami. – Panowie, niechaj spadnie łeb tyrana! Zdrowie nasze i wszystkich naszych kolegów tyranobójców żyjących i nieżyjących.

I wypiliśmy. I wypiłem. I poszło jak z płatka. Przejrzysty obłok jałowcówki przesunął się pomiędzy cieniami mych wnętrzności i były na nim znaki i proroctwa, i były w tym moim pierwszym łyku figury wszystkich moich przyszłych łyków, były w nim zapisane wszystkie moje przyszłe upadki, pijaństwa, butelki, kieliszki, pawie, wszystkie moje przyszłe sny deliryczne, wszystkie rynsztoki, kontuary, stoły, bary, wszystkie miasta, na bruku których mój trup kiedyś spocznie, były tam wszystkie kelnerki, u których miałem w życiu składać zamówienia, słychać w nim było mój bełkot i trzęsły się w nim moje ręce, nawet moja śmierć spowita w opończę uczynioną z samych etykietek siedziała tam okrakiem i śmiała się strasznie – ale ja się nic a nic nie bałem, wypiłem przecież, pierwsza moc we mnie wstąpiła, a wraz z nią przyszło pierwsze wielkie uskrzydlenie, wszystko teraz byłem w stanie zrobić, mogłem jednym działaniem rozwiązać naraz tysiąc skomplikowanych równań, mogłem jednym ruchem przywołać tysiąc opiekuńczych anielic, mogłem jednym strzałem strzelić naraz tysiąc bramek, jednym gestem mej mocarnej ręki, jednym palcem mogłem zetrzeć w proch Władysława Gomułkę. Spoglądałem na zamaskowane niebieską poświatą twarze ojca i pana

Trąby i wiedziałem, że i moją twarz taka sama zdobi maska, na dłoniach (jak oni) miałem niebieskie rękawiczki spiskowca, przypomniał mi się kościelny Messerschmidt, opowiadający o niebieskich jak płomyk gazowy iskrach bożych, z zachwytem patrzyłem na moje dłonie, które teraz były nie tylko dłońmi urodzonego dzwonnika, ale i dłońmi płatnego mordercy, najemnika, strzelca.

– Gdyby zresztą nawet jakimś cudem mi się powiodło – głos pana Trąby przywrócił mi poczucie obowiązku – gdyby zresztą nawet jakimś cudem mi się powiodło i gdybym zdołał się dostać w jego bezpośrednią bliskość, z bliska i tak bym tego nie potrafił zrobić, nie ugodziłbym go sztyletem ani tym bardziej nie zrobiłbym tego gołymi rękami. Wstręt fizyczny, który odczuwam do towarzysza Wiesława, niechybnie sparaliżowałby mnie. Gołymi rękami mógłbym unicestwić towarzysza Mao, Gomułkę w żadnym wypadku. A poza tym z daleka zabić łatwiej…

– Z daleka zabić łatwiej pod względem moralnym, trudniej pod względem technicznym – ojciec bardzo rzadko formułował ogólne sentencje.

– Panie Naczelniku – z entuzjazmem krzyknął pan Trąba – wściekle zazdroszczę panu celności tej formuły! Wściekle zazdroszczę i równocześnie nagradzam.

Pan Trąba napełnił kieliszki, mój wszakże jedynie do połowy, co potwornie mnie dotknęło. Jadowita myśl o dezercji i zdradzie natychmiast zapłonęła w mojej głowie.

– Tak czy inaczej, operacja musi mieć charakter snajperski – powiedział pan Trąba. – Niestety odpada użycie broni palnej. Odpada ono z tysiąca rozmaitych powodów, spośród których jeden wszakże wydaje mi się wystarczający: ja mianowicie nie umiem obchodzić się z bronią palną. Tak – zasępił się pan Trąba – na liście moich rozlicznych nieumiejętności znajduje się i ta nieumiejętność… A gdyby nawet – dalej był pełen melancholijnego niesmaku do samego siebie – gdyby nawet udało się nam jakimś cudem zdobyć, dajmy na to, dubeltówkę, to i tak czasu jest zbyt mało, bym zdołał w należycie precyzyjnym stopniu opanować kunszt strzelecki. Jednym słowem, panowie – głos pana Trąby na powrót stał się głosem wytrawnego sztabowca – jednym słowem, panowie, pozostaje…

– Jednym słowem, panowie, pozostaje łuk – głos ojca wibrował niepoczytalną wściekłością. – Panie Trąba, może starczy tych facecji! Jeśli pan sobie życzy, mogę powiedzieć, iż z tą chwilą wypowiadam posłuszeństwo, odchodzę z oddziału, odmawiam wykonywania jakichkolwiek rozkazów, zrzucam mundur, odchodzę do cywila, mogę wypowiedzieć którąkolwiek z tych błazeńskich formuł. I wypowiadam – zdawało mi się, iż od śmiertelnej bladości pojaśniało nawet niebieskie światło na twarzy ojca – i wypowiadam tę formułę, i wypowiadam wszystkie naraz te kabotyńskie formuły i równocześnie – ojciec chwycił stojącą na stole butelkę – bezterminowo zawieszam panu przyznawanie nagród za najbardziej nawet zapierające dech w piersiach frazy… Pan przekracza granice smaku – ojciec mówił nieco ciszej, ale nie uspokajał się bynajmniej, przeciwnie, wciąż narastająca w nim furia zdawała się teraz swój własny głos dławić. – Już sam pomysł z zamachem, już sam pomysł z zamachem jest ryzykowny, cała ta historia permanentnie sama siebie kwestionuje, a tu teraz gwóźdź do trumny wszelkiego prawdopodobieństwa… Pan, panie Trąba, cały ten nieszczęsny naród obraża… Nie wie pan, jak ludzie są upodlani? Nie wie pan, że jego naprawdę trzeba zabić? A pan? Jeśli w ogóle ma pan go zamiar zabić, to zanim go pan zabije, sam się pan na śmierć zagada. Nie pojmuje pan tego, czy jak?

– Pojmuję, dobrze pojmuję – powiedział głucho pan Trąba.

– Skoro pan pojmuje, to po cóż pan rozcieńcza sytuację groteskowymi rekwizytami? Do stu tysięcy furgonów beczek! Zamachowiec z łukiem, policjant z damską parasolką! A tu ludzi na Sybir wywożą! Tere-fere kuku, do Gomułki z łuku! – Drobiny piany pojawiły się w kącikach ust ojca. – Z łuku! A może z procy! A może tak ot!

I wziąwszy potworny rozmach, ojciec z całej siły cisnął butelką. Czy wszakże okazały gest był odwrotnie proporcjonalny do jego siły, czy hipnotyczna i ocalająca moc wzroku pana Trąby nie spuszczającego oka z butelki tak wielka, czy był to rzadki splot rozmaitych koincydencji – dość że nic się nie stało. Jeżeli istniał cel – pocisk chybił celu. Flaszka odbyła krótki i osobliwie powolny lot w kierunku okna, zaciemniający koc zamortyzował uderzenie, niczym powietrzny wehikuł podchodzący ku lądowaniu zsunęła się w dół wzdłuż szarej powierzchni i odbiwszy się

jeszcze od stojącej pod oknem ławy, bezpiecznie wylądowała na ziemi i ospale, ostatnimi porywami potoczyła w kierunku moich stóp. Przez chwilę przyglądaliśmy się jej niemo, może w obawie, iż jednak lada chwila eksploduje i rozsypie się, rozpłynie w szkło zmieszane z jałowcówką, a może w nadziei, iż wstąpią w nią jeszcze jakieś energie i napędy i jakby obrócona czyjąś niewidzialną ręką zawiruje figlarnie i występnie? Ale nic się nie działo. Było cicho, u mych stóp zaś spoczywała flaszka wypełniona gorączkową i niemą szamotaniną niebieskich świateł.

– Panie Naczelniku – głos pana Trąby miał nietypowo realistyczne brzmienie – panie Naczelniku, ja go naprawdę zabiję. Nie z łuku, rzecz jasna. Mam zamiar zastrzelić go z chińskiej kuszy miotającej bełty.

5

Gdy wreszcie zrozumiałem, na czym ma polegać moja rola w zamachu na życie I sekretarza Władysława Gomułki, rozgorzały we mnie czarne płomienie zdrady i wstydu. Był duszny sierpniowy poranek, przez otwarte okno słychać było orkiestrę misyjną, z furią wdziewałem niedzielne ubranko, śpieszyłem się, miałem zamiar zostać zdrajcą, zanim zacznie się nabożeństwo. Chyłkiem, śliskim krokiem wiarołomcy wymknąłem się z domu.

„Jezu mój krasny! Królu świata jasny!" – śpiewały w przykościelnym ogrodzie chórzystki i spoglądały na mnie z pogardą, misyjni muzykanci odsunęli od ust puzony i z naganą pozierając w moim kierunku jęli coś szeptać między sobą.

– Halucynacje, Jerzyku, to są halucynacje, halucynacje spowodowane twoim panicznym strachem – szeptałem sam do siebie, kuliłem się i kroki moje stawały się coraz cięższe i czarna piana lęku kolebała się w moich wnętrznościach coraz niebezpieczniej i ściśle na wysokości Domu Zborowego musiałem się zatrzymać. Po raz pierwszy w życiu pojąłem, iż jeśli nie doznam uskrzydlenia, nie postąpię ani kroku dalej. Potem to przeświadczenie miało się stawać coraz częstsze, liczba czynności, których nie byłem w stanie wykonać bez doznania uskrzydlenia wzrastała, w końcu bez doznania uskrzydlenia nie byłem w stanie niczego w życiu zrobić, i teraz zresztą także, by spisać tę historię, uskrzydlać się muszę nieustannie.

Rozejrzałem się wokoło i choć wybór jak na początek lat sześćdziesiątych był spory, i choć wszystkie gospody i „Piast", i „Dom Zdrojowy", i „Café Orbis" były już otwarte, i choć wszystkie trzy znajdowały się w zasięgu mego wzroku, moja małoletniość stanowiła zaporę nie do przebycia. Męskie ramiona męskimi ramionami, męski głos męskim głosem, ale nie było najmniejszej szansy, aby któraś z trzech barmanek… nie mogłem mieć żadnej nadziei, iż Helenka Morcinkówna („Piast"), Krysia

Kotulanka („Dom Zdrojowy”) czy Marysia Jasiczek („Café Orbis”) poczęstuje mnie gorzałką. I nie przez samego siebie prowadzony skręciłem w lewo i przyśpieszyłem kroku, i niebawem, minąwszy plac targowy, zastukałem do wrót ukrytego w cieniu skoczni narciarskiej domostwa pana Trąby. Nikt nie odpowiadał. Nacisnąłem klamkę. Drzwi ustąpiły. Z głębi, z ciemnej sieni, dochodziły pojedyncze słowa tłumione gorączkowym spazmatycznym oddechem.

Pan Trąba leżał na żelaznym łóżku stojącym na środku ogromnej, większej nawet od naszej kuchni, izby. Poza łóżkiem i stojącą przy łóżku butelką nie było tam żadnych sprzętów ani przedmiotów, nic, zdrewniały bezmiar wód, dryfujący środkiem rozbitek i butelka pełna zgubnych wieści. Z rozciętego czoła pana Trąby sączyła się krew, z raz po raz rozchylających się ust ciekła ślina, zielone wojskowe spodnie, które miał na sobie, były kompletnie przemoczone. W izbie panował przedśmiertny zapach ciała bezwolnie spływającego wszelkimi substancjami, choć w istocie wypełnionego jedną tylko substancją. Pan Trąba mówił coś, szeptał, bełkotał nieustannie, ale z początku nie mogłem wyłowić ani jednego słowa, ani nawet jednego zrozumiałego dźwięku. Natężyłem się wszakże, zmobilizowałem swój tajemny talent odgadywania słów nie wypowiedzianych i po chwili, szczerze mówiąc, po bardzo długiej chwili, mniej więcej wiedziałem, o co chodzi. Słowem-kluczem delirycznej narracji pana Trąby było słowo „herbata”, cała zaś narracja miała charakter miłosny. Była to sentymentalna skarga mężczyzny bolejącego nad tym, iż nie może pić herbaty u boku ukochanej kobiety, ponieważ ona pije herbatę u boku innego. Całość obfitowała w liczne dygresje, niezamierzone wtrącenia i nieczytelne ozdobniki, być może generalne przesłanie lamentu, iż picie herbaty u boku ukochanej kobiety było jedynym marzeniem w życiu mężczyzny, powtarzało się z nadmierną refrenicznością, ale zważywszy stan, w jakim znajdował się pan Trąba, wszystko układało się zadziwiająco płynnie. Było zresztą z nim tak jak zawsze: sens jego opowieści był zasadniczą, a może jedyną więzią łączącą go ze światem. Imię ukochanej kobiety nie padało ani razu, może nie byłem w stanie go odgadnąć, może nie chciałem go odgadnąć. Wydobyłem z kieszeni niedzielnego ubranka białą chustkę do nosa, wylałem na nią trochę wódki

ze stojącej przy łóżku butelki, tak uczyniony opatrunek przyłożyłem do czoła pana Trąby i starłem powoli zasychającą krew.

On na moment zamilkł, szerzej otwarł usta, struga brunatnej śliny spłynęła przez siwy zarost na policzku, westchnął i uniósł opuszczone powieki. Spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem i ni to wyszeptał, ni to wycharczał:

– Nie powinieneś mnie oglądać, Jerzyku. Jestem w upadku zarówno moralnym, jak fizycznym.

I wyciągnął rozdygotaną rękę ku dalej trzymanej przeze mnie butelce, i pochyliłem się nad nim, ostrożnie przytknąłem butelkę do ust jego, on zaś pił. Potem, oprzytomniawszy nieco, spojrzał na mnie, rzec by wręcz należało: z namysłem przyjrzał się mojej determinacji, w lot pojął elementarny cel mojej wizyty i powiedział:

– Wypij za mój powrót do zdrowia, Jerzyku, uczyń to jak najrychlej, ponieważ lada chwila oczekuję nadejścia siostry miłosierdzia.

I istotnie: wypita doza nie zdążyła nawet dotrzeć do moich części duchowych, gdy ni stąd, ni zowąd, jak spod ziemi wyrosła w izbie odziana w piękną kwiecistą suknię masywna postać pani Rychterowej, wdowy po dawnym właścicielu Domu Towarowego, panu Rychterze.

– Dzień dobry, dzień dobry – krzyknęła przesadnie akcentując i teatralnie wymawiając słowo „dobry", natychmiast jęła biec wokół łoża pana Trąby. Biegła, machała rękami i krzyczała: – Dobro! Dobro! Dobro! *Gut! Gut! Sehr Gut!* Dobre życie! Dobre życie! Do dobrego życia!

Biegła i raz po raz wznosiła i opuszczała ręce, splatała i rozplatała dłonie, ramionami młóciła powietrze, czyniła też w pełnym biegu pełne nieoczekiwanego dostojeństwa przysiady – była niczym oszalały gimnastyk, który postanowił popełnić samobójstwo, wykonując do ostatniego tchu wszystkie znane mu sekwencje ćwiczeń.

– Myślenie pozytywne! Myślenie pozytywne! – darła się wniebogłosy. – Życzliwe nastawienie do świata! – ryczała niczym zarzynany bawół. – Życzliwe nastawienie do świata czyni cuda. Czytałam w miesięczniku „Ameryka" wywiad z człowiekiem, któremu dzięki życzliwemu nastawieniu do świata cofnął się rak prostaty! Rak prostaty!

***

Od dobrej chwili wycofywałem się krok za krokiem, przebyłem już ciemną sień i wreszcie poczułem na moich męskich ramionach ciepło i jasność. Gdyby nie to, iż dobrze pamiętałem niebudzące cienia wątpliwości wywody pana Trąby o cieple i jasności jako nieodzownych atrybutach Szatana, być może wydawałoby mi się, że powracam z piekła na ziemię, ponieważ jednak pamiętałem i, co więcej, wierzyłem, bez złudzeń przypatrywałem się wypełnianemu demonami światu.

Przez pusty i wymieciony do czysta plac targowy sunął zdecydowanym krokiem odziany w nienagannie skrojony błękitny garnitur Arcymajster Swaczyna. Doznałem uskrzydlenia i byłem już gotów do dokonania zdrady, ale mój rozjaśniony mózg jął teraz grać na zwłokę i rozważać fundamentalną kwestię, czy w ogóle istnieje konieczność dokonania zdrady. Owionął mnie zapach najdroższej wody kolońskiej świata, ukłoniłem się. Arcymajster Swaczyna uprzejmie odwzajemnił ukłon.

– Dzień piękny, panie Jerzy, jak nie przymierzając nowe pięćset złotych – zagaił swoim doskonałym niskim głosem.

– Najdroższy dzień świata – odparłem.

Arcymajster Swaczyna spojrzał na mnie swoimi znakomitymi niebieskimi oczyma, do koloru których dobierał najdroższe koszule i najdroższe garnitury świata, i westchnął z ulgą.

– Rozmowa z panem, panie Jerzy, to prawdziwa przyjemność. Pan pozwoli, jeśli ma pan chwilę czasu, zajrzyjmy na moment do mojej strzelnicy.

Arcymajster Swaczyna perfekcyjnie mrugnął, olśniewająco się uśmiechnął i figlarnie dodał:

– Do mojej strzelnicy wartej wszystkie pieniądze świata. Pan pozwoli – wyciągnął rękę.

Odwróciłem się i ujrzałem w cieniu starej rozłożystej wierzby nowiutkiego citroena. Błękitna karoseria miała w sobie intensywność sierpniowych niebios.

– Wczoraj go przywiozłem z Warszawy, cały dzień się wlokłem, bałem się, że zatrę silnik. Moskwicza sprzedałem z niewielkim zyskiem.

Arcymajster Swaczyna dzwonił kluczykami, otwierał okna i drzwi, irchową szmatką ścierał niewidoczne kurze z tablicy rozdzielczej, uruchamiał silnik, z odrzuconą w tył głową, niczym dyrygent pierwszych taktów orkiestry, słuchał muzyki pierwszych obrotów. Wnętrze samochodu pachniało wiekuistym zapachem nicości poskromionej przez materię. Był to zapach najdroższych lokali, ekskluzywnych klubów i wykwintnych apartamentów, zapach kosztownych pensjonatów, rzadkich substancji i pełnych harmonii przedmiotów.

Jechaliśmy wzdłuż rzeki, pierwsze letniczki zdejmowały sukienki, smarowały ramiona, starannie układały na trawiastych brzegach szare koce. Arcymajster Swaczyna raz po raz nerwowo poprawiał kołnierzyk swojej luksusowej koszuli.

– Niejedno godne uwagi ciało wydobyte dziś zostanie na światło dzienne. Niejedno, panie Jerzy – zmyliła mnie jego intonacja, byłem pewien, że zaraz dopowie niezbędną konkluzję albo udzieli mi dwuznacznej porady życiowej, ale on nieoczekiwanie zamilkł, ja zaś, zdekoncentrowany i zirytowany na samego siebie, nie byłem już w stanie odgadnąć, do czego zmierzał, co miał na myśli.

– Czy to prawda, co o panu mówią? – zapytałem po chwili.

– Zależy o którą z licznych legend, jakie na mój temat krążą, panu chodzi. Co takiego mówią?

– Mówią – zająknąłem się, choć przysiągłem sobie, że się nie zająknę – mówią, że jest pan najbogatszym człowiekiem świata.

Arcymajster Swaczyna pogardliwie machnął ręką.

– Ale gdzie tam – powiedział z niesmakiem i irytacją. – Ale gdzie tam. Nie wolno dawać wiary stugębnej plotce. Najbogatszy człowiek świata, dobre sobie! – Arcymajster Swaczyna smakował własną pogardę i irytację. – Najbogatszy człowiek świata! Ja nie jestem nawet w pierwszej dziesiątce! – Teraz mówił szybko i gwałtownie, z gorzkim sarkazmem mężczyzny, który świadom jest swoich klęsk życiowych. – Rozumie pan, nie mieszczę się nawet w pierwszej dziesiątce najbogatszych, nie dość na tym, że się nie mieszczę, to ja spadam, a nawet ordynarnie mówiąc: lecę na pysk. W zeszłym roku byłem piętnasty, a na dziś jestem siedemnasty. Właśnie to między innymi sprawdzałem w Warszawie. Pan sobie zdaje

sprawę, panie Jerzy, co to znaczy być na siedemnastym miejscu!? To znaczy nie być wcale.

Płaty zielonej farby odpadały z kruchych ścian strzelnicy, przez szczeliny w krzywych deskach i powyginanych blachach wzlatywały proste promienie światła, w głębi, w gęstym zielonym cieniu, stały rzędy szklanych rurek, papierowych kwiatów, zapałek, na niewidocznych nitkach wisiały papierosy, biało-czarne fotografie gwiazd filmowych, skamieniałe słodycze, wyżej przestrzelone na wylot tarcze, w kącie monstrualna lalka nie do zdobycia, trzeba by mieć siedemdziesiąt dwa punkty na sześć strzałów z wolnej ręki, żeby wejść w jej posiadanie, wynik nieosiągalny nawet dla mistrza olimpijskiego.

Małgosia Snajperek siedziała na taborecie na zewnątrz tego rachitycznego pawilonu, który, zdawać się mogło, runie za lada podmuchem, swoją piegowatą twarzyczkę wystawiła ku słońcu, swoją wyszarzałą, uszytą z niewłaściwych tkanin sukienczynę podwinęła wysoko i widać było jej uda białe jak papier kancelaryjny. Spłoszyła się na nasz widok i poprawiając zgrzebną szatę oraz byle jaką fryzurę ukryła się w środku i usiłowała nadać swoim przypadkowym rysom wyraz gotowości służbowej.

– Jak firma, pani Małgorzato? Jak tam firma na dzisiaj? – pytał przyjacielskim, ale też zarazem na wskroś oficjalnym tonem Arcymajster Swaczyna.

– Jeszcze nikogo nie było, jeszcze nie było ani jednego klienta.

– Niedobrze – zatroskał się Arcymajster Swaczyna i przybrał taką minę, i wykonywał takie gesty, i mówił w taki sposób, że nie było siły; Małgosia musiała poczuć się winna, co tam Małgosia, ja sam, ni stąd, ni zowąd, poczułem się winien.

– Może po południu – powiedziałem bez przekonania – może po południu coś się poprawi, jak ludzie pójdą na festyn.

– Niedobrze – Arcymajster Swaczyna po mistrzowsku pogrążony w rzekomym ogromie kalkulacji zdawał się niczego nie słyszeć. – Niedobrze. Bardzo niedobrze. Jak tak dalej będzie, człowiek z torbami pójdzie. W sumie nie wiem, co robić – zwrócił się nagle do mnie i mówił

teraz tak, jakby w samej rzeczy oczekiwał rzetelnej porady. – W sumie nie wiem, co robić. Czy sprzedać firmę z niewielkim zyskiem, czy remontować, czy obniżyć ceny… Nie wiem… Zastanowię się, dzień dzisiejszy nie jest dniem rozstrzygających decyzji…

Arcymajster Swaczyna powoli, w bardzo starannie opracowanym zamyśleniu, jął zdejmować marynarkę, zdjął ją, metodycznie złożył i delikatnie położył na wyświeconym łokciami pokoleń strzelców kontuarze, następnie z równym spokojem jął podwijać rękawy koszuli, podwinął je i powiedział z wystudiowaną uprzejmością:

– Pani Małgorzato, poproszę o broń i amunicję.

Gdy zaś Małgosia Snajperek podawała mu wiatrówkę i postawiła przed nim wypełnioną śrutem puszkę, on długo stał z obróconą lufą ku górze strzelbą w garści i z nienawistnym namysłem przyglądał się paradującej w głębi strzelnicy armii zapałek, patyczków i szklanych rurek nie do trafienia. A potem zaczął celnymi strzałami dziesiątkować te stojące na rachitycznych nóżkach oddziały; drzazgi i odłamki szkła, papierowe płatki fruwały w powietrzu. Arcymajster Swaczyna po każdym celnym strzale unosił melodyjnym ruchem broń ku górze i krzyczał triumfalnie:

– Sukienka!

– Bluzka!

– Spódnica!

– Halka!

– Biustonosz!

– Majtki!

– Lewy sandał!

– Prawy sandał!

– Lewy kolczyk!

Małgosia Snajperek śmiała się jak szalona, traciła przytomność ze śmiechu, pochylała się spazmatycznie, jej czaszka niebezpiecznie raz po raz przecinała linię strzału, histerycznie przyciskała rozczapierzone dłonie do piersi i do brzucha, tak jakby się bała, iż nieustanna kanonada prawdziwie zerwie z niej odzienie. Po dobrej chwili, jak zwykle z opóźnieniem, jak zwykle w takich sytuacjach z opóźnieniem, pojąłem

perwersyjny sens tej zabawy i ujrzałem to, co tych dwoje musiało widywać od dawna, ujrzałem, jak sukienka Małgosi Snajperek sfruwa z jej ciała, ujrzałem, jak opuszcza ją bielizna i biżuteria, i wszystkie te tanie srebra, i nadto wiotkie części garderoby raz po raz trafiane bezlitośnie celnymi strzałami Arcymajstra Swaczyny spadały na ziemię i Małgosia stała goła, tak jak ją Pan stworzył, i ja z całych sił gapiłem się na nią, i ciało moje przebijały płynne błyskawice i zwodnicze przeświadczenie, iż ewangeliczki w przeciwieństwie do wiecznie opalonych katoliczek mają skórę białą jak papier kancelaryjny, na dobre utrwalało się w głębi mego roztrzepotanego serca.

– Spóźnię się do kościoła – powiedziałem bardzo słabym głosem.

– Natychmiast – Arcymajster Swaczyna w pośpiechu wdziewał marynarkę – natychmiast pana odwożę. Pani Małgorzato, zaraz wracam, odwiozę pana Jerzego i zaraz będę z powrotem. Do kościoła się nie wybieram, niestety.

Gdy wsiedliśmy do samochodu, uświadomiłem sobie, iż przez cały czas oczekiwałem jakiejś snajperskiej aluzji, iż mniej lub bardziej świadomie oczekiwałem, że Arcymajster Swaczyna porówna któryś ze swoich celnych strzałów z jakimś bardzo słynnym skrytobójczym strzałem, spodziewałem się, że być może wymieni w pewnej chwili nazwisko I sekretarza Władysława Gomułki, że w ogóle w jakikolwiek sposób da mi do zrozumienia, że wie. Ale Arcymajster Swaczyna majestatycznie zmieniał biegi, z fantastyczną nonszalancją wystawiał łokieć przez otwarte okno i leniwie objaśniał mi powody, dla których przestał chodzić do kościoła:

– Rzecz nie w tym, że straciłem wiarę, panie Jerzy, przeciwnie, ja zachowałem wiarę, co więcej, ja zachowałem moją dziecinną wiarę, dalej mi się wydaje, dalej jestem pewien, iż Pan Bóg, gromowładny starzec z siwą brodą, nie spuszcza ze mnie oka. Rzecz jasna utrzymuję bliskie kontakty z rządzącymi obecnie tym krajem ateistami, są to kontakty tak bliskie, iż ktoś może powiedzieć: Arcymajster Swaczyna wręcz należy do grona rządzących obecnie tym krajem ateistów. Ale wie pan, panie Jerzy, ateiści przeminą, a ja, Arcymajster Swaczyna, nie przeminę. Zaczną rządzić tym krajem fundamentaliści religijni i ja będę utrzymywał bliskie kontakty z fundamentalistami religijnymi. Przyjdą tu Czesi – wyciągnął dłoń w kierunku granicy biegnącej szczytami gór – będę robił interesy

z Czechami. Wrócą tu Niemcy, proszę bardzo. Ruscy, słysząc, że ich imperium zaczyna trzeszczeć niczym kra pękająca, Ruscy poczną spazmatycznie i przedśmiertnie umacniać swą władzę, nie widzę przeszkód, i z konającymi bolszewikami pójdziemy w alianse. Powiem panu, panie Jerzy, zdarzy się tak, że przyjdą tu Hotentoci i ja w ich wysokiej hotentockiej radzie plemiennej też będę zasiadał. Pan Bóg to widzi i Pan Bóg to rozumie. Pan Bóg powierzył człowiekowi świat widzialny po to, aby ten go kiełznał i handlował ze wszystkimi. Pan Bóg nie spuszcza ze mnie oka i Pan Bóg doskonale rozumie, dlaczego ja nie chodzę do naszego kościoła. Panu Bogu przecież, na miłość Boską, też nie może się podobać, że wyobrażony na naszym witrażu apostoł Paweł jest łudząco podobny do Włodzimierza Lenina. Zauważył pan to złowieszcze podobieństwo, panie Jerzy? Niech się pan przyjrzy dokładnie, choć skądinąd potrzeby dokładności nie ma tu żadnej, to się samo rzuca w oczy. Na witrażu, jak pan doskonale wie, wyobrażeni są patronowie naszego kościoła, apostołowie Piotr i Paweł. Jeśli idzie o apostoła Piotra, wszystko jest w jak największym porządku, przystojny, dojrzały mężczyzna o lewantyńskim typie urody, rybacka sieć na ramieniu, uniesiona prawa dłoń wskazuje uwikłanego w cierniach baranka, w porządku. Natomiast Paweł, mój ulubiony pisarz biblijny… Szata, w porządku. Pielgrzymia laska w garści, w porządku. Druga ręka uniesiona w kierunku krzyża, w porządku. Wszystko w porządku z wyjątkiem głowy. Bo postać apostoła Pawła zwieńczona jest, wypisz wymaluj, głową Włodzimierza Iljicza Lenina. I to jest, panie Jerzy, przykre. Pal sześć identyczną łysinę, w końcu wszyscy łysi są do siebie podobni. Ale tu jest ta sama fizjonomia, te same skośne azjatyckie oczy, te same kości policzkowe, tak samo przystrzyżona broda… Dajcie spokój… Wie pan, panie Jerzy, ja początkowo myślałem, że to coś znaczy…

Arcymajster zamilkł na chwilę, z martwą uwagą przyglądał się trzem niezwykle urodziwym letniczkom zbiegającym stromym brzegiem ku wodzie.

– Myślałem, że to coś znaczy, bo w ogóle był w moim życiu taki zgubny okres, kiedy wydawało mi się, że sztuka coś znaczy. Sporo czytałem swojego czasu, a i sztuki piękne mnie ciekawiły. Niezupełnie bezinteresownie, szczerze powiedziawszy. Wydawało mi się na przykład,

że kto wie, czy niepoczytalny rytm przypływu i odpływu pieniądza nie jest zapisany w dziełach artystycznych, w tych, jak mi się wydawało, natchnionych, wyprzedzających rzeczywistość pracach. Nawiasem mówiąc, w najwybitniejszych dziełach, na przykład w *Czarodziejskiej górze* albo w *Statku szaleńców* ten rytm, figura tego rytmu, owszem, jest odnotowana, ale mniejsza o to. Niemożliwe, żeby to był przypadek, myślę sobie, ta oczywista, w charakterystyczny sposób rozdęta czaszka wodza rewolucji na ewangelickim witrażu to nie może być przypadek. Zwłaszcza że artysta witrażysta, niechaj nazwisko jego na wieki zostanie zapomniane, tworzył swoje dzieło w latach trzydziestych. I żeby to był jakiś kretyn, Janko muzykant o wąskiej specjalizacji. Ale gdzie tam! To był człowiek o szerokich horyzontach i rozległych zainteresowaniach. Malował, rzeźbił, pisał. I ja, ciężki frajer, zaczynałem się zastanawiać, co ten człowiek przez swoją ryzykowną koncepcję estetyczną chciał wyrazić. Zacząłem badać sprawę. Wydawało mi się, na przykład, że ten azjatycko-leninowski łeb apostoła Pawła to może być jakaś aluzja do Lutra. No bo wie pan, panie Jerzy, niczego nie ujmując naszemu reformatorowi, to wyglądu chłop nie miał. Czytał pan *Czarodziejską górę*?

Przecząco pokręciłem głową.

– Niech pan przeczyta. To jest lektura, na którą nigdy nie jest ani za wcześnie, ani za późno. Jak pan przeczyta, to trafi pan na fragment, w którym pan Settembrini tak mówi do Hansa Castorpa, znam ten cytat na pamięć. Otóż Settembrini mówi tak: „Niech się pan przyjrzy Lutrowi! Niech się pan przyjrzy jego portretom młodzieńczym i późniejszym! Co to za czaszka, co za kości policzkowe, jak szczególnie osadzone oczy! Przyjacielu, to Azja!" Tak, panie Jerzy, niech się pan przyjrzy Lutrowi. Mocna rzecz, mocny fragment, zważywszy że Tomasz Mann był ewangelikiem, choć raczej należałoby powiedzieć, iż był, żył na świecie taki ewangelik, który był Tomaszem Mannem. Wątpię, żeby to było dobre dla ewangelizmu. W każdym razie poszedłem tym azjatyckim tropem, badałem, studiowałem, dociekałem, interpretowałem i wie pan, co się okazało? Okazało się, iż widniejący w naszym kościele wizerunek apostoła Pawła z głową Lenina to jest wynik przypadkowej, choć przez to nie mniej haniebnej niewiedzy! Trafiłem w końcu na pamiętnik tego, pożal się Boże, człowieka renesansu. Gość po prostu nie tylko nie wiedział, jak Lenin

wygląda! Gość w roku pańskim tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim w ogóle nie wiedział, że kilkaset kilometrów stąd miała miejsce rewolucja bolszewicka! Zielonego pojęcia o Bożym świecie, wyłącznie wysoka sztuka. Botticelli, Rubens i Rembrandt, Chopin, Schubert i Schumann. I bardzo dobrze. Ale ja uważam, panie Jerzy, że jak ktoś nie wie, jak wygląda Lenin, nie powinien się brać do malowania apostoła Pawła. Tak uważam.

– Ale jakim cudem on namalował, co prawda na niewłaściwym miejscu, a jednak namalował, głowę Lenina, jakim cudem to zrobił, skoro nigdy nie widział głowy Lenina? – Sam byłem zdumiony własną bystrością.

– A jakimś diabelskim cudem, proroczym splotem podświadomych okoliczności. Jak się nie chce malować Lenina, to trzeba wiedzieć, jak Lenin wygląda, bo może człowieka spotkać przykra niespodzianka. Tak jest, panie Jerzy. W każdym razie, to jest zasadniczy powód, dla którego przestałem chodzić do naszego kościoła. Wie pan, ja zbyt często bywam we wnętrzach ozdobionych portretami Iljicza, żebym jeszcze musiał w kościele doznawać tego rodzaju, powiedzmy sobie jasno, mieszanych uczuć. Kiedy ze dwa, trzy razy do roku odczuwam nieprzepartą potrzebę nawiedzenia domu Bożego, jadę do Ustronia i *fertig*. A poza tym, rzecz jasna, zraziłem się do sztuki. Więcej powiem, ja sztuką gardzę. Wiem, że brzmi to zgoła barbarzyńsko, ale doszedłem do wniosku, że faceci, którzy nie znają aktualnych cen podstawowych artykułów konsumpcyjnych oraz aktualnego kursu dolara, niczego mi nie są w stanie powiedzieć o świecie ani w swojej liryce, ani w swojej plastyce, ani w swojej muzyce. Być może przemawia przez nich pozaziemski duch, ale oni przez swoje ziemskie lenistwo nie są przygotowani, by w pełni zrozumieć język tego ducha. Powtarzam, zdaję sobie sprawę, że to jest niesprawiedliwe, ale ja, Arcymajster Swaczyna, tego się trzymam. Trzy razy do roku jadę do kościoła w Ustroniu i raz do roku czytam *Czarodziejską górę* i ta strawa starcza duchowi mojemu. Amen. Amen, panie Jerzy. Niech pan biegnie, nabożeństwo zaraz się zacznie. Niech pan biegnie, niech się pan modli, niech pan chwali Pana śpiewaniem psalmów i niech pan za często nie zerka w kierunku witraża.

Już wysiadałem z samochodu, już ogarniała mnie misyjna muzyka, śpiewały chórzystki, dzwoniły wittenberskie dzwony, nadchodzili

zborownicy, już miałem przekroczyć chłodny cień wysokich ścian kościoła, gdy Arcymajster Swaczyna wychylił się z auta i raz jeszcze mnie zawołał:

– Panie Jerzy, najmocniej pana przepraszam, ale nieomal całkiem zapomniałem o arcypilnej sprawie. Proszę łaskawie przekazać ojcu, panu Naczelnikowi, iż przedmiot, o którym rozmawialiśmy, ojciec będzie wiedział, o co chodzi, pan zresztą też, proszę przekazać ojcu, iż poleciłem wykonanie prototypu w jednym z moich warsztatów.

Arcymajster przyjrzał mi się uważnie, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i dodał ze śmiertelną powagą:

– Niechże się pan nie turbuje, panie Jerzy. Pan będzie świetnie wyglądał z kuszą na ramieniu.

***

Nie śpiewałem psalmów, nie słuchałem kazania, ani razu nie spojrzałem w kierunku frontowej ściany, którą prawie w całości wypełniały wodniste barwy witraża, siedziałem ze spuszczoną głową, modliłem się i definitywnie odganiałem chimerę zdrady. Arcymajster Swaczyna mimochodem, a może całkiem nie mimochodem, powiedział rzecz rozstrzygającą: bezceremonialnie nazwał niejasno kiełkującą we mnie nadzieję, iż być może istotnie, krocząc po ulicach Warszawy z kuszą na ramieniu, będę przyciągał uwagę kobiet.

– Kobiet, mężczyzn, dzieci i starców. Wszystkich – przekonywał pan Trąba i o ile po raz pierwszy w naszej zaciemnionej kuchni słuchałem jego argumentacji z narastającą złością i coraz mocniejszą wolą zdrady, o tyle teraz słowo po słowie przepowiadałem sobie te same argumenty w duchu łagodności i zrozumienia. Już wtedy byłem niesłychanie łasy na własną powabność.

„Drzewo jedno znam zielone, śliczna to oliwa, Tam słowiczek ulubione Pieśni słodko śpiewa” – śpiewały chórzystki, lekko uniosłem głowę, gapiłem się na nie równie bezwstydnie jak przed paroma chwilami na Małgosię Snajperek, druga od lewej była powabna niczym Chananejka. „Lub z niewiastą chananejską w pierwsze pomknę brzaski, Przez krainę

galilejską szukać nieba łaski" – śpiewałem razem z nią i razem z piątą od lewej, kuszącą Samarytanką, i razem ze stojącą w środku kruczowłosą Filistynką i korzyłem się przed Bogiem gromowładnym, starcem z siwą brodą, i słowa pieśni mieszały mi się w głowie ze słowami pana Trąby. „Lub z Samarytanką ową pójdę ja w południe, Gdzie nad studnią Jakubową słowik nuci cudnie". Pójdę ja w południe, by Gomułkę zabić cudnie – zażartowałem i zanuciłem w duchu, i widmo zdrady pierzchło definitywnie, i pojąłem przy okazji, iż uzgodnienie rymu i prawdy w poezji nie jest rzeczą łatwą, śmiercionośny grot miał wszakże przebić serce I sekretarza nie w południe, a wieczorem.

Przez cały dzień wedle planu pana Trąby mieliśmy śmiało krążyć po ulicach, zwiedzać stolicę, mieliśmy otwarcie wspiąć się na najwyższe piętro Pałacu Kultury, pójść na Starówkę i pojechać na stadion Dziesięciolecia, mieliśmy poruszać się z ostentacyjną jawnością i absolutną swobodą, mieliśmy tak postępować, ponieważ – zakładał pan Trąba – i tak nikt nas nie zapamięta, ponieważ i tak nikt na nas nie spojrzy, ponieważ i tak wszyscy będą przypatrywać się mnie, Jerzykowi, a nawet nie tyle mnie – Jerzykowi, co mojej osobliwej zabawce, kuszy, przytroczonej do ramienia. A nawet jeśliby kto i na mnie spojrzał, to przecież za nic mnie nazajutrz nie pozna, ponieważ będę wyraziście i nie do poznania ucharakteryzowany. Oblicze moje pokryją jadowite barwy wojenne, na głowie miał będę bujny pióropusz, na sobie obszerny, zmieniający sylwetkę i zarazem przyciągający wzrok krzykliwymi kolorami kaftan.

– Panowie, nie ma siły! – zachłystywał się pan Trąba – w tym planie nie ma żadnej luki, żadnej szczeliny. To nie jest żadna ekstrawagancja fabularna, to jest klarowny racjonalizm i ścisłe stosowanie do wymogów okoliczności. Musimy jechać do Warszawy nocnym pociągiem, który stąd wyjeżdża o dwudziestej drugiej siedemnaście, a planowany przyjazd ma około siódmej rano. Musimy, tak czy nie?

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, iż to apodyktyczne i nieznoszące sprzeciwu „tak czy nie" pana Trąby podszyte było rozpaczliwą niepewnością.

– Żadne inne dookólne jazdy z przesiadkami nie wchodzą w grę, ponieważ podróż taka trwałaby parę dni, a może nawet tydzień. Tak czy nie? By uniknąć kłopotów z panem zawiadowcą Ujejskim przebijemy się do

ambulansu pocztowego i pojedziemy w towarzystwie jeszcze nie tak dawno podległych panu, panie Naczelniku służbowo, obecnie zaś zaprzyjaźnionych z panem konwojentów. Tak czy nie? Tak.

Takie były założenia określające czas i warunki naszej wyprawy do stolicy. Z założeń tych niezbicie wynikały – zdaniem pana Trąby – następujące konkluzje. Gdyby nawet nasz pociąg dotarł do warszawskiego Dworca Głównego punktualnie, i tak byłaby to pora, w której towarzysz Gomułka na tylnym siedzeniu czarnej wołgi, w towarzystwie osobistego sekretarza Józefa Tejchmy i w asyście eskorty uzbrojonych po zęby milicjantów na motocyklach udawał się będzie ulicami: Prusa, Konopnickiej, Wiejską i Nowym Światem w kierunku gmachu Komitetu Centralnego. Nawet gdybyśmy podjęli absurdalny i samobójczy pomysł zaatakowania tego zbrojnego orszaku – zwyczajnie nie zdążymy. Rzecz jasna, na sam Komitet Centralny również nikt przy zdrowych zmysłach nie natrze. *Ergo*: musimy dzień cały spędzić w Warszawie. Teoretycznie można by ukryć się w mieszkaniu jednego – jak zapewniał pan Trąba – z jego licznych warszawskich znajomych, ukryć się i przeczekać kilkanaście godzin, ale z psychologicznego punktu widzenia byłby to błąd kardynalny. Pan Trąba powoływał się na podobno ściśle przezeń przestudiowane mnogie świadectwa i pamiętniki starych terrorystów, miało z nich niezbicie wynikać, iż najgorszą i najbardziej zgubną dla zamachowców rzeczą było bezczynne oczekiwanie na godzinę „zero". Jeśli trwało to zbyt długo, ulegali demoralizacji i dekoncentracji, wysiadały im nerwy. Pan Trąba dawał też dookólnie, choć wystarczająco jasno do zrozumienia, iż w jego wypadku nieznośna pustka kilkunastu godzin oczekiwania wypełniona i skrócona zostać może w niechciany, choć typowy dla niego sposób.

– Nie możemy ryzykować jakiejkolwiek niesprawności, i tak w całym naszym przedsięwzięciu jest zbyt wiele elementów chałupniczych i nie będziemy też powtarzać historycznych błędów starych zamachowców. Ostatnie godziny przed zabiciem Gomułki spędzimy na zwiedzaniu miasta – po wielekroć podkreślał pan Trąba i ja, Jerzyk, teraz zasłuchany w słowa i melodię starych luterskich psalmów nie tylko się z nim zgadzałem, ale i podziwiałem jego niepodważalną logikę.

„Było to, gdym raz po lesie błądził nieszczęśliwy. Naraz słyszę głos się niesie z gąszcza tej oliwy. Gdy w jej cieniu odpoczywałem I śpiew w sercu badać jąłem, Wstałem pokrzepiony" – śpiewał chór Chananejek, Samarytanek i Filistynek, i istotnie w prostocie swojej pokrzepiony wypełniającą mnie zgodą na wszystko, jeszcze wyżej uniosłem głowę i ponad boskimi fryzurami chórzystek spoglądałem na wypełniony falującym światłem witraż, na wyłaniające się z eksplodującego blasku postacie apostołów, i nie było we mnie ani żalu, ani niesmaku, ani rozczarowania, moja transakcja z Arcymajstrem Swaczyną była w końcu transakcją duchową i ja, Jerzyk, dobrze w dodatku znałem zasady tej transakcji, dobrze przecież i od dawna wiedziałem, że ani w wyobrażonej na szkle postaci, ani w kształcie głowy, ani w wizerunku oblicza apostoła Pawła nie ma nawet cienia podobieństwa do Włodzimierza Iljicza Lenina.

6

Elżunia Baptystka potrafiła odpowiedzieć na każde pytanie, wiedziała, ile krzyży jest w naszym kościele i czym ozdobione jest zwieńczenie ambony, wiedziała, jaki był pierwszy cud uczyniony przez Pana Jezusa i kiedy miało miejsce zesłanie Ducha Świętego, umiała nawet podać ścisłą liczbę wszystkich ksiąg biblijnych i datę ordynacji księdza pastora Potraffke. Odziana w białe pończochy i wełnianą zieloną sukienkę, Elżunia rok w rok wygrywała kościelne zgaduj-zgadule, śmiało wstępowała na podium i rezolutnie odpowiadała na pytania prezbiterów, pani Pastorowa całowała ją w oba policzki i wręczała budującą literaturę. Nienawidziłem Elżuni Baptystki i pożądałem pani Pastorowej.

Była moja kolej, na drżących nogach kroczyłem przez wysoką październikową trawę, wstępowałem na zbite z sosnowych desek podium, wdychałem zapach jaśniejącego drewna, spoglądałem na siedzących na dole biesiadników, na ogromny kamień, przy którym w czasach prześladowań gromadzili się starzy ewangelicy, spoglądałem na otaczający polanę bukowy las i czułem na podniebieniu wodnisty smak klęski. Pan Kurator Folwarczny figlarnie spoglądał na panią Pastorową, potem z rzekomym namysłem zatrzymywał wzrok na mnie i mówił:

– A teraz pytanie z zakresu życia naszej parafii. Proszę podać fason i kolor ulubionego kapelusza pani Pastorowej!

Rzecz jasna, doskonale wiedziałem, że ulubionym kapeluszem pani Pastorowej jest czerwono-czarny toczek z pomponem z boku, w ogóle na wylot znałem garderobę pani Pastorowej, wiedziałem, jakie są jej ulubione spódnice, sukienki i bluzki, wiedziałem, jak się ubiera o każdej porze dnia i roku, wiedziałem nawet, ile ma par czółenek na płaskim obcasie, wiedziałem wszystko, lecz, rzecz jasna, milczałem. Nie miałem wtedy jeszcze zielonego pojęcia, jak należy postępować w obecności kobiet, których się pożąda, ale ślepy i równie mocny jak moja pożądliwość instynkt podpowiadał mi, iż na wszelki wypadek nie należy w obecności kobiet,

których się pożąda, rozmawiać o ich garderobie. Milczałem, pani Pastorowa patrzyła na mnie z ostentacyjnym chłodem i obojętnością, jej wzrok przechodził przeze mnie, jakby mnie nie było. Nagle zrozumiałem, że jej spojrzenie jest zbyt chłodne i zbyt obojętne, że patrzy na mnie, jakby mnie nie było, ponieważ jestem… Chryste Panie, ona mnie kocha, doznałem raptownego olśnienia i wszystkie elementy przypadkowych spojrzeń, spotkań, i z pozoru nic nieznaczących słów w okamgnieniu ułożyły się w całkowitą zupełność. Pani Pastorowa jest we mnie śmiertelnie i nieszczęśliwie zakochana – powoli i z namysłem przepowiedziałem sobie w duchu to równie uskrzydlające jak wódka zdanie i istotnie uskrzydlony poczułem, iż mogę odpowiadać. I co więcej, wyczerpująco i kwieciście odpowiem na każde pytanie.

Nie miałem zielonego pojęcia, jak należy postępować w obecności śmiertelnie zakochanej kobiety i uległem na wskroś męskiemu złudzeniu, iż w obecności śmiertelnie zakochanej kobiety można sobie pozwolić na wszystko.

– W takim razie – pan Kurator znów figlarnie spoglądał na panią Pastorową i znów z rzekomym namysłem zatrzymywał wzrok na mnie – w takim razie kolejne pytanie z tej samej dziedziny. Trudniejsze. Gdy pani Pastorowa dyryguje naszym chórem, to jaki charakterystyczny, choć niezwiązany z dyrygowaniem gest wykonuje, zwłaszcza na próbach?

Spojrzałem na nią, bezlitośnie szukałem jej panicznie uciekającego spojrzenia i mówiłem powoli, sycąc się własną wszechwiedzą:

– Pani Pastorowa, zanim zacznie dyrygować, choć niekiedy sporadycznie zdarza się jej to i po wykonaniu przez chór pierwszej pieśni, zdejmuje z lewej dłoni trzy srebrne bransoletki i kładzie je na stojącym przy pulpicie dyrygenckim stoliku. Kładzie je zawsze w ten sposób, iż przecinające się okręgi bransoletek dzielą płaszczyznę stolika na osiem rozłącznych obszarów. Po zakończonej próbie pani Pastorowa z powrotem wkłada bransoletki, przy czym zawsze czyni to w odwrotnej kolejności w stosunku do ich zdejmowania, to znaczy naprzód wkłada bransoletkę leżącą na samym spodzie, tę z małym rubinem przy zapięciu, następnie tę z czarnym azteckim wzorem, na końcu zaś łańcuszek…

Zapadła chwila oniemiałej ciszy, zamilkły ptaki, zamarła przyroda, cień prostej myśli, że może jednak trochę przesadziłem, nawet nie przemknął

przez mój ograniczony umysł prymusa, syciłem się moją niechybnie piątkową odpowiedzią, syciłem się też tym, iż tylko ja, jej mądry ukochany, widzę niedostrzegalny rumieniec z wolna pokrywający smagłe policzki, karnacja pani Pastorowej nie była biała jak papier kancelaryjny, była śniada jak Róża Syjońska, jak ramiona oblubienicy króla Salomona. Pani Pastorowa była smagła niczym żona brazylijskiego piłkarza. Buchnęły burzliwe oklaski, cietrzew na skraju lasu poderwał się do furkotliwego biegu, klaskali wszyscy siedzący za uczynionym z takich samych jak podium sosnowych desek stołem. Ojciec, matka i pan Trąba klaskali wprawdzie z osobliwym umiarkowaniem, ale pozostali, z wyjątkiem księdza pastora Potraffke, który nie wiem, jak klaskał, bo przecież nie śmiałem nań spojrzeć, pozostali, Arcymajster Swaczyna, Małgosia Snajperek, kościelny Messerschmidt, pani Rychterowa, komendant Jeremiasz i nawet Elżunia Baptystka, i wszyscy konfirmanci siedzący niżej, przy osobnym stole, wszyscy klaskali jak należy.

Usiadłem pomiędzy nimi, położyłem przed sobą budującą literaturę i wypiłem łyk zielonej jak Orinoko lemoniady.

– Bracia i siostry – powiedział ksiądz pastor Potraffke – wróćmy do przedmiotu naszej dysputy.

– Jakiego? – zapytał pan Trąba. – Zabijania Gomułki?

– Zabijania tyranów w ogólności – odparł z niecierpliwością w głosie ksiądz pastor Potraffke. – Jeśli idzie o zabijanie Gomułki, to po co go w gruncie rzeczy zabijać, skoro komunizm prędzej czy później tak i tak upadnie?

– Jeśli towarzysze zabijecie towarzysza pierwszego sekretarza, system upadnie później, a może nie upadnie wcale – głos komendanta Jeremiasza grzmiał kruczo i studziennie – towarzysze, chcecie przyśpieszyć historię, a swoim nieodpowiedzialnym wybrykiem, w którego realizację, nawiasem mówiąc, nie wierzę i tylko dlatego biorę udział w tej akademickiej dyskusji, swoim nieodpowiedzialnym wybrykiem opóźnicie historię. To jest niezgodne z duchem rewolucji.

– Nie mam zamiaru ani przyśpieszać, ani opóźniać historii – pan Trąba jakby zawczasu wiedziony skromnością, która winna cechować Głównego Egzekutora, mówił najciszej ze wszystkich – nie mam zamiaru ani opóźniać, ani przyśpieszać. Mam zamiar nadać jej definitywny charakter.

A raczej uświadomić społeczeństwu nieuchronność dziejów. Być może pozbawieni przywódcy komuniści nie pójdą w rozsypkę, ale zewrą szeregi i w efekcie potrwa to trochę dłużej, lecz nieuchronność końca będzie widniejsza.

– Mnie się osobiście wydaje – rozległ się spikerski głos Arcymajstra Swaczyny – mnie się osobiście wydaje, że rola sprzątania łotrów to nie jest rola dla poważnego człowieka, który ma co innego, poważniejszego, do roboty na świecie. To trzeba zostawić sfrustrowanym studentom bez grosza przy duszy, niech sobie rzucają bomby pod nogi tyranów.

– Wszyscy jesteśmy ewangelikami – powiedział pan Kurator Folwarczny – a ewangelicy powinni świecić przykładem.

– Jestem – pan Trąba wolno cedził słowo po słowie – jestem, w pewnym sensie, sfrustrowanym studentem bez grosza przy duszy i nie mam nic poważniejszego do roboty na świecie. Jestem także ewangelikiem i pragnę świecić przykładem.

Kościelny Messerschmidt od dobrej chwili wiercił się niespokojnie.

– Sprawy sprawami – powiedział z irytacją – sprawy sprawami, ale pora by było zacząć drugą część bankietu. Zimno się robi.

Arcymajster Swaczyna nadzwyczaj uprzejmie skłonił się w jego kierunku i powiedział uspokajająco:

– Chwila cierpliwości, chwila cierpliwości. Złożyłem stosowne zamówienie i niechybnie lada moment zostanie ono zrealizowane.

– Ewangelicy nigdy nie brali udziału w skrytobójczych zamachach – pani Pastorowa zeszła z podium i usiadła na końcu stołu, jak najdalej ode mnie.

– Ewangelicy w ogóle w niczym nie brali udziału – mruknął posępnie ojciec. – Niebranie udziału to jest główna cecha ewangelików, zwłaszcza w Polsce.

– Tysiąc razy mówiłem – wtrącił jeszcze ciszej i z jeszcze większą wyrozumiałością pan Trąba – tysiąc razy mówiłem, że jak kogoś nie ma w ogóle, trudno, żeby brał udział w czymkolwiek.

– Ale w zabijaniu Gomułki macie zamiar, towarzyszu, wziąć udział, i to aktywny – krzyknął triumfalnie komendant Jeremiasz.

– Aktywny i definitywny. Jako ewangelik, którego nie ma, mogę śmiało zabić, ponieważ sprawstwo pozostanie po stronie nicości. Jeśli, jak

powiadają niektórzy, Polska jest krajem katolickim, to proszę bardzo, jasno z tego wynika, iż jeśli w kraju katolickim zbrodni majestatu dopuści się niekatolik, czyli nikt albo obcy, dobre imię naszej świętej ojczyzny, matki świętej wszystkich ojczyzn, której obce są tradycje królobójcze, pozostanie nienaruszone, a zarazem zyska ona miano tej, która jako pierwsza z uciemiężonych podniosła rękę na uzurpatora. Panowie nie doceniają przepastnej dialektyki mego patriotyzmu.

– Znowu katolicy wszystkiemu winni – politowanie w głosie pana zawiadowcy Ujejskiego walczyło o lepsze z ledwo powściąganą furią – znowu katolicy wszystkiemu winni. Jak słowo daję, ile razy przyjmę wasze heretyckie zaproszenie na rzekomo ekumeniczną papojkę, tyle razy się dowiaduję, że wszystkiemu winni są katolicy i jako marny, bo marny, a jednak katolik wychodzę na wała. To jest nie do pomyślenia, żeby w katolickim kraju garsteczka braci odłączonych robiła jakiegokolwiek katolika, nawet mnie, w konia. My niewinni, wyście winni. Było nie robić schizmy.

– Panie Ujejski – podniósł głos kościelny Messerschmidt – było nie doprowadzać w wiekach średnich do kryzysu papiestwa. Było nie handlować odpustami.

– Jeśli pan faktycznie uważa – odparł zimno zawiadowca – jeśli pan faktycznie uważa, iż ja, Tomasz Ujejski, syn Tomasza, doprowadziłem w piętnastym wieku do kryzysu papiestwa oraz sprzedawałem odpusty, to pan, panie Messerschmidt, reformując Kościół chrześcijański miał rację.

– Pewnie, że miałem rację – krzyknął kościelny.

– Pan ma zawsze rację, bo pańska racja, bo w ogóle wasza kacerska racja jest z definicji wyższa od sensu – zawiadowca machnął ręką.

– Wszystko przez niewłaściwe odżywianie i brak optymizmu – ton pani Rychterowej zdawał się zapowiadać obszerny wykład na temat zdrowej żywności i pozytywnego nastawienia do świata, ale kościelny Messerschmidt, najwyraźniej podległy huśtawce zmiennych nastrojów, z nieoczekiwanym entuzjazmem wszedł jej w słowo:

– Bardzo dobrze powiedziane. Spożyłbym coś zdrowego, co przyprawiłoby mnie o optymizm. Sprawy sprawami, a optymizm optymizmem.

– Bracia i siostry – powiedział pastor Potraffke i uniósł w górę ramiona.

W głębi lasu rozległ się samochodowy klakson, Arcymajster Swaczyna spojrzał na zegarek, twarz kościelnego Messerschmidta rozjaśnił błogi uśmiech, grymas bolesnego skurczu przemknął przez oblicze pana Trąby, wojskowy willis pojawił się u wylotu leśnej drogi i kołysząc na wykrotach wolno podjechał ku środkowi polany.

– Pozwalam sobie zaproponować skromny poczęstunek – powiedział Arcymajster Swaczyna. Wstał z miejsca i ruszył w kierunku samochodu, zatrzymał się na moment i zwracając w stronę pana zawiadowcy Ujejskiego dodał: – Skromny ekumeniczny poczęstunek.

***

Potem już nigdy tak nie było. Białe planety zaczęły sunąć po ciemniejącym nieboskłonie, gwiazdy spadały tuż za naszymi plecami, misyjni muzykanci wstąpili na podium i zaczęli grać stare austriackie marsze i walce. Kelnerzy w białych kurtkach ze złotymi guzikami nieśli na srebrnych tacach pęta kiełbasy myśliwskiej, stawiali przed nami butelki żywca, pilznera i czystej wódki, musztardę w wielkich słojach i domowy chleb na wiklinowych tacach, cztery ogniska zapłonęły po czterech stronach świata, światło płynęło przez kufle i przedwojenne kieliszki z masywnego szkła, pani Pastorowa udała, że mnie nie widzi, Elżunia Baptystka nie spuszczała ze mnie oka.

– Elżuniu – powiedziałem do niej – nie kocham cię.

– Ach, miłość! – odparła Elżunia. – To się raczej nie zdarza.

– Mnie się zdarzyło.

– Blondynka? Mężatka, która wynajmowała pokój u pani Rychterowej na czwartym piętrze? Małym chłopcom często się wydaje, że kochają dorosłe kobiety, ale nawet jeśli to jest pierwsza miłość, zazwyczaj nie jest to prawdziwa miłość.

– To jest prawdziwa miłość. Kiedy dorosnę, ożenię się z nią.

– Jerzyku, ona musiałaby się wpierw dla ciebie rozejść z mężem.

– Zrobi to – powiedziałem z absolutnie uroczą pewnością.

Elżunia zachichotała, ale prawie natychmiast jej lekko asymetryczne, zapowiadające niesłychaną urodę rysy poszły w rozsypkę, nie wiedziałem jeszcze wtedy, że rozmawianie z kobietą, której się nie kocha, o innej kobiecie, którą się kocha, to jest śmiertelny występek, ale wyraz twarzy Elżuni Baptystki zapamiętałem na zawsze. Nie był to wyraz ani rozpaczy, ani bólu, ani nawet niesmaku, był to wyraz z wolna przezwyciężanej bezbronności, była to mina bezradnej kobiety, która stara się dojść do ładu z męską bezmyślnością, ponieważ i tak nie ma wyjścia. Elżunia Baptystka poradziła sobie z moją bezmyślnością i powiedziała:

– Zanim ona się dla ciebie rozejdzie z mężem, zanim dorośniesz, odwiedź ją przynajmniej. Kiedy z twoim ojcem i panem Trąbą pojedziecie w listopadzie do Warszawy zabić Gomułkę, wpadnij do niej przy okazji.

Spojrzała mi w oczy i dodała:

– Jesteś bardzo kochliwy, Jerzyku. Dorośnij jak najprędzej, ponieważ kochliwość w połączeniu z analfabetyzmem erotycznym to fatalne połączenie.

Byłem pewien, że zaraz powie coś o pani Pastorowej, byłem tego tak niezbicie pewien, iż zawczasu gorączkowo obmyślałem bezwzględną i brutalną odpowiedź, która sprawiłaby jej dojmujący ból, ale Elżunia wskazała dłonią ku skrajowi polany i powiedziała:

– Oto one, Jerzyku. Wróciły, ponieważ nie mogą żyć bez ciebie.

Jak mawiali starzy narratorzy, przecierałem oczy ze zdumienia. Na skraju lasu, na brzegu polany, na granicy pomiędzy blaskiem a ciemnością stały morfinistki. Rozjaśniły i zapuściły włosy, nie dźwigały babilońskiej kołdry, na ramionach miały narzucone obszerne męskie kurtki z pikowanego ortalionu, były więc, zwłaszcza dla mojego niewprawnego oka, zmienione nie do poznania, ale przecież to były one.

– Tak, to one – zdawała się rozwiewać cienie mych wątpliwości Elżunia Baptystka – to one, morfinistki, czyli Anka i Danka. Oczywiście nie są żadnymi morfinistkami. Są studentkami psychologii i niebawem zabiorą się do pisania prac magisterskich. Jedna będzie pisać o psychologii kobiety czekającej na mężczyznę, a druga o psychologii mężczyzny czekającego na kobietę. Biegnij do nich czym prędzej, słodki kochasiu.

Miałem nieprzepartą ochotę, ale pozazmysłowo czułem, iż jeśli ruszę ekstatycznym pędem, do szczętu zbłaźnię się przed Elżunią, miałem tym większą ochotę na szaleńczy, powitalny bieg, gdyż wszyscy już je dostrzegli i wszyscy (ściśle rzecz biorąc, wszyscy mężczyźni) już biegli w ich kierunku. Nawet ojciec, nawet ojciec chyżo biegł przez wysoką granatową trawę. A jeśli nie biegł, to szedł bardzo prędkim krokiem. Matka, pani Pastorowa i Małgosia Snajperek wstały z miejsc i z posępnymi minami przypatrywały się powitalnym owacjom, ja zaś wziąłem Elżunię za rękę i niejasno przeczuwając, iż zajmowanie ostatniego miejsca w popularnej grze pozorów nie jest złą rzeczą – powiedziałem:

– Chodź, Elżuniu, pójdziemy się przywitać.

Ona spojrzała na mnie z nagła rozjaśnionym wzrokiem i szepnęła:

– W każdym razie uczysz się szybko. To jest pocieszające.

Obejmowaliśmy je, klękaliśmy przed nimi, ściskaliśmy ich boskie dłonie, były piękne, w ich wysmaganych luterskimi wiatrami i wyszczuplałych twarzach nie było już śladu dawnych defektów, były piękne, ale osobliwie speszone, raz po raz oglądały się za siebie, coś szeptały, wymieniały porozumiewawcze spojrzenia, zachowywały się tak, jakby na coś albo na kogoś czekały i istotnie, gdy po krótkiej chwili (tak krótkiej, iż z chaosu powitań nie zdążyła się nawet wyłonić jakakolwiek forma ich dalszej bytności) w niedalekich gęstwinach rozległ się chóralny męski śpiew, uśmiechnęły się z wyraźną ulgą.

– To nasi narzeczeni – powiedziała jedna.

– Nasi czescy narzeczeni nadchodzą i śpiewają – dodała druga.

Śpiew stawał się coraz głośniejszy, słowa pieśni coraz wyraźniejsze: *Wczora sem byl u muzyki, u muzyki cely deń* – śpiewali niewidzialni czescy narzeczeni morfinistek, gdy zaś stali się widzialni, nikogo z nas nie zdziwiło, iż jest ich pięciu, pięciu dorodnych niczym czescy hokeiści chórzystów wyszło na polanę i śpiewało: *Panenko modrooka, Ne melem, ne melem sebrala nam woda młyn*; potem śpiewali *Do koleczka, do kola* i *Slawoniczką polkę*, śpiewali pięknie i donośnie na pięć pięknych i donośnych głosów i ani na chwilę nie przerywali śpiewu, nie czynili przerw pomiędzy starymi czeskimi piosenkami, śpiewali *Szkoda laski*

i *Snubni prstynek*, i *Hosziczku zradny*, zapraszaliśmy ich do stołu. Arcymajster Swaczyna wygłaszał naznaczoną serdecznym internacjonalizmem mowę powitalną i odziani w ciemnozielone dresy natchnieni śpiewacy szli przez łąkę i śpiewali: *Andulko szafarzowa, husliczki ne masz doma* i *Karliczku mój*, i siadali za stołem, i śpiewali *Ne budemy wstawat rano wczes* i *Dawno preszla doba*, i potem śpiewali cały czas aż do mglistego, jesiennego świtu *Kde se piwo warzi, tam se dobrze darzi, gde se piwo pije, tam se dobrze żije, pójmy tam a pijmy*, i nasze niekończące się dialogi o zabijaniu przez całą tę znojną i świętą noc toczyły się przy skocznym akompaniamencie ich śpiewu: *Posadil sem konwalijku, wyrosla mi lilije*.

***

Ksiądz pastor Potraffke uniósł w górę ramiona i powiedział, a raczej, przekrzykując śpiewających i głuchych na wszystko poza własnym śpiewem Czechów, zawołał:

– Jak było, tak było, ale zawsze jakoś było, natomiast u nas, ewangelików, kiedyś tak było, że nie było ani tak, ani tak. Ściśle rzecz biorąc, u nas często tak bywa, że nie bywa ani tak, ani tak. Z jednej strony w dwunastym rozdziale Listu apostoła Pawła do Rzymian jest tycząca się nas wykładnia absolutnego posłuszeństwa obywatelskiego względem władzy zwierzchniej; z drugiej strony nieprawdą jest, jakoby protestanci nie brali udziału w skrytobójczych zamachach…

– Apostoł Paweł pisze o zwierzchności pochodzącej od Boga. Jeśli zwierzchność Gomułki pochodzi od Boga, to obawiam się, że stracę wiarę – powiedział cierpko kościelny Messerschmidt.

– Po pierwsze apostoł mówi, że wszelka zwierzchność pochodzi od Boga – ksiądz pastor Potraffke przerwał i gestem dłoni uciszył wszystkich gotowych do natychmiastowych ripost polemistów. – Zgadzam się. Zgadzam się, że zapewne idzie tu o prawdziwą zwierzchność i że fałszywa uzurpatorska zwierzchność braci komunistów nie pochodzi od Boga. Ale piąte przykazanie, bracia i siostry, pochodzi od Boga i nie ma odeń wyjątków.

– U was może nie ma wyjątków, u nas są. Na tym polega nasza wyższość nad wami. Kościół katolicki to jest Kościół elastycznych intelektualistów,

a Kościół luterski to jest Kościół dogmatycznych doktrynerów – pan zawiadowca Ujejski uśmiechnął się jadowicie.

– Ludzie, trzymajcie mnie, bo mu przypomnę drugą wojnę szmalklandzką – zawołał kościelny Messerschmidt.

– Komu brakuje argumentów, ten się rwie do bitki – powiedział już wibrującym wściekłością, choć jeszcze w miarę spokojnym głosem pan zawiadowca Ujejski, po chwili jednak furia całkowicie wzięła go w swoje posiadanie, wychylił się w kierunku kościelnego i jął nienawistnie syczeć:

– Niczego cię nie nauczyła bitwa pod Białą Górą, niczego cię nie nauczyła! Noc świętego Bartłomieja niczego cię nie nauczyła…

– Bracia, uciszcie się! – zawołał ksiądz pastor Potraffke. – Niechaj duch pokoju zapanuje pomiędzy wami!

I po chwili, jakby chcąc wesprzeć ducha pokoju duchem rzeczowości, zwrócił się do zawiadowcy Ujejskiego:

– O jakie wyjątki panu idzie? Jakie mogą być wyjątki od piątego przykazania?

– Na pytanie, czy można dyspensować od przykazań dekalogu, Tomasz z Akwinu odpowiada twierdząco: można dyspensować – odparł już spokojniejszym tonem pan zawiadowca Ujejski. – Przykazania należą bowiem do prawa naturalnego, prawo naturalne zaś bywa zawodne, a więc można dyspensować.

– Przykazania są ustanowione przez Boga, więc chyba tylko Bóg mógłby od nich dyspensować – pani Pastorowa wzruszyła ramionami.

– Bóg pracuje rękami ludzi – pan zawiadowca Ujejski najwyraźniej z fazy pobudzenia wchodził w fazę apatii.

– Czy Tomasz z Akwinu mówi wprost o dyspensowaniu od zakazu zabijania? – zapytał Arcymajster Swaczyna.

– Tak, mówi wprost – pan zawiadowca Ujejski ledwo ruszał ustami. – Powiada on, że i od zakazu zabijania ludzie się dyspensują, gdyż według prawa ludzkiego dozwolone jest zabijanie ludzi, na przykład złoczyńców lub wrogów.

– Jeśli o mnie chodzi, święta racja – wtrącił komendant Jeremiasz. – Jeśli o mnie chodzi, jestem za karą śmierci. Dla niejednego łotra będzie lepiej, jak się go zawczasu zakopie.

– Mógłbym powiedzieć – pan Trąba uśmiechnął się z pewnym przymusem – mógłbym powiedzieć, iż wszystkie wymienione argumenty są dobre dla moich przedśmiertnych zamiarów. Dobre jest dla mnie dyspensowanie od piątego przykazania, dobre jest dla mnie przyzwolenie na zabijanie wroga i złoczyńcy, dobre jest dla mnie istnienie kary głównej. Nawiasem mówiąc, jeśli idzie o średniowieczny pogląd o zasadności tyranobójstwa, do pana mówię, panie zawiadowco, ale pan śpisz – istotnie oczy pana zawiadowcy były zamknięte, a głowa jego opadała – jeśli idzie o średniowieczny pogląd o zasadności tyranobójstwa, to został on częściowo uchylony przez sobór w Konstancji. Ale rzecz jasna nas, lutrów, może lepiej, że pan śpisz, panie zawiadowco, nas lutrów nie obchodzi ani Akwinata, ani zatopiony w ciemnościach historii sobór. Nas, lutrów, obchodzi Luter. A Luter, choć nie dopuszcza zasadności tyranobójstwa, dopuszcza zasadność kary. Bądźcie miłosiernymi jako i Ojciec wasz w niebiesiech miłosiernym jest, przytacza Pismo, ale z tego nie wynika, dodaje on, jakoby karania w ogóle być nie miało. Karanie powinno być i karać winni przełożeni. Gdyby pokrzywdzenia nie miały ustawać, donieś o tym, powiada Luter, przełożonemu swemu, ojcu lub ktokolwiek nad tobą postanowiony jest do urzędu, ich to należy karać według sprawiedliwości. Tak – pan Trąba westchnął głęboko – chyba dla wszystkich jest rzeczą jasną, iż w obecnej sytuacji, tu i teraz zalecany przez Reformatora legalizm to kłopotliwa utopia i należy wziąć sprawy w swoje ręce. Przełożonym Gomułki jest Chruszczow i gdybym chciał się do rady doktora Marcina Lutra ściśle stosować, musiałbym udać się ze skargą na Gomułkę do Chruszczowa, co jest absurdem.

– To jest tylko trochę mniejszy absurd od zabicia Gomułki – komendant Jeremiasz nie rezygnował z coraz osobliwiej brzmiącej zdroworozsądkowej argumentacji.

– Nie, po stokroć nie – podniósł głos pan Trąba – teoretycznie mam cały problem opracowany bez pudła, tak, jak mam nadzieję, bez pudła trafię go w serce. Ja sam mianuję się w imieniu sprawiedliwości dziejowej przełożonym pierwszego sekretarza Władysława Gomułki i jako władza zwierzchnia wymierzę mu karę główną.

– Tym samym pan go nobilituje, panie Trąba. Pan dołączy do wielkich zamachowców ludzkości, ale i Gomułka dołączy do wielkich tyranów

ludzkości. Nie przeszkadza to panu? – zapytał Arcymajster Swaczyna.

– Boleję nad tym, ale niestety nie ma idealnych rozwiązań – odparł pan Trąba i zwrócił się do księdza pastora Potraffke:

– Najmocniej przepraszam, ale kogo ksiądz pastor miał na myśli? Jacy protestanci brali udział w skrytobójczych zamachach na władzę najwyższą?

– Nie szukając daleko, w słynnym, choć na szczęście nieudanym zamachu na ostatniego króla Rzeczpospolitej brał udział pewien luteranin, Bogumił Frankemberg, ślusarz z Cybulic.

– Idzie księdzu o niesławne uprowadzenie Stanisława Augusta Poniatowskiego zakończone rejteradą spiskowców, z wyjątkiem jednego, który widząc, co się dzieje, przeszedł na stronę króla? Ma ksiądz na myśli sławetny zamach zakończony ocaleniem ostatniej naszej koronowanej głowy przez przypadkowego młynarza na Marymoncie? – upewnił się pan Trąba.

– Wasz zamach takim samym fiaskiem się zakończy, wszystko rozlezie się po kościach, pobłądzicie, zgubicie drogę, skończycie jeśli nie w młynie na Marymoncie, to w komisariacie na Marszałkowskiej, spijecie się jak świnie – komendant Jeremiasz najwyraźniej tracił resztki cierpliwości. – Nawiasem mówiąc, panie Trąba, dlaczego pan nie pije? Przecież pan ma z powodu picia umrzeć i z tego też powodu ma pan zamiar popełnić zbrodnię, a tu widzę, nie pije pan?

– Pan się posuwa za daleko, panie Komendancie – pan Trąba pobladł i zaczęły mu drżeć ręce – to są argumenty poniżej pasa. Poza tym w planie elementarnej logiki pan myli przyczyny ze skutkami.

– Bracia, uciszcie się – pastor Potraffke kolejny raz zaapelował o spokój. – A gdyby tak – kontynuował tonem nieco zbyt wystudiowanej pojednawczości – a gdyby tak nawiązać nie do idei królobójstwa rzeczywistego, bo taki przykład istotnie trudno znaleźć w naszych dziejach, ale do idei królobójstwa symbolicznego?

– Co konkretnie ksiądz pastor ma na myśli? – zapytał ojciec.

– Znane są przypadki zamachu nie na osobę władcy, ale na jego wizerunek. Na przykład książę Józef Jabłonowski zapaławszy gniewem do tegoż nieszczęsnego Stanisława Augusta Poniatowskiego kazał powiesić portret króla w swoim prywatnym loszku i postawił przy tak uwięzionym

wizerunku straże. Również portret króla Jana III Sobieskiego padł ofiarą zamachu, pewien szlachcic, którego nazwiska nie pomnę, wprost rozsiekł wizerunek króla szablą, za co zresztą zapłacił gardłem.

– Niechaj się ksiądz pastor na mnie nie gniewa, ale wizja, wedle której miałbym szyć z kuszy do wyciętego z „Trybuny Ludu" zdjęcia Władysława Gomułki, otóż taka wizja mnie upokarza – panu Trąbie dalej trzęsły się ręce i spojrzenie jego raz po raz pomykało w kierunku stojących na stole butelek.

– Pan zdaje sobie sprawę – ton komendanta Jeremiasza zdawał się świadczyć, iż być może z wolna zaczyna się on godzić z nieodwracalnym przebiegiem wydarzeń – pan zdaje sobie sprawę, iż poza wszystkim kusza to nie jest broń rycerska, ale czeladna. Dżentelmeni gardzą kuszą. Na przykład użycie przez Brytyjczyków masowych formacji kuszników w sławnej bitwie pod Crecy uznane zostało przez fakultet teologiczny Sorbony za hańbiące dla Anglików i siłą rzeczy unieważniające wynik bitwy. Użycie kuszy to jest faul.

– Ja nie mam zamiaru faulować Gomułki. Ja mam zamiar go zabić – odparł głucho pan Trąba. – Kusza jest jedyną znaną mi bronią, która z odległości około stu pięćdziesięciu – dwustu metrów może się okazać skuteczna. Naprzeciw ulicy Frascati, naprzeciw okien mieszkania pierwszego sekretarza rozciąga się niewielki park i stamtąd właśnie, zza osłony ciemności i bezlistnych krzewów, mam zamiar wysłać jedyną i mam nadzieję śmiercionośną strzałę. Wybieram kuszę, ponieważ, jak wielokrotnie wspominałem, zwyczajnie nie władam bronią palną. Znam, rzecz jasna, wybornie przebieg bitwy pod Crecy i wiem, iż w Europie oręż ten nigdy nie cieszył się wielką estymą. Ale jak zawsze nadmierny europocentryzm jest tym, co gubi nas, Europejczyków. Kusza została wynaleziona, jak państwu być może wiadomo, w Chinach, i to w czasach, gdy po dzisiejszej ulicy Frascati niedźwiedzie się przechadzały. Mechanizmy spustowe chińskich kusz były wykonane z dokładnością ziarnka ryżu, ich komplikacja zaś, jak twierdzą znawcy, jest porównywalna ze współczesnymi trzonami zamkowymi w karabinach. Opisy tych zapierających dech w piersiach (i produkowanych ręcznie, choć na przemysłową skalę) konstrukcji znaleźć można w starochińskich traktatach, na przykład w księdze pod tytułem *Sztuka wojenna mistrza Sun*

albo w księdze pod tytułem *Wiosny i jesienie pana Lu*. Mam wrażenie, iż oba teksty pochodzą z czasów, kiedy nasi gardzący niegodną dżentelmenów bronią przodkowie straszyli swoim upiornym narzeczem dzikie zwierzęta. Walczący z Chińczykami Hunowie bali się kusz, jeśli zaś jakimś cudem wchodzili w ich posiadanie, nie byli w stanie ani ich zmontować, ani skopiować. Nie mogli nawet używać bełtów, bo były dla ich długich łuków za krótkie. Tak więc wynalazek i stosowanie kuszy jest wzlotem myśli i technologii ludzkiej i odprawą daną barbarzyństwu. To że w tysiąc lat po Chińczykach czeladź w Europie używała kusz do podpalania stodół, jest raczej miarą upadku, a nie przejawem wykwintnych manier bitewnych Mitteleuropy. Toteż ja całkowicie nieprzypadkowo – pan Trąba spojrzał w kierunku Arcymajstra Swaczyny – całkowicie nieprzypadkowo wybrałem chiński model, ponieważ tak jak czynili starzy Chińczycy, mam zamiar gromić Hunów, więcej nawet, ja mam zamiar zabić samego wodza Hunów.

– Jak mówię – Arcymajster Swaczyna sięgnął za pazuchę i wydobył złożony na czworo arkusz papieru kancelaryjnego – jak mówię, pomysł zabijania czy to komunistycznego, czy jakiegokolwiek innego przywódcy to jest, moim zdaniem, pomysł studencki, ale zamówienie zamówieniem. Klient nasz pan, jak głosi najnowsze hasło usług uspołecznionych. Oto projekt.

Arcymajster Swaczyna rozprostował papier i wszyscy ujrzeliśmy starannie narysowany i wycieniowany miękkim ołówkiem wizerunek pięknego niczym stara rycina przedmiotu.

– Łoże ma około trzydziestu, ściśle trzydzieści trzy i pół cala długości i zostanie wykonane z drewna bukowego, bawolego rogu i baranich ścięgien – objaśniał Arcymajster Swaczyna. – Inkrustacja: krążki i rozety z kości słoniowej. Dobrze się składa, niedawno sprowadziłem z niewielkim zyskiem trochę kości słoniowej z Kenii. Cięciwa z końskiego włosia, mosiężna dźwignia spustowa. Natomiast w charakterze obłąku, czyli łuku, zastosujemy resor citroena model tysiąc dziewięćset trzydzieści osiem. Nie dalej jak wczoraj wizytowałem jeden z moich warsztatów i osobiście lustrowałem tę śmiercionośną blachę, jest już oczyszczona z rdzy i skamieniałego błota. Powiem państwu, iż w jej lśniących oliwnymi głębiami piórach czają się prawdziwie zabójcze energie. Jak zapewniał mnie człowiek, od którego odkupiłem resor, tenże citroen model tysiąc

dziewięćset trzydzieści osiem był swego czasu własnością legendarnego mordercy Mazurkiewicza. Pozostaje kwestia bełtów, czyli strzał…

– Wystarczy jeden bełt – pan Trąba z uwagą studiował szczegóły projektu – wystarczy jedna strzała sporządzona tak, jak mówiłem, ze szprychy rowerowej, drewniane lotki, natomiast grot ma być uczyniony ze srebrnej gałki odpiłowanej od pamiątkowej cukiernicy pani Naczelnikowej – pan Trąba skłonił się nieznacznie w stronę siedzącej nieruchomo matki.

– I wbije się srebrne ostrze w trzewia, i sadło jego, i gnój się rzuci, Polska, Polska – rozległ się chrapliwie zniekształcony głos księdza pastora Potraffke.

Kolejny raz unosił on ramiona w górę, ale teraz zdawać się mogło, iż dźwiga na nich ogromny, niewidzialny ciężar, jego twarz pobladła jak papier kancelaryjny, dyszał ciężko, jego ciemne, pałające źrenice raz po raz uciekały w głąb czaszki. Pani Pastorowa poderwała się z miejsca, ale ani ona, ani nikt z nas zdjętych nagłym lękiem nie wiedział, co począć. Pastor Potraffke uniósł już wysoko ramiona i spoczywający na nich ciężar (tym cięższy, im bardziej niewidzialny) i teraz sam z wolna podnosił się z miejsca i apoplektyczne plamy powoli jęły pojawiać się na jego obliczu, co sprawiało wrażenie jakby z wolna powracał do życia i przytomności, i istotnie, opuścił jedną rękę i wydobył z kieszeni marynarki Biblię, otwarł ją mechanicznym, choć jak się okazało – nieomylnym gestem i nieco spokojniejszym, choć dalej wystarczająco apoplektycznym głosem jął mówić, czytać i komentować:

– Pytam was, bracia serdeczni i siostry serdeczne, wieleż lat upłynęło od zakończenia wojny do dziś, do roku pańskiego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego i trzeciego? Osiemnaście. Osiemnaście. Posłuchajcie tedy, co mówi Księga Sędziów: „Potem znowu synowie Izraelscy czynili zło przed oczyma Pańskimi. I wzmocnił Pan Eglona, króla Moabskiego, przeciw Izraelowi, przeto iż czynili zło przed oczyma Pańskimi. I służyli – słuchajcie uważnie, bracia i siostry – i służyli synowie Izraelscy Eglonowi królowi Moabskiemu osiemnaście lat". Tak jako i my – pastor uniósł i zaraz opuścił głowę – tak jako i my służymy królowi Hunów osiemnaście lat. Ściśle o osiemnastu latach poddaństwa mówi w tym miejscu Księga Sędziów, rozdział trzeci, wiersz czternasty. „Potem wołali synowie

Izraelscy do Pana. I wzbudził im Pan wybawiciela Aoda syna Gery, męża ręką prawą nie władającego, i posłali przezeń synowie Izraelscy dar Eglonowi królowi Moabskiemu. I uczynił sobie Aod miecz z obu stron ostry, na łokieć wzdłuż i przypasał go pod szaty swe do prawego biodra swojego. I przyniósł dar Eglonowi, królowi Moabskiemu, a Eglon był człowiek bardzo otyły. I wszedłszy Aod do niego, wyciągnąwszy lewą rękę swą, dobył miecza od prawego biodra swego i wraził go w brzuch jego. Tak iż wpadła i rękojeść za żelazem, i zawarło się w sadle żelazo, bo był nie wyjął miecza z brzucha jego, aż się gnój rzucił". Tak. Gnój. Polska.

Ksiądz pastor Potraffke skończył szaleńcze, choć coraz cichsze i coraz spokojniejsze czytanie Księgi Sędziów, usiadł ciężko i powiódł po wszystkich siedzących za stołem uważnym w niegasnącym szaleństwie spojrzeniem, i powiedział ni stąd, ni zowąd:

– Za nic, za nic nie dopuszczę was do konfirmacji. Gnój. Gnój. Polska. Polska.

– Polska – powtórzył za nim jak echo pan Trąba.

– Polska – powtórzył, tak jakby odpowiadał odzewem na hasło, Arcymajster Swaczyna.

– Polska gola – powiedział ojciec.

– Polska, Polska, Polska – powiedziała matka, pani Pastorowa i Małgosia Snajperek.

– Polska, Polska, Polska – zaczęliśmy powtarzać jeden po drugim, zgodnie skandować: „Polska, Polska", niczym siedzący w jednym sektorze kibice.

I dalej stojący na podium, i dalej śpiewający przy wtórze orkiestry misyjnej czeskie piosenki chórzyści usłyszeli wreszcie nasze „Polska, Polska", bo wreszcie zamilkli na chwilę i niczemu się nie dziwiąc i nawet nie kierując ku nam zdumionych spojrzeń, zaśpiewali natychmiast dalej na tym samym mocnym oddechu:

Czas do domu czas, już wołają nas
Dzwonek z wieży do pacierzy,
Matka z progu do wieczerzy
Już wołają nas, czas do domu, czas.

I musieliśmy przyznać, i zawsze potem z prawdziwym zapałem przyznawaliśmy, iż czescy narzeczeni morfinistek zaśpiewali tę starą polską piosenkę tak wprawnie, iż nikt z nas nie usłyszał w ich śpiewie nawet cienia obcego akcentu.

7

Czułem kolebanie wolno sunącego przez błotniste równiny ambulansu skrytobójców, budziłem się i zasypiałem, wdychałem zapach papieru pakowego, konopnego sznura i lakowych pieczęci. W ciemnościach widziałem piramidy paczek i przesyłek pocztowych, pan Trąba, ojciec i konwojenci siedzieli pośrodku tych piramid, słyszałem szmer ich rozmów, mówili o kobietach; historie miłosne, niczym mijane po drodze ciemne pola, stacje i światła szły jedna za drugą.

Słuchałem opowieści o kobietach biegle władających piórem i słuchałem historii o kobietach biegle władających językami obcymi, słuchałem o romansach z zapracowanymi wdowami i o romansach z leniwymi pannami. Słuchałem pełnych goryczy skarg i pełnych rozpaczy tęsknot, były tam poetyckie krajobrazy pierwszych spotkań, szczegółowe opisy apartamentów finalnych uniesień i zdawkowe szkice miejsc haniebnych rozstań. Słuchałem przekleństw, przestróg i pełnych paradoksalnej mądrości aforyzmów o władzy kobiet albo ulotnych traktatów o sztuce noszenia biustonosza.

Słuchałem pełnych podniecających perypetii przygód, ale nie rozróżniałem głosów, nie wiedziałem, kto jaką przygodę opowiada, nawet teatralny szept pana Trąby trudny był do odróżnienia; ojciec chyba nie odzywał się wcale, może mówił akurat wtedy, kiedy zasypiałem, może zasypiałem akurat wtedy, kiedy zaczynał mówić. Nie pamiętam.

***

Nie pamiętam tysięcy scen z jego udziałem, nie pamiętam, jak na kamienistym podwórzu grał ze mną w piłkę nożną, nie pamiętam gestu, jakim poprawiał okulary, nie pamiętam wycieczek na Bawolą Górę, podczas których uczył mnie imion drzew i ptaków, nie pamiętam sposobu odwracania ogromnych płacht gazet, które czytał. Nie pamiętam jego

codziennych powrotów z poczty, na dobrą sprawę niezbyt dobrze wiem, czym się przez całe lata zajmował, od kiedy przeszedł na grubo przedwczesną emeryturę. Opisałem tę scenę, ale przecież w gruncie rzeczy nie pamiętam, czy ojciec razem z innymi mężczyznami biegł tamtego wieczora przez wysoką azjatycką trawę w kierunku stojących na skraju polany morfinistek, czy szedł bardzo szybkim krokiem, czy może przeciwnie, w ogóle nie ruszył się z miejsca.

Do dziś wydaje mi się, iż pamiętam każde słowo jego niekończących się dysput z panem Trąbą, nie pamiętam natomiast niektórych gestów, póz, chodu. Nie pamiętam jego sposobu siedzenia na krześle. Pamiętam go, ale go nie widzę. A może przeciwnie, widzę go cały czas w jednej i tej samej, nieskończoną ilość razy powtarzającej się w mojej głowie i trwającej bardzo krótko scenie?

Może ten jeden jedyny, osobliwy, choć przecież charakterystyczny obraz w swym codziennym natręctwie wyparł i przesłonił wszystko inne? Wygląda to tak: ojciec siedzi za stołem w naszej ogromnej niczym grecki amfiteatr kuchni, pan Trąba mówi coś do niego, ojciec wstaje, podchodzi do kredensu, wyjmuje butelkę, wraca i stawia ją na stole. Scena ta z absolutną nieuchronnością po raz setny, tysięczny, milionkrotny powtarzająca się w mojej pamięci powoli potwornieje, ruchy ojca stają się coraz gwałtowniejsze, jakby naznaczone wewnętrznym spazmem i sprzeciwem. Wnętrze kuchni ciemnieje, pod pustym miejscem płonie niewidzialny ogień, z góry sypie się popiół. Jest tak, jakby istotnie pan Trąba przez całe życie i po sto razy dziennie nakazywał ojcu: wstać zza stołu, podejść do kredensu i wyjąć butelkę, wstać zza stołu, podejść do kredensu i wyjąć butelkę, wstać zza stołu, podejść do kredensu i wyjąć butelkę.

Być może niczego więcej nie pamiętam, ponieważ w pewnym sensie przez całe życie byłem do niego odwrócony plecami. On coś robił, krzątał się, reperował, szeleścił gazetami, czytał, pisał na maszynie, słuchał Wolnej Europy, być może biegł za mną, ja jednak z bezwzględnym, może nawet nieludzkim uporem kroczyłem swoją błędną i obłędną drogą.

Gdy po czterdziestu latach obejrzałem się wreszcie, ujrzałem stojące na środku naszej kuchni cztery taborety, na taboretach leżały wyjęte z zawiasów drzwi do piwnicy, na drzwiach odziany w mundur naczelnika

poczty leżał ojciec. Matka zapalała gromnice, pan Trąba stał przy oknie. Podszedłem do niego, przez chwilę patrzyliśmy na idących przez ogród karawaniarzy, wieko i dół trumny na ich ramionach wyglądały niczym odnalezione przed chwilą w trawie skrzydła dawno rozbitego aeroplanu.

– Wiem, że się tak mówi zawsze i pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, ale pan Naczelnik wygląda, jakby spał – powiedział pan Trąba.

***

Jeszcze tego samego dnia zaczęliśmy z matką porządkować śmierć ojca, doszukiwać się w niej wewnętrznej logiki, w ostatnich zaś dniach jego życia odnajdywać znaki zapowiadające jej nadejście. Zaczęliśmy z zajadłą skrupulatnością gromadzić i przypominać sobie fakty i okoliczności, które mogły układać się w nieśmiertelny porządek śmierci. Godzina po godzinie, minuta po minucie rekonstruowaliśmy ostatnie dni i tygodnie życia ojca, ściśle opisując, pieczętując, podkreślając, eksponując i wydobywając na powierzchnię wszystkie na pozór przypadkowe zdarzenia, gesty i przedmioty, w których mogła tkwić zapowiedź jego śmierci. Byliśmy niestrudzeni w kolekcjonowaniu prefunebralnych okazów i niepostrzeżenie nasza harmonijna współpraca przeistoczyła się w zajadłe współzawodnictwo. Ja zauważyłem złamaną półkę w piwnicy, matka zaś mniej więcej w tym samym czasie, jakieś dwa tygodnie przed jego śmiercią, spotkała w sklepie odzieżowym makabryczną klientkę, która przymierzała same czarne rzeczy. Złamana półka w piwnicy była moim zdaniem czytelniejszym znakiem, dębowa deska bowiem trzasła jakby rozcięta pozaziemską siłą, przetwory runęły z wysokości – i co powiecie? – Ani jeden słój się nie rozbił.

Spotkanie w sklepie odzieżowym kobiety przymierzającej żałobę sprawiało bardziej przypadkowe wrażenie, ale trzeba przyznać, że matka sugestywnie opowiadała o dreszczu przerażenia, który ją przeniknął, gdy stała tuż obok. Poczuła, że od tych czarnych bluzek, apaszek, żakietów, rękawiczek i kapeluszy idzie lodowaty i ciemniejszy niż wszystkie żałoby świata powiew, a sama przymierzająca – wysoka jak koszykarka, chuda, koścista, pałające smoliste oczy – szkoda gadać, jak sama śmierć wyglądała.

Matka opowiadała też, że równo na tydzień przed śmiercią, równo tydzień, bo umarł w środę, a to też było w środę, ojciec wpierw odprowadził pana Trąbę do samej furtki, co już było dziwne, bo robił to bardzo rzadko, a potem jeszcze długo nie wracał, chodził po ogrodzie, oglądał jabłonie i śliwy, dotknął starej czereśni, pochylał się, jakby coś podnosił z trawy, a potem jeszcze na dodatek łaził po domu, aż matka zdenerwowała się, że tak łazi i łazi, i czy mu to czasem nie zaszkodzi. A on poszedł na strych, zszedł do piwnicy, kręcił się po wszystkich pokojach, wszędzie zaglądał, szperał, niby czegoś szukał, a tak naprawdę to przecież się żegnał, żegnał się ze wszystkim.

A Bryś-ludojad, przypomniałem sobie, pamiętasz, jak Bryś-ludojad przed nim uciekał? To było jakiś miesiąc wcześniej, sześć tygodni przed śmiercią. No tak, mówiła matka, sześć tygodni przed śmiercią zawsze się pokazują pierwsze znaki. Komendant Jeremiasz szedł z Brysiem na spacer, przystanęli przy naszej furtce, nawet nie wchodzili do środka, matka zamieniła z komendantem jakieś nic nieznaczące słowo o pogodzie, Bryś-ludojad posłusznie warował przy nodze, ale gdy tylko zobaczył ojca stojącego na ganku, zaczął wyć rozpaczliwie i rozdzierająco i rzucił się do nieporadnej, bezładnej ucieczki, śmialiśmy się z niego, że mu się całkiem pomieszało ze starości we łbie. Najstarszy, bo pięćdziesięcioletni, pies świata – tłumaczył komendant – ma prawo do nie takich fanaberii, śmialiśmy się z ledwo dyszącego staruszka, a on dobrze wiedział, co robi, wył i uciekał tak strasznie, jakby czuł idący od ojca nieziemski zapach śmierci albo jakby widział, że obok ojca stoi ktoś niewidzialny, ktoś, kogo lęka się wszelkie stworzenie.

W milczeniu, w zupełnym milczeniu, bez słowa, matka pokazywała zegarek ojca, który zdjęła mu z ręki, zegarek zatrzymał się równo z jego ostatnim oddechem o trzeciej dwadzieścia, potem pokazywała swój zegarek, którego wskazówki też się zatrzymały na trzeciej dwadzieścia, i jeszcze pokazywała oba sekundniki, oba równo i identycznie znieruchomiałe na dwunastkach, i jeszcze przypominała sobie, że ojcu w ostatnim tygodniu życia ubzdurało się, że musi w jakiejś pilnej sprawie jechać do Warszawy, jej dosłownie ręce opadały, upierał się wściekle, dosłownie jakby coś go naszło, w końcu go przekonała, został, został

i umarł w domu, to też w końcu jest znak łaski Bożej, bo co by to było, jakby się gdzieś w świecie przewrócił.

I tak przypominaliśmy sobie znaki i czyniliśmy znaki, dociekaliśmy, czy śmierć ojca była przypadkowa czy nieunikniona, czy była mu pisana, czy była przezeń zawiniona, czy mógł jej uniknąć i czy chciał jej uniknąć, czy przeciwnie, świadomie zmierzał w jej kierunku, stawialiśmy znaki zapytania i przywoływaliśmy na pomoc wskazówkę zegara, uciekającego psa i wszystkie przedmioty, których umarły dotykał, próbowaliśmy przebić ciemność, czyniliśmy to wszystko, a przecież wiedzieliśmy także, że od dawna był ciężko chory na serce i już na rok przed śmiercią lekarze dawali mu co najwyżej rok życia.

***

Ambulans. W rozmowach ojca i pana Trąby bardzo często pojawiało się słowo „ambulans". Pojawiało się ono tak często i tak natrętnie, że zabawa w przewidywanie jego i tak ciągłej obecności była nudna i jałowa. „Dla mnie żaden problem, pojadę ambulansem" – mówił ojciec. „Wyślę to ambulansem", „zabierze nas ambulans". „Wszystko, co trzeba, da się do ambulansu". Ambulans, ambulans, ambulans – rozważałem ruch, ciemność i kulistość tego słowa i czułem zapach pieczęci lakowych. Potem niepostrzeżenie słowo „ambulans" zniknęło z naszego domowego języka, może w ogóle zniknęło z polszczyzny. Z całą pewnością w żadnym z setek tysięcy, a może milionów przeczytanych przeze mnie tymczasem zdań nie było słowa ambulans, dostrzegłbym je niechybnie i z całą intensywnością, tak jak natychmiast z całą proustowsko-magdalenkową intensywnością dostrzegłem je w pozostałych po ojcu papierach. Przeglądałem te pożółkłe podania do Ministerstwa Łączności i Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji, odczytywałem mroczne maszynopisy pracowicie wystukiwane przez ojca na starej angielskiej maszynie do pisania „Everest", odczytywałem wydrukowane na blankietach firmowych Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji oskarżenia i powiadomienia o wszczęciu postępowania.

> Wszczynam przeciwko obywatelowi postępowanie dyscyplinarne z powodu naruszenia przez niego obowiązków służbowych przez to, że będąc zatrudnionym na stanowisku naczelnika Urzędu Pocztowo-Telekomunikacyjnego na przestrzeni roku 1959 wykorzystywał swoje stanowisko i przekazywał do ambulansów pocztowych prywatne paczki z zawartością mięsa cielęcego i nakłaniał jednocześnie obsługę ambulansów do przewożenia tych paczek pod adresem niektórych pracowników Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji.

Czytałem ułożone z niemałą wirtuozerią stylistyczną wnioski o ukaranie i wszechstronne uzasadnienia wniosków o ukaranie.

> Ponieważ naprowadzone wyżej dowody stwierdzają niezbicie dokonanie przez oskarżonego wymienionych w tenorze oskarżenia czynów, jakim było przekazywanie do ambulansów pocztowych prywatnych przesyłek z zawartością mięsa cielęcego i nakłanianie obsługi ambulansów do przewozu tych przesyłek, proponuję wymierzenie surowej kary dyscyplinarnej. Rzecznik Dyscyplinarny przy Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji – magister Okoński.

Ze ściśniętym sercem i skamieniałym gardłem odczytywałem ledwo czytelne kopie rozpaczliwych pism wyjaśniających i żałobnych petycji, czytałem podania i odmowne odpowiedzi na podania, prośby i interwencje i odmowne odpowiedzi na prośby i interwencje. Linijka po linijce studiowałem ten biało-czarny zapis dialogu ojca z Pocztą wielką jak nicość.

> Wyjaśniam, co następuje:
> W roku 1959 na terenie Katowic odczuwano przejściowy, choć poważny brak przetworów mięsnych, a przede wszystkim brak mięsa cielęcego. W związku z tym niektórzy pracownicy Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Katowicach wiedząc, że na terenie Wisły i sąsiadującej z nią Istebnej istnieją możliwości nabycia mięsa cielęcego, zwrócili się do mnie z prośbą o zakupywanie mięsa i przesyłanie im za pośrednictwem ambulansu. Sprawę tę załatwiłem grzecznościowo i bezinteresownie. Zwracam się z uprzejmą prośbą o interwencję z powodu zdjęcia mnie ze stanowiska

naczelnika UPT. Zwracam się z uprzejmą prośbą o interwencję z powodu krzywdzącego mnie przeniesienia do UPT w Cieszynie.

Nawiązując do pisma obywatela Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji informuje, iż w związku z wszczęciem przeciwko obywatelowi postępowania dyscyplinarnego z powodu przekazywania przez obywatela do ambulansów pocztowych prywatnych przesyłek z zawartością mięsa cielęcego decyzja przeniesienia obywatela pozostaje w mocy.

Wobec powyższego raz jeszcze proszę o pomoc i interwencję. Z uwagi na chorobę trwający w obie strony blisko trzy godziny dojazd do pracy jest niezwykle uciążliwy, a zimą prawie niemożliwy.

W związku z pismem obywatela w sprawie krzywdzącego przeniesienia, ostateczna odpowiedź zostanie udzielona obywatelowi w terminie późniejszym.

Powiadamia się, że prośba obywatela w sprawie udzielenia dwumiesięcznego urlopu bezpłatnego została zawieszona do czasu odbycia się rozprawy dyscyplinarnej.

W związku z wszczęciem przeciwko mnie postępowania dyscyplinarnego z powodu przekazywania przeze mnie do ambulansów pocztowych prywatnych przesyłek z zawartością mięsa cielęcego, proszę uprzejmie o powiadomienie, w jakim stadium sprawa moja się znajduje. Od wszczęcia postępowania minęło już osiem miesięcy.

Gabinet Ministra zawiadamia, że rozprawa dyscyplinarna przeciwko obywatelowi oskarżonemu przez Rzecznika Spraw Dyscyplinarnych z powodu przekazywania przez obywatela do ambulansów pocztowych prywatnych przesyłek z zawartością mięsa cielęcego zostanie przeprowadzona przez Komisję Dyscyplinarną przy Dyrektorze Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Krakowie. Posyła się w załączeniu wniosek o ukaranie oraz listę członków kompletu orzekającego i równocześnie zawiadamia się, że termin rozprawy wyznaczono na dzień 27 lipca br. godz. 9. Rozprawa odbędzie się w świetlicy Związku Zawodowego Pracowników

Łączności w Krakowie, ul. Librowszczyzna l. Na rozprawę winien obywatel zjawić się osobiście.

Orzeczenie Komisji Dyscyplinarnej przy Dyrektorze Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Krakowie. Przedmiot orzeczenia: oskarżony, urodzony, zatrudniony, dyscyplinarnie nie karany, oskarżony o naruszenie obowiązków służbowych popełnionych przez to, że wykorzystując swoje stanowisko naczelnika Urzędu Pocztowo-Telekomunikacyjnego przez podległych sobie pracowników przekazywał do ambulansów pocztowych prywatne paczki z zawartością mięsa cielęcego pod adresem niektórych pracowników Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji, zostaje po przeprowadzonej rozprawie ustnej z wyżej wymienionych zarzutów uniewinniony i oczyszczony. Obywatela uniewinnia się z braku znamion występku służbowego w zarzucanych mu czynach.

***

– Upodliła pana Moskwa, panie Naczelniku, upodliła ze szczętem i daruje pan, że nie będę podzielał pańskiej przedwczesnej radości – pan Trąba istotnie zdawał się być tamtego dnia absolutnie niepodatny na ekstatyczny entuzjazm ojca.

– Od początku wiedziałem, że sprawiedliwości stanie się zadość – triumfował ojciec – od samego początku, a kiedy upewniłem się, że jako miejsce rozprawy wyznaczono Kraków, nie miałem już cienia obaw i wątpliwości. Co Kraków, to Kraków! W składzie komisji orzekającej sami przedwojenni naczelnicy, panowie naczelnicy – zachłystywał się ojciec – pan naczelnik Czyż, pan naczelnik Holeksa, pan naczelnik Kozłowski, panowie w każdym calu, garnitury, maniery, rozległe horyzonty…

– Widzę, że pan, panie Naczelniku, zasmakował w rozprawach dyscyplinarnych – pan Trąba rzadko pozwalał sobie na niemal otwarcie pogardliwy ton.

– A żeby pan wiedział, panie Trąba, żeby pan wiedział, że z takimi ludźmi jak naczelnik Kozłowski warto się spotkać w każdych okolicznościach – ojciec rozpierał się za stołem i chyba jednak daremnie próbował przybrać zwycięską pozę żeglarza, który dopiero co wrócił z pełnej niebezpieczeństw wyprawy.

Dobrze pamiętam ten powrót nie tyle uniewinnionego i oczyszczonego, co właśnie triumfującego ojca, pamiętam nie tylko słowa, ale i gesty, był to wszak dzień obfitujący w szczególnie częste podnoszenia się zza stołu, podchodzenia do kredensu i wyjmowania zeń kolejnych, bardzo kolejnych butelek.

– Co pan baje o jakiejś sprawiedliwości, panie Naczelniku, niemożliwe, żeby pan był do tego stopnia zbolszewizowany. Rozumiem, że spędził pan jakiś czas w ruskiej niewoli i ma prawo do pewnych urazów, ale do stu tysięcy furgonów beczek, nie jest pan przecież młodym poetą, żeby całe życie na traumatyzmie zasadzać! Samo to, że wszczęto przeciw panu postępowanie, było zbrodnią.

– Prawdę powiedziawszy, nie byłem całkiem w porządku – ojciec tym razem usiłował mówić w jakiś wyuzdanie przebiegły sposób.

– Niechże pan, panie Naczelniku, nie czyni sobie złudzeń i nie kreuje się na herszta mafii mięsnej, która nie tylko zadarła z wymiarem sprawiedliwości, ale i wymiar sprawiedliwości wywiodła w pole. Co pan zrobił? Nic pan nie zrobił. Raz w tygodniu posyłał pan pociągiem trochę cielęciny, żeby pańscy rzekomi przyjaciele nie zdechli z głodu. Tyle pan zrobił. I za to został pan upodlony.

– Zostałem uniewinniony i oczyszczony – odpowiedział z napuszoną godnością ojciec.

– Wie pan, panie Naczelniku, co Moskwa ma w sobie najstraszliwszego? Najstraszliwsze w niej jest to, że ona w swojej wszechmocy pragnie upodobnić się do Boga, że jest Antychrystem.

– Przesadza pan, panie Trąba, jak zwykle pan przesadza – pogrążony w absolutnym błogostanie, upojony przelotną ulgą i w sensie elementarnym dobrze już wstawiony ojciec nie przyjmował do wiadomości żadnych argumentów. Nie zdawał sobie sprawy, iż wszystkie przestrogi i złowróżbne przypuszczenia pana Trąby spełnią się co do joty, że już zaczęły się spełniać.

– Tak jak Bóg wszechmogący pracuje rękami swych sług ludzi, tak i Moskwa upodliła pana rękoma swoich sług, pracowników Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji. Uniewinnili pana, i cóż z tego, skoro pana niewinnie oskarżyli? Uniewinnili pana, ale przecież nie wróci pan już

ani na swoje stanowisko, ani do swojego urzędu, dalej będzie pan w deszcz, upał i słotę dojeżdżał do, jak na razie bardzo dalekiego, Cieszyna, będzie pan tracił zdrowie, będzie pan wręczał sute łapówki celem uzyskania należącego się panu zwolnienia lekarskiego, dalej będzie pan w swoim pozornym uniewinnieniu, a w istocie wciąż trwającej degradacji, doznawał nieustannych upokorzeń. Dalej będzie pan pisał i słał gorszące petycje:

> W związku z uniewinnieniem mnie z zarzutu, jakobym przekazując do ambulansów pocztowych przesyłki z zawartością mięsa cielęcego naruszał obowiązki służbowe, uprzejmie proszę o przeniesienie, przywrócenie i anulowanie.

A Antychryst rękami swoich sekretarzy dalej będzie panu odpisywał:

> W odpowiedzi na podanie obywatela powiadamia się, że jego prośba nie jest zaopatrzona w odpowiednie opinie i załączniki… zostanie rozpatrzona w terminie późniejszym… została załatwiona odmownie.

Tak. Tak będzie. Tak będzie, panie Naczelniku. Szkoda, że nie mogę panu zrobić fotografii, bo gdyby mógł pan nazajutrz ujrzeć dagerotyp swojego rozjaśnionego dziecięcym szczęściem oblicza, pojąłby pan, iż trzy miesiące w Sierpuchowie pod Moskwą to jest pestka w porównaniu z prawdziwym zniewoleniem.

Pan Trąba przez chwilę spoglądał na nieforemnie kiwającą się (lecącą przez złote przestworza) głowę ojca i dodał raźniejszym tonem:

– Ale też, jak mówią, nie ma tego złego, co by na gorsze nie wyszło. Kiedy się pan ocknie, kiedy pan wreszcie twardo wyląduje na ziemi, kiedy pan pojmie, że koszmar się nie skończył, ale nabrał definitywności, powinno to pana wzmocnić. Powinien pan zmężnieć w klęsce. Trochę pan zgorzknieje, trochę się stanie cyniczny, może nawet pojawi się w pana zacnej naturze jakiś rys wisielczego humoru. Niech się pan nie gniewa, ale z mojego punktu widzenia to lepiej, powinien pan stać się ciekawszym, bardziej skłonnym do oporu partnerem do dysput. Tak, panie Naczelniku.

Będziemy gawędzili, będziemy popijali, będziemy filozofowali. Będziemy niczym bohaterowie odklejonej powieści. Będziemy niczym postacie literackie, co zamiast działać leniwie, choć wszechstronnie, obgadują swoje losy. Ale i to do czasu. Do czasu, panie Naczelniku. Do czasu, bo i naszego czynu godzina wybije.

***

Prócz zapachu pakowego papieru, konopnego sznura i lakowych pieczęci w rozkołysanym ambulansie być może tlił się jeszcze zapach krwi cielęcej, nie czułem go wszakże, nie znałem wówczas koniecznych szczegółów, jeśli w ogóle widmo jakiejkolwiek krwi przemykało przez moją półprzytomną głowę, to z pewnością była to krew Władysława Gomułki, którą mieliśmy przelać za niecałe dwadzieścia cztery godziny.

Budziłem się i zasypiałem, i słuchałem głosów opowiadających jedną po drugiej historię miłosną.

– I w ten sposób doszedłem do wniosku – czyjś ciemny półgłos kończył smutną, a może wesołą opowieść – w ten sposób doszedłem do wniosku, że jedyną rzeczą, której ja wymagam od kobiet, jest wirtuozeria w noszeniu biustonosza. Tak jest. Żądam od kobiet wirtuozerii w noszeniu biustonosza. Niczego więcej.

– Słuszne żądanie – dopowiedział drugi półgłos – słuszne żądanie, w końcu tego żaden mężczyzna nie potrafi.

Rozległy się stłumione chichoty, delikatny brzęk szkła, pociąg zwolnił biegu.

– Miałem to nieszczęście – ktoś wyraźnie ulegał narkotycznemu sposobowi mówienia pana Trąby, z pewnością jednak nie był to on sam, obcy półszept brzmiał zbyt młodzieńczo i niestabilnie – miałem to nieszczęście, że wdałem się swego czasu w romans z kobietą biegle władającą piórem. Nigdy nie przepadałem za ludźmi biegle władającymi piórem, o tym zaś, że istnieją kobiety biegle władające piórem, miałem pojęcie wybitnie teoretyczne. Nigdy w każdym razie nie zetknąłem się

z piszącą kobietą i to piszącą tak ekstatycznie, łapczywie i, zdaję sobie sprawę, że brzmi to ryzykownie, piszącą w każdej sytuacji. Ona zasypywała mnie stosami listów i liścików, karteluszków, setkami wyznań, tysiącami notatek, okolicznościowymi wierszami i przygodnymi nowelami, natchnionymi opisami tego, co robiła wczoraj, co robi dzisiaj. Wszędzie napotykałem wypełnione jej zamaszystym pismem i w charakterystyczny wykwintny sposób złożone kartki, ile razy sięgnąłem do kieszeni, tyle razy trafiałem na jakiś tekst, ciągle je usuwałem i ciągle je odnajdywałem. Usuwałem je nie tylko dlatego, że zwyczajnie bałem się, iż wpadną w niepowołane albo raczej w powołane do zabicia mnie ręce mojej żony, to też, ale biegle władająca piórem produkowała takie ilości zapisów, że ilość była głównym problemem, tak czy inaczej, tę monstrualną ilość trzeba było redukować. Nie miałem cienia wątpliwości, iż prędzej czy później któryś z tych wszędzie leżących i zewsząd wylatujących świstków wpadnie w powołane do zabicia mnie ręce mojej żony i tak też się stało. Tak, prawdę powiedziawszy, działo się po wielekroć, na szczęście znaczna część twórczości biegle władającej piórem była twórczością hermetyczną i dzięki szczęśliwym zbiegom okoliczności moja żona za każdym razem natrafiała na wypowiedzi niejasne, zupełnie w zasadzie niezrozumiałe, niemniej jednak zawsze starannie rozkładała i rozprostowywała odnajdywane wszędzie karteluszki, zakładała okulary i czytała, czy też raczej studiowała z uwagą i potem podnosiła wzrok i spoglądała na mnie z pełnym boleści współczuciem, jakby zdawała sobie sprawę, jaką katorgą jest romans z grafomanką o wydelikaconej duszy, która w zasadzie wszystkie, tak jest, wszystkie swoje emocje przelewać musi na papier. Ale biegle władająca piórem nie była grafomanką. Ta trzydziestolatka o wymiarach sto dwa na sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt siedem…

– Nasze gratulacje – zabrzmiał czyjś głos, potem zaś za oddzielającą mnie od opowiadających i słuchających ścianą paczek i przesyłek rozległy się oklaski.

– Serdecznie panom dziękuję – opowiadający niechybnie skłonił się swoim nagradzającym go brawami słuchaczom – otóż ta smagła trzydziestolatka bez wątpienia miała talent literacki i miała też niekiedy kłopotliwą świadomość swojego talentu. Proszę panów, ona ofiarowywała mi nawet spisy swoich zakupów, ponieważ uważała, że te litanijne formy

są przez nią dowcipnie i zręcznie opracowane literacko. I panowie nie uwierzycie, one były dowcipnie i zręcznie opracowane literacko. Pisała szybko, bez namysłu i prawie każdy jej tekst zasługiwał na uwagę. – Usłyszałem delikatny szelest. – Każdy jej tekst. Nawet spis zakupów. Nawet zostawiona u mego wezgłowia kartka. Posłuchajcie panowie. Przytaczam:

> Jest dziewiąta rano. Poniedziałek. 10 lipca (1961). Wychodzę. Ty, drogi M., postaraj się tego nie czynić, tzn. nie wychodź. Wrócę. Całuję, pomimo iż pocałunek mój przebić musi spowijającą twe nieszczęsne ciało żółtawą chmurę. Gorzka żołądkowa o tej porze (przypominam Ci – jest dziewiąta rano) najwyraźniej zmienia stan skupienia, przeistacza się w żółty obłok, który oby do mojego powrotu przesunął się gdzie indziej, niech zawiśnie nad jakąkolwiek dzielnicą naszego stołecznego grodu, nad Żoliborzem albo nad Saską Kępą, niech przesunie się w stronę Górnego Śląska albo w kierunku Krainy Tysiąca Jezior, niechaj przekroczy nasze piastowskie granice i zawiśnie nad którąkolwiek z uciśnionych republik bałtyckich, niechaj popłynie dalej i stanie nad Kosmodromem Bajkonur, z którego wystartował, albo nad wioską Smietowka, pod którą wylądował Jurij Gagarin, niech zawiśnie nad stanem Idaho, aby uczcić żałobnym cieniem samobójczą śmierć Ernesta Hemingwaya, niech żółty obłok o niejasnych zarysach twojego nieprzytomnego ciała zawiśnie gdziekolwiek, niechaj zawiśnie nawet nad walczącym Kongiem. Nie chciałabym Cię, drogi M., za bardzo podniecać, ale w sumie mam to tam, gdzie wiesz. Idzie mi wyłącznie o to, abyś niczego już więcej nie pił. Weź kąpiel. Zjedz coś. Wracam o 19. Twoja F...

Sami panowie powiedzcie...

– Istotnie – tym razem nie miałem cienia wątpliwości: był to szept pana Trąby – istotnie, jeśli idzie o gatunek literacki, który przygodnie można by nazwać notatką osobistą, jest tu niejaka maestria, ale czy było coś więcej, czy niewątpliwy, choć, jakby to powiedzieć, dość wyspecjalizowany talent pańskiej znajomej jakoś się rozwinął?

– Nie wiem, straciłem ją z oczu. Pewnego dnia jedna z jej notatek wpadła w powołane do zabicia mnie ręce mojej żony i, niestety, tym razem nie była to notatka hermetyczna ani pod względem treści, ani pod względem

formy. Prawdę powiedziawszy, był to tekst wręcz rażący swą ostentacyjną wylewnością. Z oczywistych powodów pamiętam każde słowo:

> Nie uwierzysz, drogi M. – pisała moja biegle władająca piórem kochanica – nie uwierzysz, ale ja lubię wszystko i lubię wszędzie, lubię, gdy jesteś delikatny, i lubię, gdy jesteś brutalny, lubię, gdy robisz to błyskawicznie, i lubię, gdy robisz to długo, jak powiada poeta, wszystkie bramy mojego ciała otwierają się przed tobą z jednakową skwapliwością, lubię zapach potu i lubię zapach wody kolońskiej, lubię ból i lubię brak bólu, a poza tym nie wiem, czy wiesz, mój Burasku, jakie ty masz piękne oczy.

Zapadła chwila ciszy, pociąg dudnił, w gruncie rzeczy było coś niezwykłego w tym, że w cały czas przecież trwającym dudnieniu słyszałem każde słowo coraz wstydliwszych szeptów.

– A jak zareagowała szanowna małżonka?

– Tupnęła nogą.

– Tak, to przeważnie wystarcza – powiedział z wyraźną satysfakcją pan Trąba i ciągnął półgłosem: – Obawiam się, iż pańska utalentowana znajoma jednak nie miała świadomości swojego talentu, bo w ogóle, moim zdaniem, kobiety nie mają świadomości swoich talentów. Więcej powiem: one nie mają nawet świadomości talentu swojego ciała. Panowie, najpiękniejszą kobietę świata widziałem w Krakowie na ulicy Wiślnej. Stała na krawężniku. Spoglądała w kierunku Rynku i pod jej spojrzeniem światła Rynku gasły. Nie będę opisywał szczegółów, bo nie idzie o zachwycającą, absolutnie zachwycającą cielesność, a o fundamentalną kwestię psychologiczną. W każdym razie kształty miała nadzwyczaj śmiałe. Panowie, powściągnijcie niewczesne chichoty. Chcę, żebyście mnie dobrze zrozumieli. Rzecz jasna, mając do wyboru kształt bądź brak kształtu, przeważnie wybierałem w swoim wystarczająco długim życiu kształt, ale żeby kształt sam w sobie był celem natarcia – nigdy, przenigdy. Byłem zawsze w tym względzie łowcą integralności jako takiej. A poza tym, tyle panowie zapewne wiecie, brak kształtu nie daje wprawdzie żadnych gwarancji, ale nie musi też być żadną przeszkodą w osiąganiu najdalej idących uniesień. W końcu, wieleż razy wspomnę moją nieszczęsną wychowanicę Emilię, moje najdramatyczniejsze niespełnienie

(a wspominam ją coraz częściej), tylekroć dochodzę do wniosku, że gdyby nie moja pożałowania godna małoduszność, osiągnęlibyśmy z Emilią wszystko i dotarli wszędzie. Tak, jestem absolutnie pewien, iż gdyby nie mój brak wspaniałomyślności, wspięlibyśmy się z Emilią na miłosne wierchy... Jestem tego absolutnie pewien, a przecież kształty mojej świętej pamięci wychowanicy Emilii to była, przynajmniej z punktu widzenia elementarnych kategorii przestrzennych, klęska absolutna... A tu, proszę, absolutna, spowita w wiotkie biele pełnia stoi na krawężniku ulicy Wiślnej, stoi na krawężniku przed sklepem z obuwiem sportowym, stoi i kogoś wypatruje. Czeka. Nie skraca sobie oczekiwania na przykład oglądaniem wystawy sklepu z obuwiem sportowym, nie przygląda się światu czekając, nie, ona czeka. Teraz jest jej czas czekania. A światu ona nie musi się już przyglądać, ponieważ wie ona o świecie wszystko. Jej świat jest uporządkowany, wszystko w jej świecie ma swój czas (teraz jest czas czekania), ona ma masę spraw i teraz pomiędzy jedną a drugą sprawą... czeka. Panowie, czuję, że nie wyrażam się jasno: idzie o to, iż to absolutne ucieleśnienie doskonałości cielesnej nie miało prawa mieć żadnych spraw poza cielesnymi, a z kobiecą obłudą dawało do zrozumienia, że ma takie sprawy. Uległa ona samiczemu złudzeniu, iż skoro problem formy jej ciała jest rozwiązany doskonale, to znaczy, że w ogóle wszystkie problemy, jakie mogą się temu ciału przydarzyć na świecie, są też rozwiązane doskonale. Panowie, ona była najpiękniejszą kobietą świata i w związku z tym uważała, że życie jest logiczne. Mijający ją mężczyźni na widok tej bogini seksu odchodzili od zmysłów, ona zaś daremnie odgrywała rolę osoby wyższej od własnego ciała.

Ponieważ sama nie zwracała uwagi (dawała do zrozumienia, że nie zwraca uwagi) na własne ciało, które było doskonałe, nie mogła też, rzecz jasna, tym bardziej nie mogła zwracać uwagi na inne ciała, mniej przecież doskonałe. Jakże w końcu ktoś tak absolutny i tak nasycony własną doskonałością jak ona mógłby turbować się niedoskonałymi korpusami drugich, niedoskonałymi już choćby przez to, że okazywałyby one swoje nią zainteresowanie, niedoskonałymi poprzez swoją wobec niej fizjologiczną wylewność. W ten daleko idący sposób obłuda w udawaniu obojętności wobec własnego ciała skazywała ją na obojętność wobec

świata. Krótko mówiąc, niczego w tej arcydupie nie było oprócz seksu, ona zaś dawała do zrozumienia, iż jest w niej wszystko oprócz seksu…

– Na tym polega ich władza nad nami – powiedział ktoś po chwili pełnej dojmującej goryczy.

– Jeśli o mnie idzie, to lubię władzę kobiet. – Od razu pomyślałem, że teraz mówi największy figlarz, żartowniś i psotnik spośród konwojentów, tak pomyślałem i nie myliłem się – jeśli o mnie idzie, to lubię władzę kobiet, ponieważ lubię władzę, którą można robić w konia.

I znów rozległy się śmiechy, chichoty, delikatny brzęk szkła, pociąg znów zwolnił biegu.

– A ja swego czasu byłem z zapracowaną wdową z trójką dzieci – mówił ktoś rozdygotanym i skłonnym do płaczu głosem. – A ja swego czasu byłem z zapracowaną wdową z trójką dzieci – powtórzył raz jeszcze, może powtarzał któryś raz z rzędu, wbrew niesłyszalnym pomrukom niedowierzania, które, choć niesłyszalne, musiały wszak przydać mu siły, bo wreszcie straceńczo rzucił się w wir opowieści.

– Tak. Byłem z zapracowaną wdową. Choć była wdową, nie miała kłopotów finansowych, myślę, że wręcz można by ją nazwać bogatą wdową, mąż nieboszczyk, który umarł nie wiem czemu, nigdy nie chciała o tym mówić, mąż nieboszczyk najwyraźniej zostawił majątek i dochód. Wdowa zagłuszała swoje wdowieństwo niezliczoną ilością powinności i obowiązków oraz pewną nadgorliwością w wykonywaniu prac codziennych. Zawsze wydawało mi się, że ona trochę „bardziej” gotuje rosół, trochę „bardziej” odkurza dywan, trochę „bardziej” prasuje bluzkę. Szczególnie zajadle, to znaczy z niezwykle zajadłym macierzyństwem zajmowała się trójką półosieroconych dzieci. Całą trójkę wychowywała perfekcyjnie w sensie ogólnym, ale też każdy z tych dotkliwie przeze mnie znienawidzonych smarkaczy miał swoją narzuconą im przez matkę specjalizację. Najmłodsza dziewczynka chodziła na balet, średnia grała na pianinie, a najmłodszy chłopczyk uczył się wielu języków obcych. Rzecz jasna, moja zapracowana wdowa ściśle nadzorowała każdą z tych edukacji i to nadzorowała w tak typowy dla siebie zachłanny sposób, iż odnosiłem nieodparte wrażenie, że to ona sama ćwiczy w balecie, gra na pianinie i uczy się wielu języków obcych. I w pewnym sensie tak zresztą było: ona istotnie ćwiczyła, grała i uczyła się. Rozumiecie panowie, to wszystko były

rzeczy bardzo trudne, trudna była jej nadgorliwość w wykonywaniu codziennych czynności, trudne było jej wdowieństwo, trudny był jej kult nieboszczyka męża (pytałem ją na przykład o godzinę, a ona mówiła, że delbana po nieboszczyku chodzi do dzisiaj bez nakręcania), trudna była obecność jej dzieci, trudne były jej rozległe zainteresowania, najtrudniejszą wszakże rzeczą, jej, rzekłbym, najboleśniejszą manią było ramkarstwo. Tak. Ramkarstwo. Moja zapracowana wdowa miała patologicznie rozległą paletę zainteresowań i w dodatku spora część tej palety ujęta była i dosłownie, i w przenośni w ramki. O co chodzi? Chodzi o rzeczy trywialnie proste. Na przykład moja zapracowana wdowa była niedzielną malarką i swoje prace, malunki czy też rysunki, najzwyczajniej w świecie oprawiała w ramki i wieszała na ścianie. Fotografowała (miała kilka aparatów fotograficznych, osobny do zdjęć czarno-białych, osobny do zdjęć kolorowych, osobny do zdjęć błyszczących i osobny do zdjęć matowych) i uczynione przez siebie fotografie oprawiała w ramki i wieszała na ścianie, kupowała w antykwariatach stare ryciny, które następnie oprawiała w ramki i wieszała na ścianie, komponowała interesujące kompozycje z kwiatów (była zapaloną turystką i często wyjeżdżała za miasto), które następnie suszyła, oprawiała w ramki i wieszała na ścianie…

Zapadła nagła cisza, może gwałtownie spadłem w czarną otchłań snu, może opowiadający nieszczęśnik nagle przerwał mówienie, zgubił wątek rażony niepojętym bólem. Chyba zdarzyło się jedno i drugie, musiałem na chwilę usnąć, ale i pechowy konwojent, kochanek zapracowanej wdowy z trójką dzieci, nie był w stanie dalej ciągnąć swojej strasznej opowieści.

– I co, i co? – budziły mnie powolne i ospałe dopytywania. – No i co, co dalej? Co z nią dalej? Co dalej było?

– Nic. Nic nie było. Dalej nic nie było. – Jego głos, na początku historii skłonny do płaczu, stał się teraz głosem nadzwyczaj uroczystym i pełnym godności. – Dalej nic nie było. Kiedy się zorientowałem, że i ja jestem jedną z jej zajadle wypełnianych powinności, którą ona na dodatek najchętniej oprawiłaby w ramki, doznałem upokorzenia i odszedłem.

Ktoś powiedział:

– Już niedaleko, widać Pałac.

– Jeszcze niczego nie widać, jeszcze jest ciemno, jeszcze prawie cała godzina – mówił kto inny i potwornie ziewał i usypiał, i ja tym razem, pod koniec jazdy, usnąłem snem głębokim jak człowiek wiecznie śpiący na holenderskim obrazie albo jak zajadły aparatczyk snu; a potem, kiedy się obudziłem, słyszałem głos ojca, a może dalej we śnie słyszałem szept ojca opowiadającego historię mężczyzny, którego szczególnie ekscytowały kobiety mówiące językami obcymi. Ojciec zmyślał jak najęty, opowiadał o tym mężczyźnie niby jak o sobie, zmyślał i fantastycznie kłamał, nie dziwiło mnie to ani we śnie, ani na jawie, w granatowych czeluściach wolno sunącego przez błotniste równiny ambulansu pocztowego zmyślali wszyscy. Zmyślona przecież była i całkowicie nieprawdziwa i historia o kobiecie biegle władającej piórem, i o piękności stojącej na krawężniku na ulicy Wiślnej, i nawet ten, co opowiadał o fatalnej, zapracowanej wdowie z trójką dzieci, też wszystko wymyślił. Zmyślanie historii, w których się występuje, jest powinnością i nieodpartą pokusą prawdziwego mężczyzny, wymyślona historia jest pieśnią jego życia i śmierci, opowieść przegranego, zmyślona opowieść przegranego jest znakiem zwycięzcy.

– Nie znam języków obcych – mówił głos ojca w ciemności – nie mówię językami i być może dlatego mogłem być, nie tyle wyłącznie, co szczególnie z kobietami, które mówiły językami, przy czym z całą mocą pragnę podkreślić, iż nie było tu żadnej prostej przekładni ilościowej, im więcej, tym lepiej, jeden język, dobrze, dwa języki, bardzo dobrze, trzy języki, bardzo, ale to bardzo ekscytująco, a z poliglotką to prawdziwa orgia. Nie. Symetria nieokiełznana budzi mój opór, wolę symetrię powściągliwą. Wystarczał mi jeden język i jedna kobieta. Zawsze zresztą i zawsze w końcu jest jedna kobieta – kłamał ojciec w żywe, choć pogrążone w ciemnościach oczy konwojentów i pana Trąby.

I dalej opowiadał o jakiejś całkowicie wymyślonej swojej miłości, która mówiła olśniewającą francuszczyzną. Podobno zwłaszcza nieprzyzwoite zdania lubiła ta nieistniejąca kochanica ojca mówić po francusku, na przykład: *Fouts-moi à mort. Et puis écris sur ma tombe que j'ai pris mon pied* – czule szeptała mu do ucha, z dziwnym upodobaniem ta ciemnowłosa romanistka miała też powtarzać raz po raz trzy brzmiące jak magiczne

zaklęcia słowa: *mille, villes, tranquilles, mille, villes, tranquilles,* rzekomo mówiła raz po raz i dziesiątki razy, w każdej sytuacji.

– Kochałem ją – kłamał ojciec. – Chcieliśmy razem uciec na koniec świata, wyobrażaliśmy sobie, że któregoś dnia któregoś upalnego roku wjedziemy ze wszystkim, co mamy, do miasta pełnego rudych psów, umorusanych dzieci i tajemniczych, spowitych w woale i zawoje kobiet (z którymi po latach, takie jest życie, panowie, niechybnie bym ją zdradzał) i będzie tam trwał festyn, *mille villes tranquilles,* ona będzie mówić z zachwytem, zdumieniem, i będziemy mieszkać w domu z widokiem na morze albo w domu z widokiem na łąki, albo w domu z widokiem na ścianę żeńskiego akademika i będziemy tam żyli wiecznie, i co noc śnić się nam będzie tysiąc białych konstrukcji architektonicznych, tysiąc śródmiejskich błoń, tysiąc uśpionych zajezdni tramwajowych i tysiąc rzek przecinających kruche i ciemne jak razowiec śródmieścia.

Wszystko było zmyśleniem w opowieści ojca, nawet sny były zmyślone, to zresztą pół biedy, sny zawsze są zmyśleniem. Ale on kłamał i na samym początku tego wyimaginowanego romansu, kłamał nawet wtedy, gdy mówił, że nie mówi językami. Ojciec już przed wojną mówił po francusku. Nawet w tych nieszczęsnych papierach po nim oprócz Podań, Odwołań, Powołań, Orzeczeń, Oskarżeń jest też kruszejące i żółte jak jego zakopane kości Świadectwo Praktykanta Pocztowego, który 4 maja 1933 roku, zdawszy egzamin przed Komisją Dyrekcji Poczt i Telegrafów w Katowicach, otrzymał następujące oceny: Transport poczty – dobrze. Służba pocztowa – dobrze. Przepisy rachunkowe – dobrze. Język francuski w słowie i piśmie – bardzo dobrze. *Mille. Villes. Tranquilles.*

8

– Wszystko jedno – powiedział pan Trąba – trzeba go zabić i wracać do domu, za miesiąc święta.

Padał drobny deszcz, powietrze nad Warszawą jaśniało, pierwsze śniegi czaiły się w niebiosach. Głowę moją zdobił barwny pióropusz, uginałem się pod ciężarem kuszy, za pasem miałem fiński nóż, na mej piersi zaś lśniła plastikowa gwiazda szeryfa. Przemierzaliśmy prospekt za prospektem, przeszliśmy tam i z powrotem Marszałkowską, Nowym Światem i Alejami Jerozolimskimi, wjechaliśmy na najwyższe piętro Pałacu Kultury i ani razu nie spojrzał na nas nawet pies z kulawą nogą.

– Nie zdawałem sobie sprawy z rozmiarów zniewolenia, u nas na Śląsku jest jednak inaczej – pan Trąba nie ukrywał niesmaku.

Napięcie rosło, fiasko naszej akcji zbliżało się, moim zdaniem, wielkimi krokami.

– Niewinne przebrane za Indianina dziecko, i to z grubsza tylko przebrane – pan Trąba pogłaskał mnie po pióropuszu – to niewinne dziecko, nawet to niewinne dziecko budzi strach. Przecież Jerzyk wygląda jak barwny czarodziejski ptak, jak żar-ptak, co sfrunął na szare ulice tego wilczego miasta z kart baśni i powinien przykuwać uwagę. A tu przeciwnie. Przechodnie zamiast zwalniać, przyśpieszają kroku, zamiast słać życzliwe uśmiechy, posępnieją, zamiast przyjaźnie kiwać głowami, odwracają je z niechęcią.

– Ależ z pana obłudny rozbójnik, panie Trąba. I niewykluczone, że całkowicie myli się pan, jeśli idzie o diagnozę społeczną – ojciec był osobliwie odprężony i zrelaksowany – przecież to niewinne dziecko bierze właśnie aktywny udział w przedostatniej fazie zamachu na życie komunistycznego satrapy i być może naród nasz wyczuwa to z właściwą sobie dziejową intuicją...

– Panie Naczelniku – pan Trąba spiorunował ojca spojrzeniem – przywołuję pana do porządku, nawet w myślach proszę trzymać się

oficjalnej wersji zdarzeń. Jasno przecież widać, że w tym mieście nie tylko ściany mają uszy, w tym mieście uszy są wszędzie…

– Znowu nieostrożność moralna – zaśmiał się ojciec – nieostrożność moralna plus szarganie świętości. Warszawa to nie jest miasto kapusiów. Warszawa to jest miasto bohaterów.

– Miasto bohaterów musi być zarazem miastem donosicieli – pan Trąba niecierpliwie machnął ręką – a poza tym wie pan, panie Naczelniku, gdyby istotnie było tak, jak pan mówi, to znaczy, gdyby istotnie naród nasz z właściwą sobie dziejową intuicją wyczuwał nasze zamiary, niechybnie przyłączyłby się do nas…

– Nie przyłącza się, a przeciwnie, pierzcha, ponieważ wyczuwa także groteskowy rys całego przedsięwzięcia…

– Groteska nie wyklucza przelania krwi – pan Trąba jadowicie cedził sentencję za sentencją – groteska nie wyklucza śmierci, groteska nie wyklucza zastrzelenia Władysława Gomułki z chińskiej kuszy miotającej bełty. Przeciwnie, właśnie groteska daje w całej pełni taką szansę realności. Naród to wie…

– Naród to wie od maleńkości, panie Trąba. – Wydawało mi się przez moment, że ojca ogarnia raptowna i bardzo zasadnicza wściekłość, ale jego dalej nie opuszczał dobry humor. – Naród od maleńkości uczy się na pamięć: „Puszczajcie mię! Puszczajcie! Jam carów morderca!” i podobnych istotnie na wskroś groteskowych bredni. „Idę zabijać… ktoś mię za włos trzyma”. Albo jeszcze lepiej:

> Widma blade i milczące.
> Jak stooki strażnik pawi
> Zaglądają w tamte drzwi
> Gdzie śpi cesarz… Czy ciekawi,
> Jaka barwa carskiej krwi?…

– Zgadzam się z panem, panie Naczelniku, że jeśli idzie o naszych romantyków, to była w przeważającej mierze banda stookich pawi, *ergo* bezkarnych grafomanów obdarzona bezużyteczną sztuką rymowania. Pomijam Adama Mickiewicza, rzecz jasna. Ale nie wchodźmy za głęboko

w literaturę, bo to w gruncie rzeczy zawsze skazuje człowieka na intelektualną jałowiznę. Chcę pana o co innego zapytać – pan Trąba był wysoce niespokojny – z jakiego to w gruncie rzeczy powodu jest pan, panie Naczelniku, w aż tak doskonałym humorze?

– Lubię podróżować – odparł ojciec. – Faktycznie jestem w niezłej formie, ponieważ lubię podróżować. Podróże mnie uspokajają. To po pierwsze. Po drugie zaś, niech pan się nie gniewa, panie Trąba, ale po drugie jestem w dobrym humorze, ponieważ w miłej ekscytacji oczekuję na nieubłaganie nadchodzącą chwilę, kiedy wreszcie damy sobie spokój. Ściśle rzecz biorąc, czekam na ten moment, kiedy wyrwie pan wreszcie zza pazuchy swą krasnoarmiejską manierkę, co ją pan tam od samego początku grzeje, łyknie pan zdrowo, mnie, a może i Jerzyka poczęstuje i następnie wszyscy odprężeni udamy się, na przykład, do mitycznej knajpy „Kameralna", aby pobiesiadować trochę przed powrotną drogą.

– Nie chce mi się ruszać głową, więc pozwoli pan, że kolejny raz ograniczę się do machnięcia ręką – pan Trąba uniósł ramię i wykonał samą dłonią wykwintny gest przeczący. – Nie ma odwrotu, panie Naczelniku – powiedział przeraźliwym, bo absolutnie wiarygodnym w swojej bezradności głosem. – Nie ma odwrotu, a jak pan wie, kara za dezercję jest jedna. Mam nadzieję, że nie po to pani Naczelnikowa odpiłowywała gałkę od wieczka pamiątkowej cukiernicy i nie po to ludzie Arcymajstra Swaczyny utaczali z niej śmiercionośny grot, bym teraz musiał ten kawałek srebra zanurzać w pańskim sceptycznym mózgu.

Ojciec bez słowa przyglądał się panu Trąbie, przez chwilę być może jeszcze myślał, czy aby istnieje jakiś desperacki sposób obrócenia wszystkiego w żart. Zaczynałem się bać, strach, prawdziwy strach przystępował do mnie, ziemisty półksiężyc powoli wschodził w pustej perspektywie Nowego Światu. Jak zwykle w takich sytuacjach szukałem ulgi w zgadywaniu tego, co ma zostać powiedziane, skupiłem się i natężyłem i wyszło mi niezbicie, że ojciec będzie na razie milczał, a pan Trąba niedługo powie: „rurka z kremem i tyle".

Deszcz padał coraz większy i wydawało się, że nie tylko przechodnie, ale i architektura pierzcha przed nami, z obu stron biegły jakieś domy, prawie nic jednak nie było widać, zupełnie jakbyśmy szli ledwo zaznaczoną drogą przez deszczowe równiny.

– A jeśli już o szanownej pani Naczelnikowej mowa, to przypominam, że obiecaliśmy wyekspediować widokówkę. Mój serdeczny druh z czasów studenckich, najprzewielebniejszy ksiądz Biskup przysyła jej wprawdzie pocztówki z całego świata, ale do kolekcji najwyraźniej brakuje Warszawy. – Pan Trąba mrużył oczy i daremnie w absolutnej pustce wypatrywał sadyb ludzkich, wciągał powietrze, łowił w nozdrza zapach dymu idącego z jakiegokolwiek komina.

***

Istotnie, kartki od Biskupa przychodziły z całego świata, przeważnie pisał z mitycznych krajów, w których żyli sami ewangelicy, z widoków Sztokholmu, Kopenhagi czy Helsinek układałem całkowite obrazy tych miast, najtajniejsze i nieznane nawet rdzennym Szwajcarom zaułki Genewy znałem na pamięć, w razie czego mogłem zawsze sprawdzić czas na słynnym kwietnym zegarze (*l'horloge fleurie*), fantastyczna fontanna u brzegów Jeziora Genewskiego nudziła mnie już śmiertelnie raz na zawsze wykutym w wodzie kształtem, podobnie zresztą jak szwajcarskie znaczki ze swoim monumentalnym Helvetia, Helvetia, Helvetia.

Matka nie pozwalała ich odklejać, prawdę powiedziawszy, w ogóle nie lubiła, gdy ruszało się kartki od Biskupa, odnosiłem nieodparte wrażenie, że niechętnie dzieli się nawet oglądaniem światowych widoków. Wyglądało to nieraz tak, jakby same nasze spojrzenia miały w sobie jakieś jadowite, kancerujące moce. Chryste Panie, a co się działo, kiedy nie oparłem się jednak pokusie i odkleiłem trzy olśniewające jak karnacja pani Pastorowej znaczki z widokówki przysłanej przez Biskupa z Tanzanii! Nie mogłem się oprzeć, musiałem ulec, niebiosa na każdym z tych znaczków miały inny kolor, na pierwszym murzyńscy pasterze paśli bydło na trawiastych dolinach i niebo nad nimi było pomarańczowe, na drugim murzyńscy rybacy wyciągali z morza sieci pełne ryb i niebo nad nimi było zielone, na trzecim murzyńscy drwale pracowali w dżungli i tuż nad ich kędzierzawymi głowami płynęły granatowe obłoki. Odkleiłem te znaczki nad parą, pismo Biskupa, który pisał zawsze wiecznym piórem, rozmazało się, pozostało jedynie zdanie: „Wczoraj miałem kazanie do czarnych jak węgiel słuchaczy", matka płakała. Potem gdzieś skryła okaleczoną przeze

mnie kartkę. (Znaczki trojga niebios z powrotem przykleiła klejem roślinnym).

Zakradałem się pod jej nieobecność, otwierałem szafę, spod jej sukien pachnących olejkiem różanym wyciągałem pudełko po szwajcarskich czekoladkach „Toblerone", w którym przechowywała widokówki, przeglądałem państwo po państwie, miasto po mieście, Edynburg, Nairobi, Berlin, Ateny, Amsterdam, Helsinki, Ameryka, Anglia, Bułgaria, Szwecja, Dania; Tanzanii nie było nigdzie, przeszukiwałem wszystkie zakamarki szafy, jak gąbka nasiąkałem olejkiem różanym, świętokradczo sięgałem nawet do kieszeni niedzielnego żakietu, otwierałem świąteczną torebkę, przeglądałem strona po stronie *Homiletykę ewangelicką, Okruchy ze stołu Pańskiego* i inne pisma Biskupa – kartka z trzema niebotycznymi znaczkami zniknęła na wieki.

***

Spoza strug deszczu wyłonił się wypełniony wszelkim dobrem kiosk „Ruchu", kioskarz o nadzwyczaj nieprzychylnym wyrazie twarzy był pierwszym człowiekiem w tym mieście, który wreszcie jął przyglądać mi się z uwagą, prawdę powiedziawszy, nie spuszczał ze mnie oka, gapił się na mnie nienawistnie, ojciec kupił „Trybunę Ludu" i „Tygodnik Powszechny", pan Trąba zastanawiał się, który widok Pałacu Kultury wybrać, kioskarz wysunął głowę przez okienko i krzyczał w ataku niepoczytalnej wściekłości:

– Kolędnicy! Mikołaje! Turonie! Ludzie, święta za miesiąc, a tu już po kolędzie chodzą! Mikołaje! Diabłowie kopytni! Aniołowie skrzydlaci!

Byłem pewien, że pan Trąba uciszy go jakąś światową ripostą, że zgasi dziada jedną celną frazą, ale panu Trąbie nagle zaczęły trząść się ręce, ledwo był w stanie zapłacić, ledwo był w stanie utrzymać widokówkę w dłoniach. Odeszliśmy parę kroków, wciąż słychać było sensacyjny krzyk kioskarza, deszcz zacinał ze zdwojoną siłą.

– Ma pan absolutną rację, panie Naczelniku – pan Trąba blady był jak ściana, dyszał ciężko, trzymał się otwartą dłonią za serce, a może dotykał charakterystycznej wypukłości, jaka w jego jesiennym palcie czyniła się akurat na wysokości serca, w każdym razie tak czy tak podtrzymywał

samego siebie. – Ma pan absolutną rację, przychodzą kryzysy, rosną wątpliwości, im bliżej godziny egzekucji, tym rozpaczliwszy jest mój głód alkoholu. Ma pan absolutną rację i dobrze pan to wszystko przewidział. Rzecz wszakże w tym, że i ja to przewidziałem. Picie, prawdziwie przedśmiertne picie jest intensywnym kursem samoświadomości i doprawdy byłbym ciężkim frajerem, gdybym nie brał pod uwagę okoliczności, iż mój zdruzgotany system nerwowy na kilka godzin przedtem pójdzie w całkowitą rozsypkę i pocznie się domagać elementarnych ukojeń. Otóż powtarzam, ta nieprzewidziana, choć skądinąd absolutnie przewidywalna okoliczność została w moich planach starannie rozważona. Panowie, nie patrzcie na mnie w tak paniczny sposób, mówienie mnie uspokaja, nie zwariowałem do szczętu w ostatniej chwili, mówienie mnie uspokaja, i co więcej, ponieważ odczuwam nieprzepartą ochotę napicia się, ochotę tę zamierzam koić w ten sposób, iż będę cały czas rozprawiał o piciu. Chcąc nie chcąc pan, panie Naczelniku, i ty, Jerzyku, spędzicie dzisiejsze popołudnie, słuchając mojego obszernego, definitywnego i testamentalnego wykładu o formalnym kunszcie i treściowej tragiczności sztuki picia. I wybaczycie, panowie, ale mimo wszelkie przesłanki, nie zaproszę was w tym celu do mitycznej restauracji „Kameralna", zapraszam was natomiast do najwyborniejszej, tak jest, do najwyborniejszej cukierni w Europie Wschodniej. Zapraszam. Jesteśmy blisko, dwa kroki stąd.

I po kilku minutach przekroczyliśmy progi najwyborniejszej cukierni w Europie Wschodniej, i zostawiliśmy mokre płaszcze i chińską kuszę miotającą bełty w szatni (dystyngowanemu szatniarzowi nawet nie drgnęła powieka) i siedliśmy za stolikiem w przytulnym wykuszu i najpiękniejsza kelnerka Europy Wschodniej, a może nawet najpiękniejsza kelnerka świata raz po raz do samego wieczora przynosiła nam kawę, lemoniadę i rurki z kremem.

Jeśli powiem, że od tamtego popołudnia, od tamtego deszczowego popołudnia, kiedy to ostatnie godziny przed zabiciem Gomułki skracaliśmy sobie pożeraniem monstrualnych ilości rurek z kremem, popijając je kawą i lemoniadą, otóż jeśli powiem, iż od tego czasu organizm mój żywi niejaką urazę do rurek z kremem, jeśli tak powiem, nie

będzie to zaskoczeniem. A zatem mówię: mimo iż jestem łakomym na łakocie łasuchem, mimo iż nie wyobrażam sobie wieczoru bez tabliczki mlecznej czekolady, mimo iż jak na człowieka w średnim wieku żywię nadmierny kult słodyczy, mimo iż jak na mężczyznę, który z zajadłym bezwstydem czterdziestoparolatka teraz, w połowie lat dziewięćdziesiątych, ugania się za anielicami wyzwolonymi z moskiewskiego jarzma, mimo iż potrafię się ze zgoła niemęską łapczywością obżerać słodyczami wszelkiej maści – rurek z kremem do ust nie biorę.

Pan Trąba położył na obrusie kartkę z wizerunkiem Pałacu Kultury, wyjął z zanadrza atramentowy ołówek i zewnętrznie napięty, a zarazem pełen wewnętrznych dygotów usiłował roztrzęsioną dłonią napisać adres.

– Widział pan kelnerkę? – zapytał ojciec. – Prawdziwa *cul du siècle*, niech pan spojrzy na jej szyję, od razu się pan lepiej poczuje. Jeden głód należy niwelować innym głodem.

– Na razie nawet patrzeć nie potrafię, na razie nawet widzieć nie umiem. Jaskółki dymówki fruwają we mnie jak oszalałe – pan Trąba był ucieleśnieniem czarnej rozpaczy – muszę zastosować przynajmniej blokadę energetyczną. Chwała Bogu, idzie…

Odziana w czarną spódnicę i białą bluzkę najpiękniejsza kelnerka świata nadchodziła z głębi ciemnej i pachnącej cukrem pudrem sali. Kiedy zaś postawiła przed panem Trąbą rurki z kremem (trzy), ten natychmiast pożarł jedną po drugiej. Gargantuiczne to były chwile, ponieważ nieświadom swoich panicznych odruchów miażdżył rurki palcami, krem spływał mu po brodzie, okruchy sypały się wszędzie, ale trzeba przyznać, iż w miarę jedzenia gorejące w jego oczach czarne płomienie śmierci gasły z wolna, po ostatnim zaś, nie byle jakim kęsie zgasły całkowicie.

– Lepiej – powiedział pan Trąba – znacznie lepiej, blokada energetyczna jest rozwiązaniem prowizorycznym, a jednak jest to jakieś rozwiązanie.

Potem wytarł usta kraciastą chustką do nosa, otrzepał okruszyny, poślinił atramentowy ołówek i zaczął pisać, a pisząc sylabizował to, co pisze:

> Szanowna i droga pani Naczelnikowo. Dojechaliśmy dzięki Bogu szczęśliwie. Za parę godzin zrobimy to, co mamy zrobić, a w co pan Naczelnik dalej nie wierzy, że zrobimy. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem i gdy wreszcie stanie się, co się ma stać, ja zbiegnę, pan Naczelnik zaś zostanie pojmany i na długie lata zakuty w kajdany i zamknięty w kazamaty. Moglibyśmy wtedy wreszcie, najdroższa pani Naczelnikowo, połączyć swoje losy. Pan Naczelnik zaś miałby możność kurowania swojego nieuleczalnego sceptycyzmu i dobitnego przekonania się, iż to, co jest, nie jest fikcją, a prawdą. Jerzyk jest całkowicie bezpieczny i dopisuje mu apetyt. O wszystkich pozostałych wrażeniach, których mamy masę, opowiemy po powrocie…

– Panie Trąba, panie Trąba – ojciec uśmiechał się kwaśno – ojczyzna w potrzebie, za parę godzin mamy własnoręcznie zabić namiestnika Moskwy, a panu amory w głowie…

– Nie amory, a miłość życia, niechże się pan da wreszcie przekonać, że ja nie operuję konstrukcjami literackimi, a fenomenami egzystencjalnymi.

– Oto ma pan fenomen egzystencjalny – ojciec przywołał najpiękniejszą kelnerkę świata i przebiegle cichym głosem, tak by musiała się nad nimi pochylić, zamówił następną kolejkę rurek z kremem.

– Zaiste, ma pan rację – pan Trąba gapił się bezwstydnie – już widzę, już umiem widzieć. Przepraszam najmocniej, jak pani ma na imię?

– Zosia – odparła z powagą najpiękniejsza kelnerka świata. – Zosia, rocznik tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć.

– Bardzo nam miło, pani Zosiu rocznik tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć – skłonił się pan Trąba – bardzo nam miło. My jesteśmy nieznanymi partyzantami z Wisły.

– Partyzanci nie jedzą ciastek – roześmiała się Zosia rocznik 1939.

– Ach, pani Zosiu, mało pani miała do czynienia w życiu z partyzantami. A czym się zajmuje szanowny narzeczony?

– Gra w piłkę w Legii – powiedziała bez entuzjazmu i dodała po chwili – ale on nie jest moim narzeczonym. Nie kocham go. Bardzo panów partyzantów przepraszam, ale woła mnie szef kuchni.

Istotnie, w otwartych, jaśniejących złotym blaskiem niczym bramy raju drzwiach wiodących na zaplecze pojawił się niesłychany kucharz

w niesłychanej czapie i Zosia rocznik 1939 obróciła się na pięcie i krokiem gazeli pobiegła w jego kierunku.

– Istotnie, gwiazda piękności stojącej na krawężniku na ulicy Wiślnej gaśnie – powiedział pan Trąba, śląc nostalgiczne spojrzenia – ale też, panie Naczelniku, biała bluzka i czarna spódnica to jest absolutny kres doskonałości damskiej garderoby. Nigdy, nigdzie, żadna kobieta nie wdzieje na siebie doskonalszej szaty niż biała bluzka i czarna spódnica. Tak. Biała bluzka i czarna spódnica. Rekwizyty godne najgłębszej analizy. Będziemy mieli o czym debatować w drodze powrotnej. Teraz wszakże – pan Trąba wypił łyk lemoniady i wygodniej usiadł na krześle – teraz wszakże pozwolicie, panowie, że zajmę waszą uwagę kwestiami fundamentalnymi.

***

– Kiedy pan, panie Naczelniku, oznajmił, iż podróże go odprężają, ja również uświadomiłem sobie, iż odczuwam ulgę z powodu opuszczenia choćby na krótko ziemi cieszyńskiej, tej wybranej krainy domorosłych filozofów. Ale prócz ulgi w sercu moim poczęły wzbierać strach, niepewność i potworne łaknienie, wiecie, panowie, czego. Pomyślałem sobie tak: rzecz, na którą się porywamy, jest do tego stopnia sprzeczna z naszymi naturami, że nie ma siły, by się powiodło, bo się nie powiedzie. Demon kapitulacji zagościł w sercu moim. Bo nasz dramat, panie Naczelniku, polega i na tym, że my z racji urodzenia, wychowania, wyznania, natury i psychofizycznych predyspozycji z całą pewnością nie jesteśmy zamachowcami. My jesteśmy raczej z racji wszystkich wymienionych i tysiąca innych powodów urodzonymi negocjatorami. Przecież ja bym w głębi duszy wolał zamiast go zabijać, negocjować z nim. Zamiast wszczynać i, co gorsza, definitywnie ucieleśniać mój wielki plan przedśmiertny, wolałbym, po stokroć bym wolał, żebyśmy do tego całego Gomułki poszli i powiedzieli: jest tak a tak, towarzyszu, słowem, byłoby lepiej, jakbyście odeszli, byłoby lepiej, jakbyście odeszli, polski Dżyngis-chanie, można by nawet zaświecić mu w oczy racą dwuznacznego komplementu, wypić z nim kielicha i całą sprawę załatwić polubownie.

– Nasza sprawa przegrała z kretesem, towarzyszu sekretarzu, wy odchodzicie, my zostajemy – powiedział ojciec.

Pan Trąba aż prychnął z zachwytu, aż się zachłysnął, aż się podniósł z miejsca.

– Majstersztyk, po prostu majstersztyk, rzadko, trzeba powiedzieć, się pan odzywa, ale jak już, to majstersztyk.

– Jak zwykle cytuję „Trybunę Ludu" – ojciec uśmiechał się posępnie.

– Dobre użycie cytatu nieraz więcej warte niż myśl oryginalna, a już użycie każdego cytatu z „Trybuny Ludu", tak by był on dorzeczny, wzmaga jego sens i czyni myśl oryginalną... Tak czy tak, to są mrzonki – ciągnął pan Trąba po chwili milczenia – tak czy tak. Być może jesteśmy urodzonymi negocjatorami, ale my zabójcy *in spe* jesteśmy też zwyczajnie dobrymi i łagodnymi ludźmi. I gdybyśmy nawet doszli do niego, i gdybyśmy nawet wyłożyli mu swoje racje, my zostajemy, wy odchodzicie, i tak dalej, to przecież potem on by nas z kolei jął wszechogarniać swoją ślusarsko-leninowską logoreą, jął by nas przekonywać, wydobywszy z kredensu butelkę francuskiego koniaku, pani Gomułkowa podałaby własnoręcznie upieczone ciasto... A tak, panie Naczelniku, ona gotuje i piecze w domu, w tym sensie nasz cesarz żyje skromnie.

Istnieją świadectwa członków Komitetu Centralnego, którzy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku odwiedzili Gomułkę w domu celem przekazania mu władzy nad krajem, otóż wyglądało to w ten sposób: w jadalni trwały obrzędy koronacyjne, natomiast z kuchni dochodził cały czas potworny łomot, to pani Gomułkowa tłukła na desce kotlety wieprzowe... I teraz zapewne także aura domowości poczęłaby nas uwodzić, od słowa do słowa, powoli, powoli, jęlibyśmy potakiwać, tyran z bliska jąłby się nam wydawać coraz mniej fatalny, coraz mniej krwawy, a w końcu przekonani i pokonani wyszlibyśmy z niczym, on zaś by pozostał i, co więcej, pozostałby umocniony w swojej władzy. Nie ma rady – westchnął pan Trąba – nie ma rady, trzeba go zabić.

Pan Trąba podniósł do ust kolejną rurkę z kremem, zjadł ją powoli, wykwintny kęs za wykwintnym kęsem, wypił łyk kawy, wypił łyk lemoniady i mówił dalej:

– Nie mam wyboru. Ponieważ niczego nie umiem, nie mogę wybrać dziedziny, w której mógłbym czegoś przed śmiercią dokonać. Nie umiem tańczyć, nie umiem prowadzić samochodu, nie umiem jeździć na nartach, nie umiem pływać, nie mówię językami, nie władam siekierą ani żadnym innym narzędziem, nie znam się na przyrodzie, ani ze mnie technik, ani humanista, nie znam się na sztuce ani na literaturze, nie jestem majsterkowiczem ani kolekcjonerem, nie jestem nawet wbrew pozorom kokietem, co kokietuje spisem swoich nieumiejętności. Od maleńkości moje życie układało się fatalnie, po ukończeniu zaś dziewiątego semestru teologii jąłem upadać fizycznie i duchowo. Mój kompan z ławy szkolnej, najprzewielebniejszy ksiądz Biskup, wytrwał, ukończył, obronił, pisał, pracował, prowadził działalność, kierował parafiami, wspiął się po szczeblach, aż został biskupem Kościoła. Nie zazdroszczę mu, choć przecież ilekroć myślę o nim, myślę też, że gdyby moje życie nie było życiem fatalnym, a budującym, jego życie byłoby moim życiem. Choć i to nieprawda, że mu nie zazdroszczę, zazdroszczę mu, zwierzęco mu zazdroszczę, że może ze wszystkich stron świata wysyłać widokówki do pani Naczelnikowej, i zazdroszczę mu pieczołowitości, z jaką pańska małżonka, panie Naczelniku, gromadzi, przechowuje i porządkuje tę ulotną korespondencję…

Oczywiście bywały w moim zmarnowanym życiu chwile, kiedy to przychodził mi do głowy ryzykowny pomysł, by poza piciem opanować jeszcze jakąś z ziemskich umiejętności, po namyśle wszakże wszystkie te pomysły odrzucałem. Piłem całe życie i picie było moją pracą i moim wypoczynkiem, moją miłością i moim hobby. Picie było moją sztuką, moim koncertem i moim kunsztownie napisanym sonetem. Picie było moim poznaniem, moim opisem, moją syntezą i moją analizą. Tylko amatorzy, laicy i grafomani twierdzą, że pije się po to, aby złagodzić potworność świata i stłumić nieznośną wrażliwość. Przeciwnie, pije się, by pogłębić ból i wzmóc wrażliwość. Zwłaszcza w takim przypadku jak mój: kiedy niczego nie ma poza piciem, należy z picia uczynić sztukę, należy poprzez wódkę dotknąć sedna rzeczy, a sednem rzeczy jest śmierć. Skoro człowiek jest skazany na ból, skoro człowiek sam skazuje się na ból, należy stać się wirtuozem bólu. I ja, Józef Trąba, arcymistrz własnego bólu, teraz, kiedy moja mdła cielesna powłoka odmawia dopełniania jedynej umiejętności,

którą posiadła, ja, Józef Trąba, postanowiłem, zanim umrę z powodu jednej z siedmiu niezawodnych przyczyn, postanowiłem posiąść jeszcze jedną i jednorazową z ziemskich umiejętności, a jest to, jak od dawna wiemy, umiejętność zabicia pierwszego sekretarza Władysława Gomułki.

I aby panowała absolutna jasność – pan Trąba nieznacznie podniósł głos – aby panowała absolutna jasność, z całą mocą pragnę podkreślić, iż ja za swój los nieszczęsny nie winię Moskwy. Pana, panie Naczelniku, upodliła Moskwa, mnie w żadnym wypadku. Poza mną nikt za mój los nie ponosi winy. Gdybym był prawdziwie wielką indywidualnością, poradziłbym sobie ze wszystkim. Moskwa, owszem, rozkłada ten kraj, udaremnia wszelkie inicjatywy i przedsięwzięcia, gnoi oraz zeszmaca ludzi, ale prawdziwie wielkie indywidualności radzą sobie z Moskwą. Przecież na dobrą sprawę nie da się nawet powiedzieć, że Moskwa stanowi prawdziwe wyzwanie dla prawdziwie wielkich indywidualności, bo nie stanowi, nie jest żadnym partnerem, nie jest żadnym przeciwnikiem, można w gruncie rzeczy z nią sobie poradzić z dziecinną łatwością. Prawdziwie wielka indywidualność łatwo, wbrew Moskwie, nauczy się języków obcych, będzie studiować klasyków, zgłębiać filozofię, słuchać wielkich kompozytorów, nawet podróżować. Prawdziwie wielka indywidualność radzi sobie z aksamitną rusyfikacją tego kraju w ten sposób, iż perfekcyjnie opanowuje język Gogola, bo przecież nie język Stalina. Tak jest, panie Naczelniku, gdybym był ciut, ciut mocniejszym człowiekiem, suwerennie panowałbym nad sobą i swoimi niezliczonymi umiejętnościami. Ponieważ jednak jest zgoła inaczej, wchodzę do historii wąską ścieżką barbarzyńców.

Pan Trąba spojrzał na zegarek, potem powiódł spojrzeniem po nas i po ciemnym wnętrzu cukierni, jakby szukał tam smukłego cienia najpiękniejszej kelnerki świata i powiedział:

– Trzeba zapłacić rachunek i czynić naszą powinność.

***

Staliśmy w przenikliwym chłodzie, pod bezlistnymi topolami, deszcz przestał padać, listopadowe gwiazdozbiory kręciły się nad nami.

– Już niedługo – powiedział pan Trąba i delikatnym ruchem zdjął kuszę z moich ramion. – Po powrocie ochroniarze na parterze zasłonią okna, żeby nikt nie widział, jak chleją wódę i grają w karty. Natomiast u niego na piętrze zasłony, a nieraz i firanki są do późnej nocy odsłonięte. Przypadkowi przechodnie i sąsiedzi powiadają, że nieraz bardzo dobrze go widać, zwłaszcza kiedy stoi w oknie i pali papierosa, połówkę papierosa, bo on z powodów oszczędnościowych pali połówki. W szklanych fifkach.

– Jest pan pewien, że pan trafi, umie pan w ogóle z tego strzelać? – miałem wrażenie, iż od początku wyprawy ojciec po raz pierwszy zainteresował się realnym przebiegiem wydarzeń i po raz pierwszy spojrzał na chińską kuszę miotającą bełty.

– Umiem i trafię – odparł pan Trąba, a szept jego był lodowaty.

– Właściwie gdzie i kiedy nauczył się pan i wyćwiczył? – dociekał ojciec.

– Panie Naczelniku, a w Boga pan wierzy? Wierzy pan, prawda? A jak pan doszedł do biegłości i wprawy w wierze? Nie kombinował pan, nie borykał się pan z problemem, czy jest panu dana łaska wiary, czy nie, po prostu pan chodził do szkółki niedzielnej, na religię, na naukę konfirmacyjną do kościoła, odmawiał pan modlitwy, śpiewał pan psalmy, słowem, w ogóle i pod każdym względem zachowywał się pan jak rasowy wierzący, pełnokrwisty ewangelik i ani się pan obejrzał, jak się pan stał rasowym wierzącym, pełnokrwistym ewangelikiem… Widzi pan, ze strzelaniem z kuszy jest tak samo.

– Pan wybaczy, ale pański wywód jest dla mnie za trudny, panie Trąba.

– Idzie mi o aspekt duchowy – pan Trąba nieoczekiwanie i bardzo osobliwie zachichotał – idzie mi o aspekt duchowy plus ćwiczenia oczywiście. Ćwiczenia są drogą żywota. A poza tym nie należy zapominać, że jest to – pan Trąba uniósł kuszę do ramienia – broń starych Chińczyków – należy zatem uwzględniać nauki starych Chińczyków. A starzy Chińczycy powiadają, iż strzelając do celu należy się uwolnić od trywialnej myśli o konieczności trafienia. Strzała ma mieć duchowy zasięg, strzelec musi zaś trwać w intensywnym napięciu, aż strzał spadnie nań jak dojrzały owoc, jak śnieg z bambusowego liścia…

Słychać było nadjeżdżające samochody i motocykle, trzaskanie drzwiczek, głosy, w ciemnych oknach, w które wpatrywaliśmy się od dobrej

godziny, zapaliły się światła. Pan Trąba wydobył zza poły płaszcza umocowaną tam na specjalnie przez matkę wszytych pętelkach strzałę ze srebrnym grotem i z niezwykłą pieczołowitością umieścił ją na łożu kuszy. Rozległo się przeraźliwe krakanie, chyba tysiąc żałobnych ptaków siedziało na krzewach.

– Wrony żyją po kilkaset lat, będą pamiętać tę chwilę wieki po naszej śmierci – powiedział ojciec.

– Nie tylko one – pan Trąba starannie mierzył w kierunku oświetlonych okien. – Nie tylko one będą pamiętać, panie Naczelniku… Jest, widzę go! Starzy Chińczycy uczą, by przed trafieniem w cel pokłonić się celowi.

Pan Trąba na moment oderwał kuszę od ramienia, skłonił się, błyskawicznie przytknął ją z powrotem i, prawie nie celując, pociągnął za spust. Usłyszałem świst strzały, brzęk rozbijanej szyby i zapadła absolutna cisza, wrony też umilkły. Po chwili rozległ się krótki, rozpaczliwy krzyk kobiecy, zaczął szczekać pies, słychać było tupot, ktoś biegł w naszym kierunku.

– Dostał. Rozdzielamy się – pan Trąba mówił niesłychanie spokojnym, prawie że sennym głosem. – Jerzyk biegnie do swojej znajomej, my, panie Naczelniku, w kierunku dworca, ale osobnymi trasami. Ku chwale ojczyzny, panowie – pan Trąba wziął szeroki i płynny rozmach i cisnął kuszą w koronę drzewa, wrony poderwały się do lotu, chińska kusza miotająca bełty zawisła na nieprzejrzanych wysokościach.

***

Biegłem ciemnymi uliczkami i połykałem łzy, nie wiem czemu. Chyba żal mi było kuszy, co cały dzień mi nieznośnie ciążyła, żal mi było bezpowrotnie utraconej zabawki i dziś jeszcze, ile razy bywam w Warszawie, ile razy jestem w tym wilczym mieście, które jest teraz jak biblijne targowisko, tyle razy staję pod tamtą topolą i z zadartą głową wypatruję na wieki wrośniętego w gałęzie i konary i zasnutego pokoleniami liści kształtu chińskiej kuszy. Biegłem ciemnymi uliczkami i wpadłem w ciemną bramę, i wspinałem się po ciemnych schodach, i anielica mojej pierwszej miłości nic a nic nie zmieniona, w tym samym swetrze do połowy uda, otwarła mi drzwi i, tak jak przypuszczałem,

zupełnie nie zdziwiła się na mój widok. I cały wieczór siedziałem za stołem i grałem z jej mężem w szachy, ona zmieniała sukienki w głębi mieszkania, czesała się przed lustrem i dawała mi od czasu do czasu tajne i czułe znaki. Grałem więc z nim i czekałem na chwilę, kiedy stanie się to, co zapowiadały gesty jej niesłychanych palców, czekałem, aż on prędzej czy później uśnie nad szachownicą, ale on wcale nie brał się do zasypiania, godzinami rozmyślał nad najprostszym ruchem, to raczej ja zasypiałem i w pierwszym półśnie usłyszałem jej delikatne kroki. Podeszła do telewizora, trupie światło przeszło przez szachownicę, potem rozległa się muzyka poważna, a potem spiker w niesłychanej marynarce wymówił słowa, o których dawno wiedziałem, że zostaną tego wieczoru we wszystkich domach wymówione; wymówił słowo „śmierć" i słowo „zamach", i słowo „skrytobójstwo". A potem na ekranie pojawiły się wieżowce i samochody, jakich nigdzie po drodze nie widziałem, i jeszcze na zamazanym zbliżeniu widać było, jak siedzący w otwartej limuzynie prezydent Stanów Zjednoczonych John Fitzgerald Kennedy łapie się za przestrzeloną szyję, jak ktoś rzuca mu się na ratunek, ale ratunku już nie ma, bo strzał był celny i niechybny jak śnieg spadający z bambusowego liścia.

Bardzo późną nocą anielica mojej pierwszej miłości przyszła do mnie, siedziała na brzegu łóżka, trzymała mnie za rękę. Za ścianą chrapał jej nieszczęśliwy mąż, który co prawda wygrał ze mną w szachy, ale którego ona nigdy nie kochała. Zaczynał się mój sen i przez jego pierwsze przestrzenie, ponad zaśnieżonymi górami, leciała strzała ze srebrnym grotem, oblatywała ziemię niczym ruski sputnik i rozprute powietrze zaraz się za nią zasklepiało, i nie było widać śladu jej przejścia.

9

Wciągnąłem głęboko powietrze i nieoczekiwanie poczułem zapach świeżo skoszonej trawy, może pustynna nić tropikalnego frontu atmosferycznego przemknęła nad lodowatą doliną, a może jasna studnia odwilży otwierała się z wolna w pośrodku ciemnych, mrocznych niebios.

– Narodził się Jezus Chrystus, Jerzyku – powiedział pan Trąba, zachwiał się i oparł na moim ramieniu. – Narodził się Jezus Chrystus i chociaż co rok się to dzieje, i chociaż co rok On się rodzi, chociaż co rok wielebny ksiądz pastor Potraffke opowiada o tym w swoich coraz doskonalszych pod względem konstrukcji formalnej kazaniach, z historią tą nigdy nie można dojść do końca ani wybadać jej zupełnie…

Słychać było daleki warkot silnika, z Bawolej Góry w szarej, wzniecanej oponami chmurze zjeżdżała wyładowana bujnymi świerkami ciężarówka.

– Ładne rzeczy – mruknął pan Trąba spoglądając na zegarek – już bez mała dziesiąta, dwudziesta pierwsza czterdzieści siedem, ściśle rzecz biorąc, za dwie godziny kościelny Messerschmidt, a wraz z nim wszyscy dzwonnicy we wszystkich bazylikach świata pociągną za sznury, organiści uderzą w klawisze, rozlegnie się śpiew chwalący przyjście Pana, a ci maruderzy wciąż jeszcze trzebią drzewostan.

I pan Trąba, uświadamiając sobie własne spóźnienie, chybotliwie przyśpieszył kroku. Było już niedaleko, mijaliśmy pogrążonych w ciemnościach baptystów, huczący płomieniami ogromnych świec i gwarem rozmów Dom Towarowy Rychtera, na chwilę ogarnął nas pachnący benzyną śnieżny cyklon, w jego oku powoli płynęła zagubiona ciężarówka, jej śladem biegł ogromny niczym widmo pies i szczekał jak oszalały. Wydawało mi się, że ponad jego szczekaniem i ponad łacińskimi kolędami śpiewanymi przez pasterzy i anielice słyszę burzliwy sygnał Wolnej Europy. Była dziesiąta i ojciec niechybnie jak co dzień, wigilia nie wigilia, z desperacką mściwością w oczach puszczał radio na cały regulator.

W samej rzeczy z historią tą nigdy nie można było dojść do końca ani wybadać jej zupełnie. Co roku zamarzały mieszane lasy na Bawolej Górze. Co roku cesarz August ogłaszał spis powszechny. Co roku Pan Trąba spóźniał się na wigilię.

***

Matka nakrywała stół obrusem, kładła na środku sól, czosnek i opłatki, stawiała świecznik i filiżankę z miodem, z kuchni rozchodził się zapach mleka, ryb i kapusty, przynosiłem z szafy w małej izbie kancjonały i rozkładałem je na stole. Znałem pieśni na pamięć, umiałem i *Czas radości* nr 139 w kancjonale księdza Heczki, i *Bądź pochwalon, Jezu Chryste* nr 127, i wszystkie dwanaście zwrotek *Z nieba idę wysokiego*; wszyscy, i ojciec, i matka, i pan Trąba, i Elżunia Baptystka, i Arcymajster Swaczyna, i w ogóle wszyscy w naszych stronach, nawet Małgosia Snajperek, nawet komendant Jeremiasz, wszyscy umieli pieśni na pamięć, choć w czasie śpiewania zaglądali do kancjonałów, jakby odnawiając przymierze ze starymi księgami. Spoglądali na słowa pieśni, ale ich nie odczytywali, raczej śpiewem swoim je ożywiali, śpiewem pochwalali, śpiewem potęgowali płowiejący druk i śpiewem wzmacniali kruszejące stronice. Wszyscy umieli pieśni na pamięć, ale chyba nikt poza mną nie umiał wszystkich dwunastu zwrotek *Z nieba idę wysokiego*. Nikt poza mną i księdzem pastorem Potraffke. I dziś jeszcze gotów jestem wyrecytować albo i zaśpiewać cały ten godowy hymn i choć niechybnie trawi mnie, gdy to mówię, ewangelicko-augsburska pycha, gotów jestem powiedzieć albo i zaśpiewać wszystkie dwanaście zwrotek i zaprawdę, powiadam wam, uczynię to tak dobrze jak ponad trzydzieści lat temu czynił to w sali zborowej ksiądz pastor Potraffke.

***

Z nieba idę wysokiego
Posłuchajcie głosu mego
Wiele nowin wam przynoszę
Dobrych, miłych jak je głoszę
Narodziło się wam dziecię

Ładniejszego nie masz w świecie
Z panny wybranej od Boga
To wam będzie rozkosz błoga.

Pastor Potraffke stał na tle pluszowej kurtyny zasłaniającej scenę sali zborowej, zstępował z niebios i śpiewał. Pani Pastorowa, piękna i smagła niczym brazylijska aktorka Maria Felix, coraz niżej pochylała się nad klawiaturą. Za wysokimi oknami sypał śnieg, za ruchomą ścianą śniegu wznosiła się w górę gęsta jak dym kościelna wieża.

Narodziło się wam dziecię
Ładniejszego nie masz w świecie...

Ksiądz pastor Potraffke stanął wreszcie na najniższym szczeblu uczynionej ze sztucznych ogni drabiny, dotknął stopą ziemi i nagle, jakby rażony podziemnym, idącym z głębi globu, z piwnicy domu zborowego piorunem – zamilkł. Pani Pastorowa grała jeszcze przez chwilę, raz i drugi spojrzała w kierunku męża, zagrała kilka akordów głośniej i dobitniej, jakby chcąc nakłonić go do dalszego śpiewu, raz jeszcze spojrzała z intensywnym namysłem i uwagą, i jej boskie ramiona okryte kaszmirowym szalem drgnęły, jej kruche palce raptownie oderwały się od klawiatury, jej niewysłowioną twarz zasnuł rumieniec.

– Dziecię się wam narodziło! – ryknął znienacka pastor Potraffke. – Bezbożnicy! Dziecię się wam narodziło! – Apoplektyczne plamy pojawiły się na jego pucołowatym obliczu, oczy zaś płonęły apostolskim blaskiem. – Synowie Filistynów – wrzasnął do siedzących pod oknami chłopców – synowie Filistynów! Dziecię się wam narodziło! I wy – z furią obrócił twarz swoją ku siedzącym pod drzwiami dziewczynkom – i wy, córy... – zawahał się na moment – i wy, córy bolszewików! Dziecię się wam narodziło! – dokończył jakby z rodzajem ulgi. Dyszał ciężko i spoglądał na nas z bezbrzeżną rozpaczą. – Za nic, za nic... – charczał, tonąc w oceanie własnej bezsilności. – Za nic, zaprawdę, powiadam wam, za nic nie dopuszczę was do konfirmacji. Na następny raz, to będzie już po świętach, na następny raz na pamięć sześć, nie sześć, siedem zwrotek *Z nieba idę wysokiego,* siedem zwrotek tego godowego hymnu, który kto ułożył? No

kto? – Potraffke rozejrzał się po sali zborowej jakby nieco przytomniejszym wzrokiem. – Błaszczyk, niech no Błaszczyk powie, kto ułożył hymn godowy: *Z nieba idę wysokiego*?

Słomowłosy Józio wstał niepewnie, spojrzał na coraz gęstszy śnieg za szybami, na biały krzyż na ścianie, na panią Pastorową wykwintnym ruchem głowy wskazującą mu wiszący na ścianie portret Marcina Lutra, na zasłaniającego mu ten portret księdza pastora Potraffke i ni to zapytał, ni to odpowiedział:

– Ksiądz pastor?

– Nie, nie ja, ty barani łbie – z pastora Potraffke uszły wszelkie furie i energie i mówił teraz prawie normalnym, lekko tylko zduszonym głosem. – Nie, nie ja, barania głowo, a nasz reformator doktor Marcin Luter. Tak, zaprawdę powiadam wam, nasz reformator doktor Marcin Luter ułożył ten hymn w wigilijny wieczór roku pańskiego tysiąc pięćset trzydziestego czwartego, w domu swoim w Wittenberdze. Siadaj, Błaszczyk – powiedział pastor do wciąż stojącego Józia. – Błaszczyk, ja rozumiem, że Pan ma różnych stołowników, ale ile razy patrzę na ciebie, Błaszczyk, tyle razy wątpię. Zaprawdę, powiadam ci, Błaszczyk – pastor Potraffke znów podniósł głos – zaprawdę, powiadam ci, Błaszczyk, wątpię, by ktoś taki jak ty mógł siadać do stołu Pańskiego.

Pani Pastorowa raptownie uderzyła w klawisze i wszyscy ochoczo zaśpiewaliśmy kończącą lekcje i nabożeństwa pieśń:

> Amen Amen Amen
> Jezus Chrystus Panem...

Pośpiesznie zmówiliśmy modlitwę i ruszyliśmy ku naszym pachnącym jabłkami, makowcem i pastą do podłóg domom.

Ojciec ubrany w stary mundur pocztowy rąbał na podwórzu olbrzymie bukowe okrąglaki.

– I czegoś ty się dzisiaj nauczył? – zapytał z rzadkim u niego i paradoksalnie zwiastującym dobry humor sceptycyzmem.

– Jeszcze niczego, dopiero będę się uczył, ksiądz zadał nam na pamięć siedem zwrotek *Z nieba idę wysokiego*. Na święta – dodałem z naciskiem

i nadzieją.

Niekiedy zdarzało się bowiem, iż ojciec, z żelazną konsekwencją przestrzegający wszystkich sformułowanych w Piśmie zasad i zarazem nieokiełzany w swojej chimeryczności, dochodził do wniosku, iż pomiędzy nakazami Biblii a moimi zadaniami domowymi zachodzi sprzeczność, i zabraniał mi ich odrabiania. „Nie będziesz w niedzielę rozwiązywał żadnych równań" – mawiał niekiedy. – „Dzień święty trzeba święcić".

Tym razem wszakże było inaczej.

– Siedem zwrotek *Z nieba idę wysokiego,* powiadasz – uderzył z precyzją tam, gdzie trzeba było uderzyć i pień bukowy rozstąpił się, ukazując swoje prawie ceglaste na tle wszechogarniającego śniegu wnętrze. – Na twoim miejscu – powiedział charakterystycznym, pozornie niezobowiązującym tonem – na twoim miejscu nauczyłbym się wszystkich dwunastu zwrotek. Człowiek powinien dążyć do doskonałości. „Bądźcie doskonałymi, jako i Ojciec wasz w niebiesiech doskonały jest".

***

Układałem kancjonały na obrusie z porażającą symetrią, „bądźcież doskonałymi, jako i ręka, która was układa, doskonała jest" – szeptałem, matka kroiła chleb upieczony na gojach przez panią Wantułową, kroiła długo i uważnie, gdy zaś skończyła, spojrzała wpierw na stół, potem na ojca i powiedziała z wyrozumiałością nieubłaganie w trakcie mówienia obracającą się w zniecierpliwienie:

– Brakuje jabłek, orzechów i pana Trąby.

Potem podeszła do okna, odsunęła żółtą zasłonkę i długo wpatrywała się w powietrzne labirynty gęstniejącej od wciąż padającego śniegu wigilijnej nocy.

– Baptyści już dawno śpią, światła pogaszone, a myśmy jeszcze nie siedli do wieczerzy – powiedziała, nie odrywając czoła od granatowej szyby.

Ojciec przebrany w białą koszulę, pachnący koniakiem i wciąż jeszcze rozpłomieniony popołudniowym zabijaniem ryb stał przy stole, wyjmował z portmonetki monety i banknoty i wsuwał je pod obrus. Ani na nim, ani na nas kacerskie obyczaje baptystów nie robiły specjalnego wrażenia.

– Biedacy – mówiła jedynie od czasu do czasu matka – biedacy! Co ci biedacy powiedzą na sądzie Pańskim?

– Nic nie powiedzą. Powiedzą, że się pogubili i tyle. Pogubionym Pan Bóg wybacza – odzywała się wtedy nieodmiennie znad filiżanki kawy po turecku Małgosia Snajperek.

Zwłaszcza gdy przychodziły wielkie święta, baptyści sprawiali wrażenie kompletnie pogubionych w swoim innowierczym nieszczęściu. Do wieczerzy wigilijnej zasiadali o bezbożnie wczesnej porze, jeszcze w biały dzień, nie łamali się opłatkiem, nie dawali sobie prezentów, nie jedli ryb. Mieli wprawdzie wśród wigilijnych dań kapustę i białą bułkę z mlekiem, wieszali na choince jabłka i cukierki, ale to wszystko było za mało. Przedwczesny wigilijny sen baptystów był zbyt słabym argumentem, by skłonić ojca do narzucenia na ramiona kożucha i wyruszenia po niechybnie guzdrzącego się z pakowaniem prezentów pana Trąbę.

Dopiero gdy matka kładła na stole tacę z nieskazitelnie pokrojonym chlebem, gdy obok stawiała domowe masło w drewnianej maselniczce, gdy układała na pianinie jabłka, gdy stawiała tam kryształowe półmiski z orzechami i rumowymi rogalikami, dopiero wtedy, gdy zdejmowała błękitny kretonowy fartuch i zaczynała go składać powolnymi i zatrważająco precyzyjnymi ruchami, dopiero wtedy ojciec ni to uspokajającym, ni to oznajmującym gestem unosił rękę i mówił z kaznodziejskim zapamiętaniem:

– Wiem, wiem, wiem. Katolicy zaraz pójdą na pasterkę, a myśmy jeszcze nie siedli do wieczerzy.

I wkładał kożuch i kapelusz, i z pośpiechem wyruszał po pana Trąbę, którego zresztą na ogół spotykał gdzieś w pobliżu, nieraz już koło Domu Towarowego Rychtera albo jeszcze bliżej, przeważnie więc o wiele prędzej, niż się spodziewaliśmy, obaj pojawiali się z powrotem, nieraz wyglądało to na pokaz kameralnego seansu iluzjonistycznego. Ojciec stawał w drzwiach, wychodził, drzwi się zamykały, drzwi się otwierały i w tej samej chwili w progu stali już obaj, ojciec i od wielu godzin wyczekiwany, a przecież ni stąd, ni zowąd wyrosły jak spod ziemi pan Trąba. I natychmiast pan Trąba zaczynał się sumitować, przepraszać za spóźnienie, zza pazuchy sypały mu się nieporadnie owinięte w szary papier pakunkowy i przewiązane spłowiałymi wstążkami prezenty, wręczał je nam od razu w przedpokoju,

jakby speszony własną nieporadnością i niepewny, czy przez tę nieporadność podarki dotrwają do końca wieczerzy.

– Pani wybaczy, pani Naczelnikowo – mówił do matki – ale wedle naszej kolędy – pan Trąba ni to mówił, ni to śpiewał – „Daj pan Bóg wieczór noc wesołą, Najprzód panu Gospodarzowi", oto dla pana, panie Naczelniku, w charakterze przysłowiowej wiliówki śliwowica paschalna *ergo* wiliówka paschalna. I co pan powie na naznaczony tak eschatologicznym oksymoronem trunek? Wiliówka paschalna! Co pan powie? „Daj Pan Bóg wieczór noc wesołą" – pan Trąba wracał do podkreślanej teatralnymi gestami melorecytacji – „Najprzód panu Gospodarzowi, potem też takiej Gospodyni", pani Naczelnikowo, zechce pani przyjąć ten drobny wyraz hołdu od cierpiącego wielbiciela, który im częściej panią widuje, pan daruje, panie Naczelniku, ale nieboszczyk Sigmund Freud i pana nauczył, iż tajenie życia popędowego obraca się przeciw ludzkości, a zatem, pani Naczelnikowo, drobny wyraz hołdu od cierpiącego katusze wielbiciela, który im częściej panią widuje, tym większe cierpi katusze.

I pan Trąba wręczał matce najschludniejsze zawiniątko, ona zaś delikatnie rozsupływała wstążeczkę i rozchylała papier, i z dziewczęco rozjaśnioną twarzą oglądała maleńką buteleczkę perfum „Chat noir" i jedwabną apaszkę w głębokich zieleniach, w których było jej świetnie.

– „Daj Pan Bóg wieczór noc wesołą" – teraz już pan Trąba śpiewał pełną piersią – „Najprzód panu Gospodarzowi, potem też takiej Gospodyni. I czeladce wszechmiłej jego. I czeladce wszechmiłej jego".

I pan Trąba obracał się ku mnie, i niezmiennie wręczał mi książkę.

– Oto, Jerzyku, najpoczytniejsza obecnie książka, jaka się ukazała w Polsce Ludowej: *Brzydka księżniczka* Liona Feuchtwangera. Literatura raczej mierna i w każdym calu popularna, choć oczywiście winniśmy głosić wiekuistą chwałę towarzysza Gomułki, iż wyraził zgodę na wydanie tej bez wątpienia absolutnie dlań niezrozumiałej powieści. Jak mówię, Jerzyku, nie jest to wielkie pisarstwo, ale gdy w pierwsze i drugie święto siądziesz sobie sowicie zaopatrzony w orzechy i łakocie przy dobrze rozpalonym piecu, będziesz miał odpowiednią, relaksującą, a nawet w jakimś minimalnym stopniu pouczającą lekturę.

„Między miastem Innsbruck i klasztorem Wilten stały na szerokiej wolnej równinie namioty oraz maszty na chorągwie" – odczytywałem

pierwsze zdanie *Brzydkiej księżniczki*, ojciec wpatrywał się w hebrajski alfabet na fioletowawozłotej etykiecie.

– Siadajcie, siadajcie, siadajcie – wołała zawsze po trzykroć śpiesząca do kuchni matka.

***

Tym razem wszakże, gdy tylko ojciec z desperackim zapamiętaniem jął wypowiadać swoje trzykrotne „wiem, wiem, wiem", matka już po jego pierwszym „wiem" powiedziała: „siedź" i z klasycznie kobiecą bezwiednością zburzyła całą misterną konstrukcję mitycznej powtarzalności.

– Siedź – powiedziała. – Zapomniałeś już, co było w zeszłym roku? On pójdzie – spojrzała na mnie. – Włóż czapkę, palto i rękawiczki i idź po pana Trąbę. Wiesz, gdzie on mieszka, brat syjamski tatusia? Za Domem Zborowym w lewo.

Upokarzające domniemanie, jakobym mógł nie wiedzieć, gdzie mieszka pan Trąba, nawet mnie specjalnie nie ubodło, chyba po raz pierwszy w kluczowej sprawie zastępowałem ojca i wkładałem czapkę, palto, rękawiczki, starając się nadać gestom wyraz nieśpiesznego męskiego zdecydowania. W zeszłym roku w samej rzeczy ojciec wyszedł po pana Trąbę i jak po godzinie wyszeptała pobielałymi wargami matka: „obaj przepadli na wieki". Gdy po wiekach zjawili się wreszcie, byli podochoceni, radośni i nadmiernie rozbudzeni intelektualnie.

– Wszystkiego dobrego, panie Naczelniku – pan Trąba pochylał się nad stołem niczym pastor Potraffke nad krawędzią ambony. – Pan Jezus już rozpoczął swoje panowanie, panie Naczelniku, choć przed oczami towarzysza pierwszego sekretarza Władysława Gomułki jest ono jeszcze zakryte, tak jak ongiś było zakryte przed oczami cesarza Augusta. Ale obaj, obaj oni, panie Naczelniku, i cesarz August, i sekretarz Gomułka już służą Panu Jezusowi. Było u proroków powiedziane, że Zbawiciel urodzi się w Betlejem. A za czyją sprawą Święta Rodzina znalazła się w Betlejem? Za sprawą cesarza Augusta, który dekret wydał, bo gdyby dekretu nie wydał, Józef i Maria niezawodnie pozostaliby w Nazarecie. I tak jak wielki cesarz August musi Chrystusowi dekretem swoim służyć, przyczyniając się do

tego, by Jego narodzenie nastąpiło wedle proroctw w Betlejem, tak i pierwszy sekretarz Władysław Gomułka musi Chrystusowi służyć, podnosząc cenę mięsa wołowego bez kości i przyczyniając się tym samym, by komuna, jak było u proroków powiedziane, upadła… Wszystkiego dobrego, panie Naczelniku.

Zanurzony w miodzie opłatek chwiał się niebezpiecznie w ruchliwych palcach pana Trąby, matka patrzyła na spadającą na obrus kroplę, tak jakby chciała jakimś desperackim ruchem przeciąć jej lot, a może odwrócić zapowiedziany przez proroków bieg wydarzeń.

***

Wciągnąłem głęboko powietrze, śnieg nieoczekiwanie przestał sypać i w nagłej nieruchomości słychać było dochodzące z lasów na Bawolej Górze miarowe uderzenia siekiery, ktoś tam się śmiał nieposkromionym pogańskim śmiechem, ktoś rozrzutnie zapalał i gasił silnik. W głębi jaśniejącej niczym Droga Mleczna perspektywy, za Domem Towarowym Rychtera, za pogrążonymi w ciemnościach baptystami majaczyła sunąca z charakterystyczną chybotliwością sylwetka pana Trąby.

Rychterowie siedzieli wokół owalnego stołu w jadalni na parterze, w kącie płonęła tysiącem świec ogromna niczym królewski żaglowiec choinka, przez wysokie odsłonięte okna widziałem sunącą z kuchni niesłychaną postać pani Rychterowej, w uniesionych w górę atletycznych ramionach niosła wazę pełną barszczu albo zupy grzybowej.

– Witaj z Narodzeniem Pańskim, Jerzyku – powiedział pan Trąba – szczerze mówiąc oczekiwałem, że po ubiegłorocznych ekscesach nie pan Naczelnik, ale ty po mnie przyjdziesz. Daj zresztą, Pan Bóg, wieczór noc wesołą, takie tam i ekscesy. W końcu na jutrznię zdążyliśmy, jak mnie pamięć nie zawodzi. A jeśli idzie o nadmierną swobodę teologiczną, która bierze mnie w takich razach w swoje posiadanie, nic na to nie poradzę. Jestem, Jerzyku, człowiekiem prawdziwie samotnym, a na ludziach prawdziwie samotnych wszelkie formy obecności Bożej sprawiają specjalne, niekiedy wręcz kłopotliwie inspirujące wrażenie.

Brama wiodąca do Domu Towarowego Rychtera otwarła się raptownie, ukazała się zwalista postać pani Rychterowej, jej ramiona dalej były

uniesione nad głową, w pierwszej chwili pomyślałem, że dalej podtrzymuje dymiącą, nie, teraz już nie dymiącą, ale i płonącą wazę z barszczem albo zupą grzybową, z wazy buchał gigantyczny płomień w kształcie iglastego drzewa, piękna i majestatyczna niczym królewski żaglowiec choinka płonęła nad głową pani Rychterowej, słychać było coraz bliższe szczekanie powracającego z daremnej pogoni ogromnego jak widmo bernardyna, żarłoczny łoskot ognia; pękały bańki, skwierczały anielskie włosy. Pani Rychterowa biegła ciężkimi susami przez głęboki śnieg niczym zasłużony wyczynowiec, który ma donieść święty ogień do areny olimpijskiej. Zrobiła dwa, a może trzy okrążenia, zatrzymała się nad wielką pryzmą śniegu i z rozmachem, oburącz dzierżąc gigantyczną żagiew, jęła nią miarowo uderzać w ziemię, jakby chciała ogniem i szkliwem wychłostać nieposłuszne żywioły.

– Pani Rychterowa, co też pani najlepszego robi, przecież należy śniegiem w drzewko Pańskie, a nie na odwrót, drzewkiem Pańskim w śnieg! – zawołał z najwyższym zdumieniem pan Trąba. – Szkoda przedwojennej i poniemieckiej zastawy choinkowej. A nawet bolszewickiej ozdoby też szkoda…

Ale pani Rychterowa, jakby w obawie, iż od jej choinki rozpocznie się gigantyczny pożar świata, tłukła nią zapamiętale w śnieżną wydmę, śnieg iskrzył, strzępy lamety i szczątki baniek podlatywały w górę jakby na chwałę Pańską, wkrótce wszystko zgasło i Rychterowa, dalej oburącz dzierżąc zasmolony kikut (ocalały maszt spalonego żaglowca), bez słowa zniknęła za wiodącą do Domu Towarowego bramą.

– Kobieta – machnął ręką wszechwiedzącym gestem pan Trąba.

Ogromny jak widmo pies zataczał wokół nas coraz ciaśniejsze kręgi, poszczekiwał jadowicie, charczał dławiącym charkotem szykującego się do skoku drapieżnika. Prawie odruchowo podniosłem bryłę zamarzniętego na kamień śniegu.

– Ani mi się waż, Jerzyku – powiedział łagodnie pan Trąba. – Ani mi się waż. Nigdy nie należy podnosić ręki na stworzenia Boże, a już zwłaszcza w taką noc jak dziś.

I pan Trąba zagwizdał porozumiewawczo i przyjaźnie klepnął się w kolano, i podchodzący coraz bliżej potwór, rozwścieczony naszą niefrasobliwością, zacharczał nienawistnie i błysnął żółtawymi kłami,

i jego nawykłe do trawienia ludzkiego mięsa trzewia wydały przeszywający skowyt. Przypominał trochę ludojada Brysia należącego do komendanta Jeremiasza, ale sparaliżowany przedśmiertnym strachem nie byłem tego do końca pewien.

– Nigdy nie wiadomo, jaki duch kołacze się w bydlęcych wnętrznościach – pan Trąba zdawał się zupełnie nie zwracać uwagi na odcinającego nam wszelkie możliwe drogi powrotu i ucieczki ludojada Brysia albo na jego brata bliźniaka z piekła rodem. – Narodził się Jezus Chrystus, Jerzyku, i choć w tym roku narodził się On po raz tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty i trzeci, przyszedł On do tej pory do nas raz jeden i raz jeszcze nadejdzie. Pierwszy raz, Jerzyku. I drugi raz, Jerzyku. A kiedy będzie ten drugi raz, my nie wiemy, ani nawet aniołowie nie wiedzą. Jest powiedziane, że drugi raz nadejdzie w chwale i obłokach, ale kto wie, kto wie, jaka będzie kolejność rzeczy, może najpierw pojawi się w niewidzialności i powściągliwości, a dopiero potem odzieje się w chwałę? Za pierwszym przyjściem w ludzkiej, nawet nie w anielskiej objawił się nam postaci. A przecież aniołowie chwalebniejszymi są stworzeniami niż my, Jerzyku, a jednak Bóg miłosierny nas bardziej uczcił i bardziej ku nam niż ku aniołom się zniżył, kiedy nie aniołem a człowiekiem stał się tej nocy. Kto wie, Jerzyku, czy za powtórnym przyjściem nie zniży się w swej nieskończonej pokorze jeszcze bardziej, kto wie, czy nie przyjdzie jako jeszcze mniej chwalebne stworzenie, kto wie, czy nie pojawi się wpierw pod postacią Pantery albo Wilczycy, a potem dopiero, zrzuciwszy z siebie zwierzęcą powłokę, sądzić nas będzie w złotych chmurach chwały…

Staliśmy już pod domem, ale i pies ludojad zbliżył się na odległość definitywnego skoku.

– Brysiu, Brysiu – powiedział łagodnie pan Trąba. Ludojad zaś skulił się, oczy zalśniły mu trupio, przywarował jeszcze na sekundę przed końcowym lotem w kierunku naszych gardeł.

I wówczas pan Trąba uniósł dłoń, tak jak unosił ją niekiedy na ambonie pastor Potraffke, tak jak unosił ją ojciec, zanim powiedział swoje trzykrotne „wiem, wiem, wiem”, i wówczas pan Trąba uniósł dłoń, tak jak unosił ją Zbawiciel uciszający wzburzone fale i uniósłszy swoją dłoń, pan Trąba powiedział dobitnie:

– Brysławie, zaprawdę powiadam ci, Brysławie, przybliż się!

I jakby rozśmieszony niesłychanym kabotyństwem całej tej sceny pies znienacka zamerdał ogonem na znak pokoju, przednimi łapami skoczył to w jedną, to w drugą stronę i drobnym truchtem przybliżył się do nas i jął łasić się do naszych stóp. Pan Trąba wydobył zza pazuchy opłatek i wetknął go do cudownie przeistoczonej w samą dobroć paszczy, pies zaś, delikatnie podtrzymując wigilijne posłanie pomiędzy kłami, jął oddalać się, zataczał coraz większe kręgi, wyglądało to tak, jakby z ofiarowanym mu przez pana Trąbę opłatkiem biegł dzielić się z innymi stworzeniami, a może zwiastować im nowinę stworzenia.

Wchodziliśmy po schodach, otrzepywaliśmy buty, w zamku obracał się klucz. Ojciec otwierał nam drzwi.